KATARZYNA WŁODKOWSKA

NA OCZACH WSZYSTKICH

HISTORIA PRZYPADKU POLSKIEGO FRITZLA

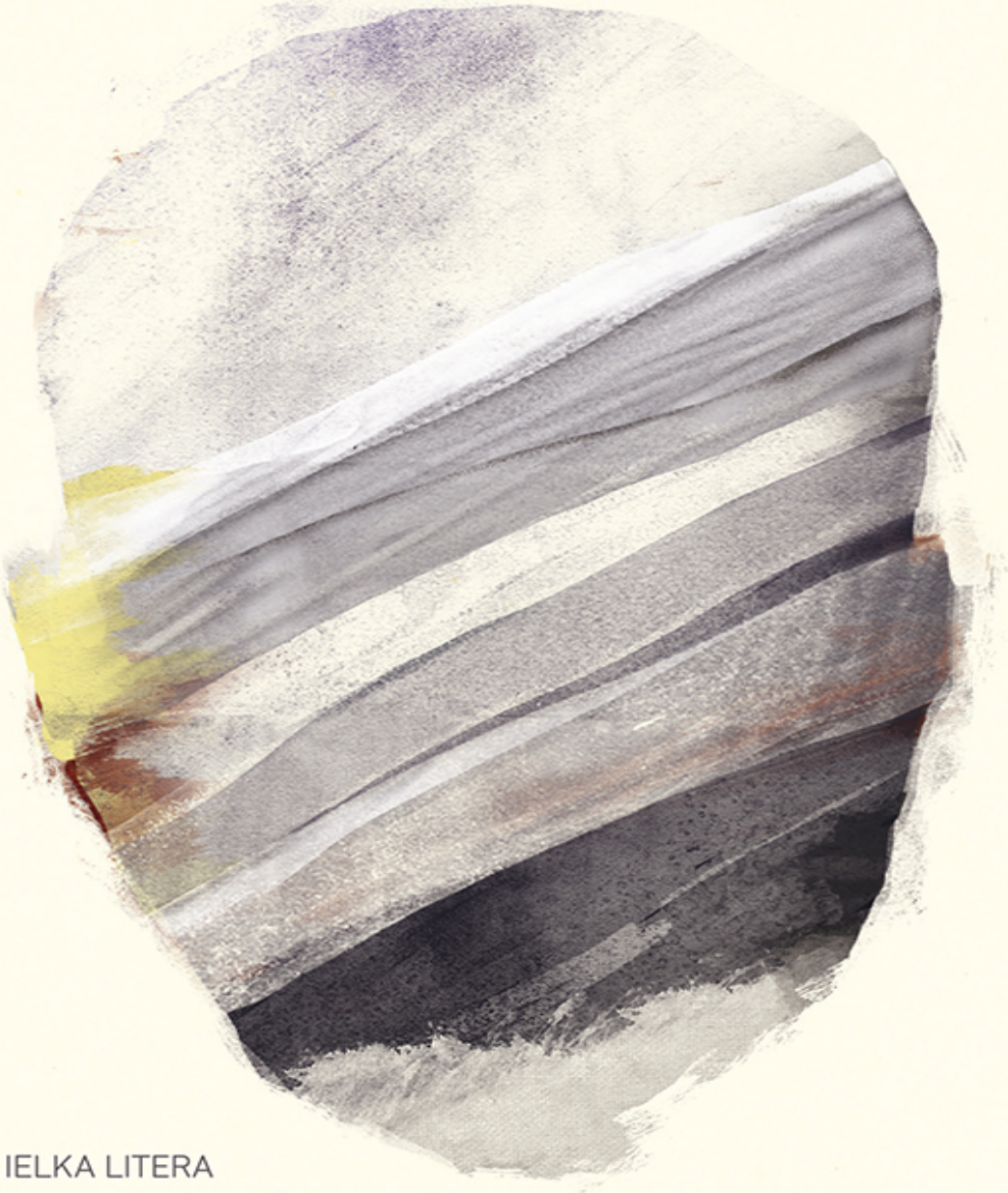

WIELKA LITERA

KATARZYNA WŁODKOWSKA

NA OCZACH WSZYSTKICH

HISTORIA PRZYPADKU POLSKIEGO FRITZLA

WIELKA LITERA

Ewie

Od Autorki

Takie rzeczy mogą zdarzyć się wszędzie. Ta wydarzyła się na Kaszubach i jest jedną z najbardziej czarnych i złożonych historii ostatnich lat.

Materiały zawarte w książce powstały głównie na podstawie rozmów z osobami bezpośrednio lub pośrednio zaangażowanymi w te wydarzenia. Aby nie polegać wyłącznie na czyjejś pamięci, każdą relację starałam się zweryfikować w różnych źródłach. Szczegóły umożliwiające identyfikację informatorów zostały zmienione.

Nie podaję nazw wszystkich miejscowości, zmieniłam imiona i nazwiska głównej bohaterki oraz jej córek, rodziców i rodzeństwa, a także kilka szczegółów pozwalających na ich rozpoznanie. Rodzina jej byłego już męża również jest w książce anonimowa.

Praca nad tym reportażem zajęła mi ponad cztery lata. Pragnę podziękować zwłaszcza osobom, których z nazwiska wymienić nie mogę, a które w sposób szczególny przyczyniły się do jego powstania.

Katarzyna Włodkowska

Nie jest ani łatwo ani przyjemnie zgłębiać tę otchłań niegodziwości, a jednak uważam, że trzeba to zrobić, ponieważ jutro ktoś może usiłować zrobić to samo, co mogło być popełnione wczoraj, może zdruzgotać nas i nasze dzieci. Kusi nas, aby odwrócić się od tego z grymasem obrzydzenia i zamknąć na to nasz umysł; jest to pokusa, której musimy się oprzeć.

Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Ucieczka

Grudzień 2010, północne Kaszuby

Stół. Sznurek. Albo szkło. Czysty, błyszczący kawałek szkła. Wolnym ruchem głęboko natnę skórę i będę patrzeć, jak wypływa ze mnie krew. Mogę też uciec. Chcę uciec. Wystarczy wyjść na podwórko i zacząć biec. Dokąd? Nie wiem. Gorzej nigdzie być nie może.

Cicho! Słyszę kroki. Też je słyszysz? Idą po mnie. Czuję ich oddechy. Szybkie, ciepłe, cuchnące. Krzyczeć? Zacząć krzyczeć? Kroki cichną, oddalają się na schodach. Spójrz na mnie. Jestem jak spłoszone zwierzę, wciskam się w najdalszy kąt piwnicy i czekam. Czekam, bo wiem, że wrócą. Ale nie dziś. Dziś nikt nie przyjdzie. A jutro?

Nie ma jutra, jest tylko dziś. Zimna ciemność, język chropowaty, usta suche. W brzuchu mdlące uczucie pustki. Musisz wstać, trzeba wstać. Zawrót głowy. Kucam, kolana przytulam do piersi, zaczynam się kołysać. Choć wokół gęsto, oczy mam otwarte. Przede mną plaża. Mam dziesięć lat i biegnę gorącym brzegiem w zwiewnej białej sukience, której nigdy nie miałam. Gdy już myślę, że wreszcie dowiem się, co jest na końcu lądu, chrzęst kroków, brzęk kłódki.

– Możesz spać w domu. Jest za zimno – powiedział, świecąc mi latarką w oczy.

Położyć się do łóżka i już nigdy nie obudzić.

Podnoszę się powoli. Równie wolno przypominam sobie, gdzie jestem. Chwiejąc się, wkraczam w ciemny, wąski korytarz, robię kilka kroków. Staję przed szarymi betonowymi schodami. Głęboki oddech, gorzka ślina.

On, stojąc za moimi plecami: – Kurwa, ile będzie tak szła?

Sześć długich stopni.

*

Okno, słońce, ból. Otwieram oczy, natychmiast je zamykam. Na zewnątrz mróz i śnieg. Leżę pod starym, pocerowanym kocem, w zagraconym pomieszczeniu znajdującym się na parterze domu. Wsłuchuję się w ciszę. Wstać? Wstaję, chcę pić. W łazience jest wiadro, w wiadrze woda, zanurzę twarz.

Widzę swoje odbicie. Skóra bladosina, oczy pośród czarnych, opuchniętych worów, włosy tłuste. Koszula tak cienka i znoszona, że wydaje się przeźroczysta. Ręce długie i wąskie, o niekończących się palcach. Paznokci nie mam. Zjadłam.

Wtedy jego głos z piętra: „A teraz mamusia zrobi dzieciom śniadanie".

M a m u s i a z r o b i d z i e c i o m ś n i a d a n i e. Na śniadanie chleb z masłem i cienko pokrojoną mortadelą. Herbata też będzie, tylko rozpalę ogień pod kuchnią. Nad nią plastikowy zegar imitujący żeglarskie koło sterowe. Jest ósma. Dobrze, że mówi mi, co mam robić, bo w głowie już tylko szum.

Nie, czekaj, jest jeszcze mój głos. Cichy, metaliczny, ledwo go poznaję. Ale jest.

Do kuchni wbiegają dziewczynki. Na białym drewnianym stole czeka na nie talerz z kanapkami. Ten stary stół to jedyne, co nas jeszcze jednoczy. Młodsza, podobna do mnie, kurczowo łapie się matczynej nogawki. Starsza, podobna do niego, wskakuje na obdrapany, chybotliwy taboret i sadowi się plecami do okna. Uporczywie wpatruje się we mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć. Smaruję chleb i powtarzam po cichu: „Matką, jesteś jej matką".

– Siadaj i patrz – mówi on.

Gdy tak siedziałam i patrzyłam, zadzwoniła jego komórka. Rozejrzał się wokół, leżała na szafce pod oknem. Wstał, spojrzał na wyświetlacz.

– Twoja matka.

Skinęłam głową. „Moja matka”. Rzadko okazywała uczucia, chyba, że była zła, ale to do niej chcę teraz najbardziej.

– Przyjedzie jutro z twoim bratem, musisz się przygotować.

Odkłada telefon. Łapie kanapkę, wpycha do gęby, unosi brew. A ja myślę, że gdybym to była ja, część chleba schowałabym do kieszeni. Na później.

Dzień wcześniej nie zasmakował mu obiad. Talerz rozbił o podłogę, dziewczynki wyprosił do pokoju obok, ich pokoju o różowych ścianach i białym suficie, złapał mnie za włosy, szarpnął do tyłu. Syknął do ucha: „Ty kurwo!”. Krzyknęłam z bólu.

Zaczął walić moją głową o ścianę, szybko i rytmicznie, raz, dwa, raz, dwa, aż osunęłam się na chłodny brązowy gumolit. Wydawało mi się, że znikam. Ta ciepła, przyjemna myśl już rozeszła się po moim ciele, kiedy poczułam, że ciągnie mnie do przedpokoju. Wrzeszczy, ślina kapie mu z ust, żyły na skroniach pulsują. Przy schodach każe mi wstać. Wstaję i czekam na koniec. Wtedy on chwyta za połę mojej koszuli i wlecze do piwnicy. Nie ma końca.

Teraz siedzę na taborecie i wpatruję się w ścianę, w tę samą, w którą jeszcze wczoraj walił moją głową. Zerkam na niego. Nigdy bym nie pomyślała, że człowiek o tak kruchej sylwetce i twarzy jakiegoś rzadkiego ptaka może mieć tyle siły.

Wstaje, otwiera lodówkę. Ma wzrok pełen obojętności. Wraca z majonezem, wzrusza ramionami, smaruje chleb.

Nie wytrzymam kolejnej takiej nocy. A jeśli wytrzymam?

Dziewczynki z powrotem w swoim różowym pokoiku. Bawią się cicho i grzecznie. Albo ja tak chcę to pamiętać. – Muszę zapalić – on informuje po chwili, jakby to miało dla mnie jakiekolwiek znaczenie. Zdejmuje z oparcia krzesła kurtkę, schodzi na parter. Odgłos zamykanych drzwi.

Przesuwam wzrok na leżącą na szafce nokię, tę, której nie wolno mi dotykać. Z wytartymi przyciskami, porysowanym ekranem i ledwie kilkoma zapisanymi numerami. Wstaję, biorę do ręki komórkę i patrząc

w puste pole za oknem, dzwonię do matki: „Jeśli mnie kochasz, zabierz mnie stąd. Nie, nie jutro. Dziś".

Jeszcze kilka kromek, obok kiszone ogórki. Wróci, chętnie zje. Potem sięgnie po niedopitą butelkę wódki i zacznie mi tłumaczyć, że jestem tu, bo on się na to zgadza. Chcesz iść, to precz, ale to tu masz dach nad głową. Kto cię weźmie, kto cię pokocha?

Jest już trochę pijany, kiedy ponownie się podrywa i wychodzi na mróz. Przechodzi przez podwórko, zatrzymuje się przed starą, drewnianą chatą z białymi okiennicami. W środku jego matka i niemłodzi już bracia. Wyjmuje z kieszeni zmiętą paczkę mocnych, odpala papierosa, z dumą spogląda na nasz dom: murowany, piętrowy, wyglądający na opuszczony.

Pali łapczywie, byle szybciej, jak to w pojedynkę. Już ma rzucić peta w brudny śnieg, kiedy przez żałośnie wykrzywioną bramę wjeżdża stare zielone bmw. Mariusz nie lubi gości. Ciska niedopałkiem, rusza ku drzwiom. A ja stoję w oknie i żałuję, że zadzwoniłam.

Matka bierze z tylnego siedzenia reklamówkę z ciastkami i bez słowa wchodzi do domu. Robert, mój młodszy brat, przez moment zastanawia się, czy powinien poczekać w samochodzie, ale zaciąga ręczny, wyjmuje kluczyki ze stacyjki i idzie za matką. Siadamy w kuchni, kurtek nie zdejmują. Nie wszystko potoczy się po ich myśli.

Próbujemy rozmawiać na neutralne tematy. Od Mariusza czuć alkohol, ode mnie pot. Matka świdruje nas oczami, za długo, mamo, czekałaś, za długo. W końcu dukam, że może pojadę na kilka dni do rodziców. Przy okazji załatwię zaległe sprawy w urzędzie pracy. Jego oczy lodowacieją, twarz robi się purpurowa. Tylko Robert jest spokojny. Bierze ciastko, usta otwiera jak wrota, krem spływa mu po palcach. Odwracam głowę w stronę okna. Nie chcę, by zobaczył mój głód.

Patrzyłam w pomazane rozkwieconym mrozem okno i poczułam, że to teraz on, ten głód, chwyta mnie za włosy, wyciąga z kuchni i ciągnie po ziemi prosto do piwnicy. Zrobiło mi się gorąco. Dotarło do mnie, że droga ucieczki jest prosta: w lewo, kilka kroków korytarzem i w dół po tych

samych schodach, z których wielokrotnie spadałam. Będę potem pytana, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej. Nie ma jednej odpowiedzi.

Łapię dziewczynki za ręce i stojąc, mówię: – Zabierzcie mnie stąd.

On rzuca się w moją stronę z „zabiję was" na ustach, ale Robert, nabity mięśniami i wyższy o głowę, pewnie go przytrzymuje. Stoję sparaliżowana strachem.

Robert: – Nie bój się, idź!

Zbiegamy na dół, ja w kapciach. Matka za nami. Po chwili jeszcze brat.

On nie od razu za nami ruszył. Wybiegł, kiedy wsiadłyśmy do samochodu. Robert stanął na jego drodze, sprawnie wykręcił mu rękę, odepchnął, aż ten się zatoczył. Bmw powoli cofa, Mariusz wali jeszcze ręką w szybę:

– Nie zabieraj mi dziewczynek! Potrzebuję ich!

Rzuca się na maskę, wymachuje pięścią, przekleństwem wykrzywia wargi. Nikt go już nie słyszy.

*

Jadą w milczeniu. To najdłuższe dwadzieścia kilometrów w ich życiu.

Ciało pamięta

Drzwi otwiera Józef, ojciec Ewy.

– To nie jest moja córka – mówi. – Co się stało z moją córką?

Ewa otrzepuje kapcie z lekkiego śniegu, młodszą córkę, Wiktorię, bierze na ręce. Alicję chwyta za dłoń i prowadzi do salonu, mijając stojącą w drzwiach siostrę.

Brązowa meblościanka w salonie z barkiem zawalonym bibelotami przypomina jej utracone życie. Stół z krzesłami – milczące obiady. Tapczan i wciśnięta w róg pokoju zielona amerykanka – bezsenne noce.

Wiktoria wtula się w matkę, Alicja siada na dywanie i głaszcze przymilającego się psa. Dżeki to duży czarny mieszaniec. Przewraca się na plecy i patrzy na dziewczynkę proszącym wzrokiem. Wtedy w drzwiach staje Józef. Ewa chciałaby coś powiedzieć, kilka zdań, które wszystko wyjaśnią, ale ta myśl ucina się jak zerwana taśma.

Nikt już dobrze nie pamięta, ile upłynęło czasu, gdy usłyszeli kopanie w drzwi.

– Co robimy? – pyta Robert. – Przecież go nie wpuścimy.

Matka drżącym głosem: – Policja, trzeba wezwać policję.

Ojciec: – Jesteś pewna?

– A co, chcesz się z nim bić?

Nie chce. Józef podchodzi do drzwi i mówi Mariuszowi, że jak sobie pójdzie, nie zadzwonią po policję. „Otwieraj, kurwa, bo was pozabijam!”.

Jest 28 grudnia 2010 roku, mróz tnie po nogach. W radiu właśnie podali, że Platforma Obywatelska zapowiada kontynuację „polityki powolnych zmian”, a Prawo i Sprawiedliwość deklaruje, że będzie bardziej przyzwoite

niż Platforma. Zagraniczna prasa ostrzega przed Orbánem, Małysz ma zmierzyć się z Morgensternem. Na koniec news dotyczący Smoleńska: MSWiA kończy prace nad raportem wyjaśniającym przyczyny katastrofy z 10 kwietnia. Ale tu wojna polsko-polska nikogo nie obchodzi. Mają własną.

Zanim przyjedzie policja, Dżeki prawie udławi się szczekaniem, matka płaczem. Mariusza zabiorą do radiowozu, Ewę – Robert – do najbliższego szpitala. Jedzie ubrana w za dużą kurtkę matki, na głowie gruba wełniana czapa. Robert pociesza siostrę niezgrabnie, poklepując po ramieniu. – Wszystko będzie dobrze – mówi, gdy parkuje pod potężnym kilkupiętrowym budynkiem. – Wystarczy – dodaje – że opowiesz swoimi słowami, jak było.

Swoje słowa. Szuka ich, ale nie może znaleźć. Albo znajduje, lecz nie potrafi wypowiedzieć. Na izbie przyjęć mówi Robert.

– Czy siostra miała już kiedyś robioną obdukcję? – pyta pielęgniarka.

– Nie – odpowiada chłopak. – To źle?

Ze szpitala na pobliski komisariat idą na piechotę. Jest po trzeciej, zaczyna się ściemniać. Kiedy przechodzą obok niedużego parku, Ewa lekko dygocze.

– Nie oglądaj się tak – uspokaja Robert i też zerka za siebie. – Jego tu nie ma.

W przedsionku komisariatu, gdzie znajduje się okienko dyżurki, referuje, że przyszli zgłosić znęcanie się przez męża. Policjant siedzący za ciemną szybą każe usiąść na ustawionych pod ścianą krzesłach. Siadają, a po chwili słyszą wrzask Mariusza: „Dorwę ją! Dooorwęęę!”.

Robert zrywa się do okienka, jest przerażony, ale zanim cokolwiek powie, policjant znowu wskaże dłonią krzesła. Brat pochyla się nad siostrą, porusza ustami. Ale żadnego słowa, żadnego dźwięku.

– Zostań, proszę, złożysz zawiadomienie i już więcej go nie spotkasz – szepcze w końcu i kładzie dłonie na ramionach Ewy.

Mówi to i spogląda błagalnie w policyjną szybę. Ale tam tylko rozmyta postać.

Kiedy w drzwiach stanie sierżant Roszma[1], Ewa poczuje strach.

*

Strach. Zaraz potem wstyd. Mieszanka uczuć, o której lepiej jest zapomnieć. Roszma prosi Ewę, by poszła z nim na piętro. Pokonując kolejne stopnie, szuka wzrokiem jakiejkolwiek kobiety, ale mija tylko mężczyzn. Policjant, szczupły i krótko ostrzyżony, otwiera drzwi do pokoju. Pokazuje krzesło, siada za jasnym biurkiem. Kilka metrów kwadratowych, żółtawe ściany, brudne okno. Inaczej to sobie wyobrażała.

Zdejmuje czapkę, ogląda się za siebie.

– Pani się nie boi, on tu nie wejdzie. – Policjant uspokaja i wyjmuje z szuflady kartkę[2].

P a n i s i ę n i e b o i. Słowa zamieniły się w pięść i uderzyły ją w brzuch. On też tak mówił. „Czego się trzęsiesz? Nie bój się, nic złego ci nie zrobię".

Ewa ściska kolana, prostuje plecy. Roszma bierze do ręki długopis i mówi: – Proszę podać swoje personalia i opowiedzieć, jak było.

Było tak, panie sierżancie, jak pan sobie nie wyobraża. W dodatku niedaleko, może pan tamtędy przejeżdżał. A jeśli nie pan, to któryś z pańskich kolegów. Może nawet tam byli? Ale nie to jest teraz ważne. Boję się, tak strasznie się boję, panie sierżancie, a zaraz będę musiała przyznać, patrząc na pański granatowy mundur, w ciemne oczy i żylastą twarz, że pozwoliłam sobie to zrobić.

– Dobrze. – Policjant przerywa jej milczenie. – To może od początku. Przypominam, że kto zeznaje nieprawdę lub zataja prawdę, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech. Rozumie pani?

– Tak, proszę pana – odpowiada Ewa i zastanawia się, co to znaczy. Jeżeli jej nie uwierzą, to nieprawda?

– W jakiej sprawie pani przyszła?

– W męża sprawie. Męża Mariusza.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

Chwilę się zastanawia.

– Od pięciu lat.

– Dzieci?

– Alicja i Wiktoria.

– Wiek?

– Cztery i trzy.

– „Zeznaję, iż od około pięciu lat jestem w związku małżeńskim z Mariuszem Sapałą, z którym mieszkam wraz z naszymi dziećmi, Alicja lat cztery, Wiktoria lat trzy". – Roszma notuje i pyta: – Od kiedy to trwa?

Zamknęła oczy. Próbowała poczuć ten pierwszy raz. Znaleźć moment, który był początkiem. Zobaczyła jego wykrzywioną twarz i swój upadek. Ciemność. Więcej twarzy. Kwaśny, mdlący zapach.

– Nie pamiętam dokładnie – ścisza głos. – Od początku.

– Co robił?

– Bił, kopał…

– Jak często?

– Wiele razy.

– Co jeszcze pani zrobił?

– No wyzywał…

– Jakich słów używał?

– Od szmat, dziwek. Mówił… – Ewa odwraca się w stronę drzwi.

– Mówił?… On naprawdę tu nie wejdzie. – Roszma przybiera uspokajający ton głosu.

– …że mnie zabije.

– Pijany czy trzeźwy?

– I tak, i tak.

– I co pani wtedy robiła?

– No, uciekałam. Jest pan pewien, że tu nie wejdzie?

– Tak… Do kogo pani uciekała?

– Pamiętam, że… – Zastanawia się, co powiedzieć, w końcu się decyduje: – Kiedyś wyrzucił mnie z domu i kazał spać w lesie.

– W lesie? – upewnia się policjant, ale nie drąży.

– Tak, to… niedaleko było. Innym razem…

– Innym razem?

– Ręce mi… – Wyciąga je do przodu.

– …związał? – dopowiada Roszma.

– Nogi też. I kazał… kazał spać w piwnicy.

– Dlaczego tam?

– Często tam spałam.

– Ale dlaczego?

– Bo kazał. A ja się bałam.

– Czego?

– Że mnie zabije.

– Była pani kiedyś na policji?

– Jakieś… dwa lata temu. Ale później to już się bałam wzywać. Traktował mnie…

– Jak?

– …jak prawdziwego śmiecia. I ciągle mówił…

Bardzo chciała dokończyć zdanie, ale usłyszała jego głos. Był tuż obok, za ścianą. Przeklinał, wrzeszczał, policjant go uciszał i też wrzeszczał: „Coś ty jej kurwa zrobił?! Widziałeś, jak ona wygląda?!”.

Przełknęła ślinę, spuściła wzrok. Nic już z tego nie będzie, panie sierżancie, mówi sama do siebie, a Roszma ponownie zapewnia, że nie ma się czego bać. Ale Ewa już nie słucha. Wyrzuca z siebie jeszcze tylko kilka pojedynczych zdań – o wczorajszym obiedzie, który mu nie smakował, o nocy w piwnicy, telefonie do matki. Policjant układa relację w całość i daje Ewie kartkę do podpisania. Do protokołu dołącza szpitalną obdukcję.

– Panie policjancie…

– Tak?

– Ja się go boję. Nie chcę tam wracać.

*

Po powrocie do domu rodziców kąpiel. Matka Barbara, dla domowników Bachna, kładzie na pralce czysty ręcznik, chwilę się córce przygląda. Dłonią muska siniaki na kolanach. Mówi: – Dziewczynki mnie martwią. Dziwnie się zachowują.

Ewa ma posłane na zielonej amerykance, tej samej, na której przespała szkolne lata. Chciałaby zasnąć i o wszystkim zapomnieć, ale przenikają do jej świadomości wydarzenia ostatnich godzin. Pytania, masa pytań zadawanych w różnych celach. Minie chwila, zanim ojciec zacznie chrapać matce do ucha. Ewa wyjmuje z szafki latarkę i przenosi się pod stół. Ciemność jeszcze długo będzie wprawiać ją w stan przerażenia.

Poranek nie lżejszy.

– Czemu nie jesz? – pyta przy śniadaniu matka. – Weź kanapkę.

Wzięła. Wydawało się, że zaraz włoży ją do ust, ale odłożyła chleb i wybrała z talerza pokruszone kawałki. Niewiele tego dnia rozmawiali.

Mówi się, że wstyd przychodzi z zewnątrz, ale Ewa może przysiąc, że gdy usiedli do obiadu, wypalał ją od środka. Dłuższą chwilę patrzyła w talerz, aż w końcu przyznała:

– Nie umiem jeść widelcem.

– Ale dziecko, no jak nie umiesz?

– No nie umiem, pójdę do kuchni.

– Zjedz, jak potrafisz.

Ulgę poczuje, gdy zostanie sama w domu. Wejdzie do kuchni, uklęknie przy misce psa, zje, co zostawił. Ciało pamięta.

– Gdy słyszała dzwonek, chowała się pod stołem – powie sześć lat później jej matka.

Żadnych oznak

Grudzień 2010 – maj 2011

Następnego dnia do Mariusza jedzie dzielnicowy. Jego komisariat, mieszczący się w biało-szarym budynku z oknami wychodzącymi na magazyny i pola, ma pod sobą prawie czterdzieści wsi i właśnie przejął dochodzenie.

Gdy mężczyzna wchodzi na podwórko Sapałów, ma za sobą jedenastoletnie doświadczenie w policji. Jak wszyscy nowo przyjmowani zaczynał od patrolowania ulic, z czasem awansował na dzielnicowego. „Mój ówczesny przełożony ocenił, że będę się sprawdzał na tym stanowisku z uwagi na posiadane predyspozycje, i chyba się nie mylił" – powie dwa lata później. Okazją do rozmowy stanie się nominacja do tytułu „Dzielnicowego Roku" w plebiscycie lokalnego dziennika. Ludzie we wsi mają go za skrytego, nieufnego.

Tego dnia Mariusz wrócił z wytrzeźwiałki, gdzie trafił dzień wcześniej prosto z komisariatu. Oprowadza dzielnicowego po podwórku, po którym walają się stare opony i resztki porąbanych na opał fragmentów stodoły. Śnieg przykrył maszyny rolnicze, kilka niebieskich beczek, zniszczony fotel. Wchodzą do domu. Budynek nie ma ogrzewania ani bieżącej wody, a w dużym pokoju na piętrze stoi westfalka. Obok trochę rozrzuconego węgla i jakieś papiery. Na ścianach wilgoć. Do piwnicy policjant nie schodzi.

Mariusz przekonuje dzielnicowego, że żona się wyprowadziła, bo doszło do zwykłego małżeńskiego nieporozumienia. Niedługo wróci, twierdzi, w każdym razie on by tego bardzo chciał. Auto opuszcza podwórko,

Mariusz dzwoni do Ewy. „Lepiej oddaj dzieci – radzi – i tak nikt ci nie uwierzy".

*

Padało, kiedy pierwszy raz wyszła na ulicę. Choć miasteczko poza sezonem jest martwe, pod jej nieobecność mocno się zmieniło – odmalowane bloki, nowe chodniki, więcej zieleni. Przybyło lumpeksów, salonów fryzjerskich, banków i ciasno zaparkowanych samochodów. Idzie ulicą i przygląda się mijanym budynkom. Czuje, jak dziewczynki zaciskają palce w jej dłoniach.

Jest początek stycznia, matka umówiła Ewę na spotkanie w opiece społecznej. Potrzebują ubrań, pieniędzy, zabawek. Wysiadły z autobusu, skręciły w jedną z bocznych ulic miasta i przecięły mały skwer ze stolikami do gry w szachy. Od budynku dzieliło je może kilkanaście metrów. Układała w myślach, co powie, kiedy poczuła, że ktoś za nimi idzie.

Krew tętni w skroniach, dłonie się pocą, nogi dygoczą. Przyśpiesza, już prawie zaczyna biec, dziewczynki ledwie za matką nadążają, przeczuwa, że nie ucieknie, serce gwałtownie łomocze, odwraca się… i nikogo nie widzi.

Scena powtarza się przez kolejne tygodnie. Jest w stanie przysiąc, że go widziała. Zaczyna biec, prawie ją dogonił, zdążyła dobiec do klatki. Oszalałam, stwierdza w końcu i idzie do psychiatry.

W gabinecie opowiada, że męczą ją myśli samobójcze, boi się ludzi, ciągle płacze. Lekarz diagnozuje depresję, nerwicę i symptomy zespołu stresu pourazowego. Ewa dowiaduje się, że jednym z efektów ubocznych może być niezdecydowanie w najdrobniejszych sprawach. Dobrze więc, by była dla siebie wyrozumiała. Na koniec lekarz pyta o sporą niedowagę. Ewa odpowiada, że była głodzona oraz przetrzymywana w piwnicy. Dostaje leki i skierowanie na terapię. Po dwóch miesiącach ją przerywa.

– Poczułam się lepiej. I nie chciałam się już tym zajmować – wytłumaczy mi potem. – Mówiąc o tym, co się stało, dławiłam się łzami. A później na

twarzach osób, które tego słuchały, widziałam grymas obrzydzenia. Albo wydawało mi się, że się ze mnie śmieją. Te halucynacje były nie do wytrzymania. Z czasem leki zaczęły pomagać, ale obrazy długo jeszcze wracały. Ja się bałam wszystkiego, także tego, że znowu zacznę się bać.

U młodszej Wiktorii widać małe łyse placki na głowie po wyrwanych włosach. Urzędniczka w opiece pyta, co się stało. Mówienie przychodzi Ewie z trudem. Odpowiada, że jej brat wyjął z biurka taśmę klejącą, córka to zobaczyła, wpadła w histerię i zaczęła wyrywać sobie włosy. A także: dziewczynki są płaczliwe, moczą się w nocy.

Następnego dnia w trakcie zabawy z Wiktorią starsza Alicja kładzie siostrę na podłodze i ściąga jej rajstopki. Ewa prosi córkę, by wyjaśniła, co robi. A ona, że to, co tata. Bo „tata mi tam robił". Ewa idzie do kuchni, gdzie dowiaduje się od Barbary, że w trakcie toalety dziewczynki opowiedziały jej, jak Mariusz porównywał ich biusty. I że rozebrały się, i na sobie położyły. Wkrótce Ewa słyszy, jak Alicja opowiada siostrze, co robiła, gdy zostawała z tatą. Słowa dziecka są ciężkie, przygniatające.

Idzie na komisariat i składa kolejne zawiadomienie, tym razem dotyczące molestowania seksualnego dzieci. Relacjonuje zachowanie córek i dodaje:

– Mój mąż ciągle wydzwania i się odgraża, że będzie walczyć o dzieci.

*

Dwa tygodnie po wizycie dzielnicowego na przesłuchanie zostaje wezwana matka Mariusza. Siedemdziesięcioletnia Marcela Sapała, niska, krępa kobieta o zmęczonej twarzy, na wiejski komisariat ma trochę dalej niż do sklepu. Rzadko wychodzi z domu, dlatego na tę okazję zakłada jasny sweterek, spod którego wystaje brudnawe ostrze niegdyś białego kołnierzyka.

Z postanowienia o umorzeniu śledztwa Ewa dowie się potem, że według teściowej małżeństwo syna było normalne, niczego niepokojącego nie

zauważyła. Żadnych siniaków, krzyków, spania w piwnicy. Czasem się kłócą, ale kto się nie kłóci?

– Mam dobry kontakt z synową, nigdy się na syna nie skarżyła – zapewnia Marcela. – On może czasem wypije, ale nie za dużo. Upija się rzadko.

Policja odpytuje też krewnego Mariusza. Chłopak ma dwadzieścia cztery lata, mieszka z Sapałami w drewnianej chacie. Wysoki, szczupły, krótkie proste włosy. We wsi mówią: w porządku, grzeczny, kucharzy w pobliskim hotelu. Blisko związany z Witoldem Sapałą, mężem Marceli. Jego wersja: nigdy nie widział, by wujek Mariusz kłócił się z ciocią Ewą. Jest dobry dla swojej rodziny, na dzieci nigdy ręki nie podniósł. Nie dogaduje się jedynie z teściową. Mieszka na tej samej posesji, to przecież by zauważył, gdyby się działo coś złego.

Najbliższy sąsiad to leśnik Tadeusz Kaleta. Wydaje mu się, że Mariusz to pracowity, spokojny człowiek, ale zna go tylko z widzenia i słyszenia. Nie zauważył, by Mariusz nadużywał alkoholu. Gdy Ewa rodziła, zawiózł ich oboje do szpitala. Sapała sprawiał wrażenie opiekuńczego i troskliwego.

– To był mój jedyny kontakt z nimi – opowie osiem lat później. – Nie licząc tego, że kilka razy widziałem, jak wracał z pracy. Nie znałem ich, mieszkałem tam od niedawna. Próbowałem to wtedy policji uzmysłowić. Oni się chyba do Sapałów przyzwyczaili.

Dom matki zamieszkuje jeszcze rodzeństwo Mariusza oraz ich dzieci. W pobliżu żyją ciotki, szwagrowie, bracia, daleki kuzyn i jego żona – sołtyska, a trzydzieści pięć kilometrów dalej jeszcze siostra. Ale ich policja nie odpytuje. Przekazują prokuraturze, że nie ustalili innych źródeł dowodowych oprócz już przesłuchanych świadków. I, jak to się mówi w prawniczym żargonie, mimo że w pełni wykorzystali inicjatywę dowodowo-wykrywczą, nie zdołali potwierdzić wersji pokrzywdzonej.

Potem rozmawiają jeszcze z pracownicą gminnego ośrodka opieki społecznej. Całe życie to samo miejsce pracy, mieszkanka sąsiedniej wsi. Ewę i Mariusza zna od stycznia 2007 roku.

Jeden z byłych już policjantów: – Wiele razy się zastanawiałem, jaki byłby przebieg śledztwa, gdyby wtedy powiedziała prawdę.

Ewa czyta, że urzędniczka odwiedzała ich wiele razy, nie raz rozmawiały. Podczas tych wizyt nie zauważyła niczego, co by świadczyło, że w rodzinie dochodzi do jakiejkolwiek przemocy. A Ewa nigdy się nie skarżyła. Przyszła do niej dopiero 7 grudnia 2010 roku, czyli trzy tygodnie przed ucieczką. Złożyła podanie o zakup żywności i opowiedziała, że mąż pije, wszczyna awantury. Bywa, że uderzy. Pracownica socjalna poleciła Ewie, by założyła Mariuszowi Niebieską Kartę. Ewa takiej propozycji nie pamięta.

Mariusz, szczupły i łysiejący, wtedy w wieku czterdziestu jeden lat, zostanie przesłuchany trzy miesiące później. Siądzie naprzeciwko komendanta tamtejszej policji i powie mniej więcej tak:

– Było dobrze, dopóki w związek nie zaczęła się wtrącać teściowa. Żonę uderzyłem tylko raz, zaraz po ślubie. Raz po kłótni żona faktycznie uciekła do pomieszczenia na dole, ale nie do piwnicy, tylko na parter. Ojciec trzyma tam zboże i części do ciągnika. Poszedłem do niej, przeprosiłem, wróciła. Przyznaję też, że krzyczałem.

Policjant: – Na czym polegało to krzyczenie?

– Krzyczałem, gdy nie chciała ze mną współżyć.

Zły tata

Niebieski pokój do przesłuchań małoletnich ofiar i świadków okazał się żółty. Jasne panele, stolik ze sklejki, pod oknem zielona kanapa. Na szafce pluszaki, klocki. Na ścianie wielkie lustro. Pomieszczenie przedziela ciężka zielona kotara. Pokój ma robić wrażenie przytulnego, a przypomina tanią kwaterę do wynajęcia.

Czteroletnia Alicja nie wie, że w pomieszczeniu ukryto kamery i mikrofony. Rozmowę prowadzi biegła psycholożka specjalizująca się w psychotraumatologii, siedząca obok protokolantka wystukuje najważniejsze zdania. Jest jeszcze sędzia (kobieta), co ma dać zeznaniom moc dowodową.

Policyjne dochodzenie w sprawie Mariusza nadzoruje prokuratura w Pucku, najbliższy pokój przesłuchań małoletnich ofiar znajduje się w Gdańsku. Całości przygląda się niezwiązany ze sprawą prokurator, bo prowadząca postępowanie na przesłuchaniu się nie pojawia. Mężczyzna stoi za lustrem, pytań nie zadaje.

Dziecka nie można przesłuchiwać bez rodzica lub tymczasowego opiekuna prawnego, jest więc i Ewa. Jej obecność ma sprawić, że mała Alicja poczuje się bezpiecznie. Nie może jednak niczego córce sugerować. I tego nie robi. Kilka razy zakryje jedynie dłonią usta, by powstrzymać płacz. Jest 7 kwietnia 2011 roku, minął trzeci miesiąc od wszczęcia sprawy. Od zeznań dziewczynki zależy jej dalszy przebieg.

Po wejściu do pokoju Alicja wyjmuje z szafki kredki i blok rysunkowy. Siada przy dziecięcym stoliku, energicznie kreśli kółka. Luźny dres i różowa koszulka na ramiączkach podkreślają jej filigranową budowę.

– Dla kogo ten kwiatek? – pyta biegła.

– Dla mamuśki!

W trakcie przesłuchania dziewczynce trudno usiedzieć. Co chwilę wstaje, gestykuluje, troszczy się o Ewę, przejętą relacją córki: – Mamusiu, nie płacz, ja ci pomogę. Chcesz pić? No powiedz, chcesz? Będziesz chciała, to dostaniesz.

Zachowanie Alicji jest ważne, ma ono wpływ na ocenę wiarygodności zeznań dzieci. Taka ocena nie może dotyczyć tylko zawartości tekstowej, motywacji albo stopnia szczegółowości (dzieci nie są w stanie konstruować dłuższych, zmyślonych opowieści). Ważny jest też, jak dowodzi profesor Ewa Gruza, specjalistka kryminalistyki, sposób zeznawania, zaangażowanie w przeżywane jeszcze raz fakty. W przypadku Alicji zostanie to zignorowane. Do dzisiaj nie wiadomo, czy ktokolwiek w Pucku obejrzał wówczas to nagranie.

Alicja przyjechała bez siostry. Psycholożka wykluczyła możliwość przesłuchania młodszej o rok dziewczynki, bo zna tylko kilka słów, najczęściej potakuje, a dziecko może zeznawać pod warunkiem, że potrafi werbalizować swoje spostrzeżenia i przeżycia. Ale Wiktoria wykonuje gesty, które mogą sugerować odzwierciedlanie doświadczeń: dotyka palcami krocza lalki.

Alicja ma zaledwie cztery latka, jednak podaje sporo szczegółów: że „tata grzebał między nogami i bolało", „robił dużo i Wiktorii też". Mamę bił i zamykał związaną w piwnicy. A im spalił wszystkie zabawki. Opowiada też, że kiedy mama była zamknięta, Wiktoria leżała w pokoju. Też związana, a sznurek „tata wiązał tak ciasno, że widać było krew". Obie bił laczkiem tak, że zostawały siniaki. „Mama była w piwnicy długo, też w nocy, bo nie przyszedł jej rozwiązać".

Widać, że dziewczynka boi się ojca, co uprawdopodabnia opisane przez nią sytuacje. Ma kłopoty z określeniem częstotliwości wydarzeń, ich obrazy się zlewają, lecz to typowe dla dzieci z podobnymi doświadczeniami. Z psychologicznego punktu widzenia zeznania Alicji mogą być samodzielne i wynikają z własnych przeżyć. I na pewno nie oddają w pełni

doświadczeń. Wyglądało to tak, powie mi potem jeden ze śledczych, jakby dziecko cierpiało i nie wiedziało, jak wyrazić swoje przeżycia.

Brak dowodów

Dni lecą powoli, jak we śnie. Chciałaby coś zrobić, ale nie wie co. Chciałaby gdzieś pójść, lecz nie wie dokąd. Aż któregoś poranka ponownie idzie do opieki i dowiaduje się, że jest dla niej praca w kuchni domu seniorów. Pokroić mięso, posiekać warzywa – byle oderwała się od trudnych myśli.

Jedna z pracujących tam kobiet mówi Ewie, że bardzo się cieszy z jej obecności, i odtąd we wszystkim ją wspiera. A ona po pewnym czasie się zwierza. Wkrótce słyszy od kobiety: „Ja też swoje przeszłam, też się za siebie oglądałam. To minie".

Zupa, drugie, kompot – niegdyś marzenie, dziś udręka. Jednak siada ze wszystkimi do stołu i zmusza się do połykania. A po posiłku klęka nad sedesem i wpycha do gardła trzy palce.

Wieczorem bierze tabletki, żeby zasnąć. Jeśli to jej się udaje, to tylko na dywanie i przy zapalonym świetle. Najgorszy jest sen, w którym ktoś zakłada jej na głowę worek.

O przeszłości nie daje też zapomnieć Alicja. Zdarza się, że dziewczynka bierze laczek i uderza matkę w głowę. Albo chwyta za szyję i poddusza. Sceny z dawnego domu odtwarzać będzie jeszcze wiele miesięcy. Kiedy przestanie jej to wystarczać, zacznie się ciąć.

Bezpośrednio po ucieczce córki Barbara jest troskliwa, szybko jednak zaczyna martwić się o pieniądze. Ewa, by nabrać dystansu, jeździ do babki. Za babcią tęskniła najbardziej. Lubi patrzeć, jak staruszka krząta się po kuchni, szura garnkami, drobną wychudłą dłonią kreśli opowieści. W trakcie jednej z wizyt Ewa proponuje, że zamiecie korytarz, wytrzepie babcine dywany, umyje schody. Na klatce spotyka sąsiadkę. Kobieta cieszy

się na widok Ewy, dopytuje, czemu tak schudła. Ewa odpowiada, a twarz kobiety, zwykle uprzejma i wesoła, ściąga się w grymasie bólu.

– Twoja babka też łatwo w życiu nie miała. Nieraz jam słyszała – mówi.

*

Nadzór nad policyjnym dochodzeniem przypada młodej asesorce. W Pucku pracuje niecałe dwa lata. Niedługo zmęczą ją dojazdy z Trójmiasta i zostanie adwokatką do spraw rodzinnych, ale na razie co rano siada przy biurku i prowadzi jednocześnie blisko sto spraw. Jako asesorka, czyli osoba przygotowywana do zawodu prokuratora, końcowych decyzji nie może podejmować samodzielnie. Jej postanowienia musi zatwierdzać zwierzchnik. I to robi.

Trzynaście dni po przesłuchaniu Alicji asesorka dochodzenie umarza. Powód: opinia psychologiczna, sporządzona po przesłuchaniu dziewczynki, nie jest przekonująca.

Tok myślenia: według matki Mariusza syn pije rzadko, a krewny mieszkający na tej samej posesji nigdy nie widział, by Ewa i Mariusz się kłócili. Także leśniczy zaświadcza o prawdomówności Mariusza. Powiedział – choć znają się tylko z widzenia i słyszenia – że to spokojny człowiek. Ważnym świadkiem jest też pracownica opieki społecznej.

Rodzina Ewy, jeśli już coś wie, to od niej. Sami niczego nie zauważyli. Wypowiedź Mariusza, że krzyczał, gdy Ewa nie chciała współżyć, prokuratura w uzasadnieniu decyzji pomija, a zeznania Alicji uznaje za mało wiarygodne – bo dziewczynka ma dopiero cztery lata, a jej opowieści „nie udało się poprzeć dowodami". Dlatego, pisze asesorka, do słów dziecka należy podejść z ostrożnością. Stwierdza tak, choć uczy się prokuratorów, że już trzylatek może dostarczać sensownych i kompletnych informacji na temat zdarzeń z przeszłości.

O przesłuchanie Ewy w obecności biegłego psychologa śledczy nie wnioskują.

– Ja i Ala mówiłyśmy to samo. – Ewa wkłada postanowienie do papierowej teczki. – Ona była moim najważniejszym świadkiem.

Nikt nie sprawdza interwencji u Sapałów i karalności Mariusza. A szkoda, bo ciążący na nim wyrok za jazdę po pijanemu na rowerze może przeczyć tezie, że rzadko pije.

*

Cienką kopertę z prokuratury otworzyła przy matce.

– Ty przeczytaj – powiedziała. – Ja nie dam rady.

Barbara wzięła kartki do ręki, przesunęła się do światła. Kiedy kończyła, Ewą wstrząsnął płacz.

– Pismo przyszło niedługo po tym, gdy naprawdę spotkałam go na ulicy. Szłam z psem, nagle ktoś zaczął wołać. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Mariusz. Przyśpieszył w moją stronę. Najpierw to zignorowałam, pomyślałam, że znów mam zwidy, ale ponownie spojrzałam za siebie: jednak on. Wbiegłam do klatki, drzwi akurat były uchylone. Jakbym uciekała śmierci.

Stać się kimś innym

Z ostatniej strony postanowienia o umorzeniu dowiaduje się, że może decyzję śledczych zaskarżyć.

– Musisz – radzi Barbara. – Nie możemy tego tak zostawić.

Odpowiedź Ewa spisuje niebieskim długopisem na kartce w kratkę. Powolne i staranne pismo, jakby przepisane na czysto[3]:

Mąż Mariusz dopuścił się wielokrotnego bicia mnie, swojej żony. Izolował i groził, że mnie zabije, także wyzywał od różnych. Mąż poprostu kłamie w swoich zeznaniach, ponieważ pracował niewiele, a zarobione pieniądze przepijał. Bardzo często wracał do domu nietrzeźwy. A jego matka też piła codziennie alkohol. A mąż razem z nią. Wielokrotnie przebywał u matki i tam razem pili alkohol. To znaczy ze swoimi braćmi i matką Marcelą Sapałą.

Moja teściowa Marcela Sapała wielokrotnie widziała moje posiniaczone uda i pupę. Kilka razy biegłam do niej, żeby coś zrobiła, aby jej syn Mariusz Sapała mnie nie bił. Mąż bił mnie nawet kiedy byłam w ciąży z pierwszą córką, jak również w drugiej ciąży. Natomiast do bratanka męża bardzo często dzwoniłam po pomoc, a on przychodził. Więc wynika, że zeznaje na korzyść swojego wujka Mariusza. Moja teściowa piła alkohol zawsze, więc skąd mogła wiedzieć, co się u mnie dzieje, kiedy ja bardzo często nie wychodziłam na podwórze. [...] *Pani z opieki nigdy nie było u nas w domu na wywiadzie środowiskowym. Panie z opieki przyjeżdżały, ale do mojej szwagierki* [...] *Mąż zrobił coś małoletniej córce Wiktorii, ponieważ w styczniu 2011 płakała na widok taśmy klejącej. Stawała się nerwowa, ciągle powtarza, że tata ją wiązał i zaklejał jej buzię taśmą. Dotykał jej krocze. Wierzę również w zeznania starszej córki Alicji. Ona mówi o tacie tylko: złodziej.*

Na koniec wytyka prokuraturze, że pominięto zeznania jej matki, która powiedziała, że w lipcu 2010 – jak odwiedziła córkę – zauważyła zasinienie

na udzie Ewy. Ale córka wytłumaczyła, że przewróciła się na rowerze.

Prokuratura zażalenie Ewy przekazuje sądowi. I wnioskuje o jego oddalenie.

*

Posiedzenie odbędzie się we wrześniu. Do tego czasu Ewa wyprowadzi się od rodziców i wynajmie pokój z kuchnią. Psychologia nazywa ten etap reorganizacją. Nadchodzi po szoku oraz odrętwieniu i dezorientacji, kiedy życie utrudniają stany lękowe. Reorganizacja oznacza, że osoba, która doświadczyła skrajnej przemocy, próbuje wrócić do równowagi.

Jej nowy dom znajduje się na obrzeżach miasta. Do mieszkań prowadzą drewniane schody z balustradą, u szczytu budynku taras z dwoma zużytymi fotelami, starym stolikiem i suszarkami na pranie. Można uspokoić oczy zielenią i ze strachem pomyśleć o zbliżającej się nocy.

Wytrwać pozwala zapalone światło i kojący widok śpiących dziewczynek. Rankiem zejście na dół i modlitwa przed zawieszoną na ścianie budynku kapliczką. Chciałaby uciec, zostawić przeszłość w tyle, ale jak stać się kimś innym?

Obok mieszka Krzysiek. Po rozwodzie, niewysoki, z lekkim zarostem, ciepłym uśmiechem i brzuszkiem pod swetrem. Co kilka dni puka, by powiedzieć, że właśnie jedzie do marketu. Albo proponuje, by Ewa też pojechała.

– Po co masz te siaty nosić? – dziwi się, a niebawem interweniuje, gdy do jej drzwi dobija się Mariusz. Pyta: – To dlatego jesteś taka zalękniona?

Sklep

Zapach drewna, jeszcze puste półki, nieco kurzu. Siedzimy przy dużym stole zajmującym połowę niewielkiego, odświeżonego salonu połączonego z jasną kuchnią. Jest niedziela, koniec lutego, wczesne popołudnie. Elżbieta, drobna szatynka w dżinsach, granatowej bluzce i z ledwo widocznym makijażem, stawia przede mną filiżankę czarnej kawy, następnie muska kciukiem srebrne kolczyki z cyrkoniami. Jej miasteczko, w lecie gwarne i zatłoczone, o tej porze zdaje się być wymarłe. Ulice puste, lokale i budki pozabijane deskami, szum morza.

– Ostatni raz widziałam Ewę krótko po tym, jak wyprowadziła się od matki. – Elżbieta przysuwa sobie krzesło. – Odwiedziła moją siostrę, opowiedziała, co ją spotkało. Nie miała zabawek ani ubrań dla dzieci, potrzebowała materacy. Zawiozłyśmy, co miałyśmy. Do pracy w moim sklepie przyszła latem 2010, i tylko na sezon. Musiała pani minąć, duży zielony szyld. Przyjeżdżała na rowerze, wieczorem odbierał ją mąż. Za każdym razem brała dla niego piwo i papierosy. Zażartowałam kiedyś, że przyjeżdża, by mieć pewność, że zrobi mu zakupy. Nie odpowiedziała. Teraz uważam, że w ten sposób jej pilnował. Żadna z nas nie drążyła. Widzi pani, lato to najwyższy sezon. Nie jest to czas na kawę i rozmowy.

Dziś myślę, że trzeba się było dopytać. Strasznie chuda była, znerwicowana. Miała tiki, jakby co jakiś czas przeszywał ją prąd. Do pracy przychodziła ubrana w męskie koszule w kratę, spodnie miała spięte klamerką. Pomyślałam, że im się nie przelewa i bardzo potrzebuje pracy. Zaproponowałam: „Bierz z kasy na bułkę, kiedy tylko chcesz. Serami czy wędlinami proszę się częstować". Nie szukała kontaktu, nic o sobie nie mówiła. Dopiero w sądzie zrozumiałam, że sklep to był jedyny czas, kiedy mogła zjeść. Do teraz nie mogę pojąć, że nic nie powiedziała. Mój mąż też

był alkoholikiem, z czasem zaczął łapę podnosić. Odeszłam po dwudziestu pięciu latach, w 2007 roku. Nie chciałam, żeby dzieci na to patrzały. Przyszłam tutaj, dom już stał, cały miał iść na wynajem. Trzy lata później moja siostra też zostawiła męża. Z taksówkarza przemienił się w hazardzistę i boksera. Długów u mafii narobił. Nie miała gdzie się podziać, matka jej powiedziała: „Wzięłaś takiego, to masz". To samo usłyszała od swojej moja kucharka. To dlatego na wsi się utarło, że nie wolno się rozwodzić. Bo potem nie ma dokąd pójść. Moja mama miała jedenaścioro rodzeństwa. Gdy któreś poszło na swoje, rodzice ulgę odczuwali. Nie że wracasz do domu rodzinnego i to jeszcze z dziećmi. Siostrę wzięłam ja, dałam jej dach nad głową i pracę. Zaczęła sobie radzić, namówiła męża na sprzedaż mieszkania, kupiła ciasne w Pucku.

Wcześniej spotkała się z tym gangsterem w McDonaldzie i spłaciła te nie swoje długi, choć nie w całości. „Więcej ci nie dam – powiedziała. – Moje dzieci muszą gdzieś mieszkać". Uszanował. Niebawem problemy miała druga siostra. Mąż ją zgwałcił, latami znęcał się nad rodziną. Był bezczelny, potrafił pojechać na komisariat i złożyć zawiadomienie, że żona grozi mu śmiercią. Nie dało im to do myślenia. Gwałt umorzyli przez brak dowodów. Nie byłam zaskoczona. My tu kiedyś mieliśmy taką sprawę, gdzie synowie gwałcili matkę, a mąż regularnie wyrzucał ją z domu. Zmarła zimą na ławce przed kościołem.

Odejść łatwo nie jest, ja jeszcze długo się zastanawiałam, czy dobrze robię. Dzieci tęskniły, nie pamiętały wszystkiego jak ja. Mąż zawsze trochę pił, po ojcu tak miał. Wzięłam go takiego, bo tutaj to normalne. Ludzie pracują latem, a zimą nie mają co robić, to piją. Jeśli ktoś wyjeżdża, szuka pracy w mieście, to młodzi. Wie pani, ile tu kobiet pije? By się pani zdziwiła. We wrześniu 2010 też poszłam do puckiej prokuratury. Syn, student, wpadł w narkotyki i alkohol, spowodował wypadek samochodowy. Chciałam, żeby skierowali go na przymusowe leczenie. Wszczęli postępowanie, wysyłali wezwania, których on nie odbierał. W grudniu zniknął, po czasie odnalazł się we Francji. Martwy. Po roku w moich

drzwiach stanęła policja. Przyjechali, żeby doprowadzić syna na sprawę o przymusowe leczenie.

Znałam tam jednego prokuratora, wiem, jakie ma relacje z żoną. Czy ktoś taki jest w stanie kobiecie pomóc, skoro sam nad sobą nie panuje? Jeśli o mnie chodzi, to nie wyobrażam sobie, żeby córki nie przyjąć. Dla dzieci zrobiłabym wszystko, choć nie potrafię okazywać uczuć. To przez to, że moje relacje z matką były chłodne. Nigdy nas nie przytulała, bo jej też nikt nigdy nie przytulał.

Pamiętam Mariusza z sądowego korytarza. Przyprowadzili go w kajdankach, uśmiechał się, jakby nic się nie stało. Tego dnia zeznawał jego brat lub jakiś kuzyn. Powiedział o Sapale: „Gnój, tak nie można". Ale z przesłuchania wyszedł szybko. Ta sprawa mnie czegoś nauczyła. Jestem i będę uważniejsza. Może wystarczyło się wtedy zapytać? Może by Ewa coś powiedziała?

Taki był pozwany

W sądzie jest pierwszy raz i byłaby nawet ciekawa tego wymiaru sprawiedliwości, gdyby nie czuła się tak zagubiona. Asesorka w obszytej czerwienią czarnej todze kojarzy się jej ze śmiercią.

Posiedzenie trwa dziesięć minut. Ewa zeznaje, że w ich domu nigdy nie było kobiety z opieki społecznej.

– Musiała się pomylić – wyjaśnia. – Przychodziła, ale do brata Mariusza, Stacha, mieszkającego z rodziną na poddaszu drewnianej chaty. Krewny męża także nie mówi prawdy. Często dzwoniłam do niego po pomoc, bo był najbliżej. Także dzień przed ucieczką, około godziny dwudziestej, dwudziestej pierwszej.

Nie sposób dokładnie odtworzyć jej wypowiedzi, ale prokuratorka prawdopodobnie powtarza, że nie da się udowodnić słów Ewy. Jeśli świadkowie są, to nie bezpośredni. Opieka społeczna – wbrew temu, co twierdzi Ewa – podaje, że u Sapałów była nie raz i niczego nie zauważyła. Postępowanie proponuje umorzyć.

Sędzia uważa inaczej. Skoro Ewa się upiera, że pracownicy socjalnej u nich w domu nie było, trzeba to wyjaśnić. To na tej niezgodności prokuratorka opiera przecież swoje ustalenia. Podpowiada, co należy zrobić: ściągnąć akta Sapałów oraz ich krewnych mieszkających na tym samym podwórku i sprawdzić działania opieki pod obydwoma adresami. Pomocne w rozwikłaniu sprawy mogą być także dokumentacja medyczna oraz zeznania lekarza, który wykonał Ewie szpitalną obdukcję. Zaznacza: trzeba odtworzyć wersję Ewy.

Sędzia odnosi się też do podważania wiarygodności zeznań Alicji. Jeśli prokuratura chce kwestionować opinię psychologiczną, niech powoła

innego biegłego. Zeznania dziecka potwierdza przecież matka.

Na koniec sędzia ma dla Ewy złą informację: prokuratura nie będzie się zajmować dłużej ewentualnym molestowaniem seksualnym Alicji i Wiktorii. Dziewczynki – na wniosek śledczych – są pod opieką kuratora sądowego. Funkcję tę objęła asystentka sędziego i w żaden sposób nie włączyła się do sprawy. A to jedyna osoba uprawniona do interweniowania.

Ewa: – Wtedy dowiedziałam się, że dziewczynkom została przydzielona kuratorka. Ani razu się ze mną nie skontaktowała.

*

Zaraz minie rok od wszczęcia sprawy, dziury w śledztwie łata ten sam wiejski komisariat policji. Dokumentacji z opieki nie ściągają, za to ponownie przesłuchują pracownicę socjalną, która powtarza, że w domu Ewy i Mariusza była kilkukrotnie, ale niczego nie zauważyła. Dokonują też oględzin telefonu komórkowego należącego do bratanka, do którego Ewa wiele razy dzwoniła po pomoc. Według jednego ze śledczych oględziny wyglądały tak: obejrzeli telefon, zajrzeli w menu, stwierdzili, że w pamięci nie ma numeru Ewy Sapały. Nie widniały też żadne połączenia z 27 grudnia 2010 roku. O billingi nikt nie wniósł.

Asesorka idzie na macierzyński, prokuratorka aprobująca dotąd jej decyzje przenosi się do Wejherowa. Analiza materiału spada na zastępcę prokuratora rejonowego. Rocznik 1963, przeszło dwudziestoletnie doświadczenie, trener lokalnej drużyny piłkarskiej, przed pójściem na aplikację miejski urzędnik. Jego sąsiedzi z Półwyspu Helskiego do dziś pamiętają, jak pomógł dziewczynie wykorzystywanej seksualnie przez ojca.

I on, 30 listopada 2011 roku, umarza sprawę. W uzasadnieniu pisze: „Ocena dowodów prowadzi do nieodpartego wniosku, że w sprawie ścierają się dwa odmienne stanowiska stron, których relacje są zgoła odmienne […] Mimo wyczerpania pełnej inicjatywy dowodowej, rozbieżności nie zdołano usunąć". Zeznania Alicji pomija.

Dzień później policja jedzie nadrobić jedną z zaległości. Odpytuje lekarza, który w trakcie dyżuru wykonał obdukcję. Medyk sięga do karty informacyjnej. Wynika z niej, że kobieta weszła na izbę przyjęć pobita: miała stłuczone kolana i głowę.

Ewa zaskarża decyzję. By nie musiała pisać ręcznie, młodszy brat udostępnia jej komputer. Siostra Kinga, choć w domu nie rozmawiają wiele o tym, co się stało, co jakiś czas zagląda jej przez ramię, podpowiada odpowiednie słowa. Pisanie nigdy Ewie nie szło dobrze, teraz też nie idzie. Drugie zażalenie zajmie jej blisko półtorej strony.

Policzki czerwienieją, wnętrze ciała się rozpala, gdy pisze, że bił w trakcie ciąży, głodził, izolował. Do oczu napływają łzy, kiedy przypomina sobie, że odcinał ją od rodziny, wymuszał milczenie. Pojawia się gniew na myśl o Negrze, wychudzonym, trzymanym na sznurze psim niewolniku, którego otruł i zakopał za domem. Albo o zagłodzonym Piniu.

Gdy siostra zostawia ją samą w pokoju, Ewa dopisuje:

W tej okropnej, ciemnej piwnicy zamykał mnie na kłótkę. W nocy ją otwierał, związywał ręce i nogi i wtedy gwałcił. Po wszystkim bił mnie po głowie. Przez ten czas moja mama mogła przyjeżdżać tylko na telefon. Przywoziła rożne ciasta i słodycze, a ja z tego nie mogłam nic jeść, bo pozwany mi zabroniał. Mogłam sobie pomarzyć o tych słodkościach. Czasami jadł te ciasta na moich oczach po to by mi gała pękła.

Bez przerwy – pisze dalej – pił. Najczęściej z matką: *Pozwany ciągle przepijał zarobione dorywczo pieniądze. Bardzo często brakowało pieniędzy na jedzenie. Musiałam prosić moją mamę o żywność. Po urodzeniu drugiej córki było gorzej, ponieważ on przyprowadzał swoich kolegów do domu i z nimi pił. A ja musiałam się przed nimi bronić, poprostu aby mnie nie wykorzystali.*

I na koniec: *W lipcu 2009 zaczęłam jeździć na rowerze zbierać borówki amerykańskie. Bo w tym czasie pozwany ciągle siedział w domu i nie pracował. Zawsze brakowało pieniędzy na jedzenie i środki czystości. Dzięki temu iż pracowałam mieliśmy za co kupić żywność. Przez trzy miesiące zbierałam te borówki a pozwany nawet nie pilnował dzieci ani nie sprzątał, tylko pił ze swoją matką i braćmi w drugim budynku (wódkę i duże piwa 1,5 l Staropolskie). Za moje*

pieniądze kupował, przez trzy miesiące zbierałam te borówki amerykańskie, te duże piwa i papierosy, a dzieci były brudne, głodne i obsrane. A jak wracałam z borówek to musiałam prać ręcznie ubranie, posprzątać pokoje, odkurzyć, ugotować dzieciom coś do jedzenia. Pozwany chodził nietrzeźwy nawet cały tydzień. Przez ten czas źle się czułam, to znaczy słabo z głodu i upałów. A za to, że pracowałam, codziennie byłam bita po głowie i kopana po nogach. Do pracy jeździłam ze zwichniętą nogą na rowerze. Pozwany kradł moje zarobione pieniądze. Nawet gdy pracowałam, to czas wolny musiałam siedzieć w piwnicy. Myć się w zimnej wodzie i nic nie jeść.

Taki był pozwany.

Odpowiedź prokuratury: odmawiają przyjęcia zażalenia. Twierdzą, że zrobili wszystko, co było można, a dowodów brak. Nowe fakty, w tym wyznanie o gwałtach, ignorują. Wydają zarządzenie o odmowie przyjęcia zażalenia.

Dziś niewiele pamięta z tego dnia, najlepiej to, że starała się nie zacząć krzyczeć. Był koniec grudnia 2011, wróciła z zakupów. A może ze spaceru? W każdym razie była już w domu, gdy zadzwoniła jej matka z informacją o decyzji prokuratury. Głos miała nabrzmiały od złości.

Cztery lata później córka Ewy napisze w pamiętniku:

Ten zły tata Mariusz zamykał mamę w piwnicy. Mama tam piła i jadła jak pies. Kupę i siku robiła gdzie popadnie, a ja uderzałam mamę pałką w głowę, tak jak tata kazał. My z tatą Mariuszem chcieliśmy zabić mamę, żeby była nowa mama.

Shell shock

Ewa mówi szybko i dużo. Bywa chaotyczna, w jej opowieści brakuje chronologicznego porządku. Dopiero jak zwolni i obniży głos, znaczy, że poczuła się swobodnie. Kiedy rozmawiamy pierwszy raz, wczesną wiosną 2017 roku, wciąż boi się ciemności, miewa ataki paniki i problemy z koncentracją. Bóle głowy przychodzą i znikają. Po pierwszym spotkaniu wejdziemy wspólnie do windy. Chwyci się poręczy, na jej twarzy zobaczę purpurę.

– Myślałam, że dam radę – wyjaśni po wyjściu i na pewien czas urwie kontakt.

Potem wyczytam, że zaburzenia spowodowane przez uraz są zwykle najsilniejsze w ciągu pierwszych dni, tygodni po traumatycznym wydarzeniu, w trakcie kolejnych trzech-sześciu miesięcy ulegają złagodzeniu, by stopniowo zacząć zanikać. Bywa jednak, że obrazy z przeszłości są tak silne, że wracają nawet kilka lat po zdarzeniu. Jednym ze sposobów radzenia sobie jest unikanie wszelkich bodźców wyzwalających złe wspomnienia.

Pierwsze badania nad psychicznymi konsekwencjami gwałtu rozpoczęły w 1972 roku Ann Burgess, pielęgniarka psychiatryczna i kliniczna, oraz socjolożka Lynda Holmstrom. Dyżurując na izbie przyjęć bostońskiego szpitala, w ciągu roku miały kontakt z dziewięćdziesięcioma dwiema kobietami przyjętymi po doświadczeniu napaści. Następnie – w okresie od czterech do sześciu lat po pierwszym spotkaniu – wróciły do pacjentek i ponownie przeprowadziły z nimi wywiady. Trzy czwarte kobiet uważało się za wyleczone, około jedna trzecia twierdziła, że powrót do zdrowia zajął im więcej niż rok, co czwarta wciąż zmagała się z traumą.

Burgess i Holmstrom stwierdziły, że kobiety przeżywają gwałt jako wydarzenie graniczne – boją się o zdrowie i życie. Wówczas mogą się zachowywać – w ocenie osób z zewnątrz – mało racjonalnie. Zdarza się, że lęk podpowiada im, iż opór tylko pogorszy sytuację. Porzucają wtedy obronę, a taką reakcję organizmu nazywa się tonicznym bezruchem.

Gdy śmierć wisi w powietrzu, nasz układ limbiczny – mieszczący się w środku mózgu i odpowiadający za reakcje na wszystko, co ważne (emocje, mechanizmy obronne) – dokonuje oceny, po czym sygnalizuje gotowość do walki bądź ucieczki. Jeśli jednak spostrzeże, że nasze szanse są nikłe albo że pojawia się groźba śmierci, nakaże trzecią opcję: znieruchomienie. „W tym stanie ofiara traumy wkracza w inną rzeczywistość. Czas zwalnia, a strach lub ból przestają istnieć – wyjaśnia amerykańska klinicystka Babette Rothschild w swojej książce o psychofizjologii traumy. – W tym stanie, jeśli rzeczywiście osoba odniesie obrażenia lub zginie, ból nie jest tak mocno odczuwalny. Ludzie, którzy przeżyli upadek z dużej wysokości lub zostali poszarpani przez zwierzęta, donoszą o takiej właśnie reakcji".

Ciało reaguje natychmiast i instynktownie. Wiele osób ma do siebie potem o to pretensje. Wstydzą się, że odrętwieli, nie zrobili czegoś więcej. Pretensje może mieć potem także sąd. W sierpniu 2020 roku wrocławski sąd apelacyjny złagodził karę dla gwałciciela czternastoletniej siostrzenicy, bo dziewczynka „nie krzyczała". Zdaniem sądu świadczy to o braku użycia przemocy przez pijanego wujka (zamiast trzech lat więzienia mężczyzna dostał rok w zawieszeniu).

Następstwa urazu psychicznego to przede wszystkim pogorszenie jakości życia. Osoby skrzywdzone cierpią na stany lękowe, bezsenność, nudności, koszmary. Niektóre nawracające objawy przypominają symptomy zaobserwowane wcześniej u weteranów wojennych.

Pierwsze medyczne obserwacje dotyczące traumy wojennej pochodzą z czasów wojny secesyjnej, kiedy u mężczyzn walczących na froncie stwierdzono objawy nerwicy. W trakcie pierwszej wojny światowej syndrom ten określono jako *shell shock* (nerwica frontowa) i błędnie

uznano, że przyczyną zaburzeń u żołnierzy jest wstrząs wywołany przez uderzający odłamek. Zmieniono zdanie, gdy okazało się, że podobnych problemów doświadczają osoby bez obrażeń fizycznych. Nerwicę należało zatem przypisać urazowi psychicznemu.

Kiedy uznano, że można doznać traumy na skutek doświadczeń wojennych, zaczęto się zastanawiać, czy to zaburzenie da się leczyć. A jeśli tak, to w jaki sposób. Nie brakowało głosów, że mężczyzna cierpiący na nerwicę jest słaby i tchórzliwy, ewentualnie symuluje. Jak pisze Judith Herman, autorka uznanej pracy na temat urazu psychicznego, niektórzy przedstawiciele władz wojskowych domagali się stawiania żołnierzy przed sądem, a w literaturze medycznej pojawił się termin „inwalida moralny". Lekarze o tradycyjnych poglądach leczyli takich pacjentów zawstydzaniem, karaniem, groźbami czy prądem. W trakcie stosowania wstrząsów napominali: „Pamiętaj, musisz zachowywać się jak bohater, wszyscy tego od ciebie oczekują". Postępowi psychiatrzy opowiadali się za psychoanalizą. I jako jedyni notowali pozytywne efekty.

Kilka lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej zainteresowanie medycyny urazem psychicznym osłabło i odnowiło się wraz z początkiem drugiej. Uświadomiono sobie, że załamać może się każdy – rzecz w skali niebezpieczeństwa i okresie jego trwania. Psychiatria wojskowa wciąż nie potrafiła jednak zdefiniować natury obrażeń wywołanych przeżyciami wojennymi. Do jednego worka wrzucano zjawisko stresu na polu walki oraz skutki jego oddziaływania. Przełomem okazała się wojna w Wietnamie. Pojawiające się u weteranów zaburzenia przyjęły wówczas w USA skalę społecznej epidemii, w rezultacie czego w 1980 roku amerykańscy psychiatrzy zdefiniowali pojęcie zespołu stresu pourazowego i potraktowali go jako jednostkę chorobową (ang. *post-traumatic stress disorder*, PTSD).

Badając skutki gwałtu, Ann Burgess i Lynda Holmstrom też ukuły nowy termin: „syndrom traumy gwałtu". I sprawiły, że amerykańscy prokuratorzy zaczęli go używać jako dowodu. Kiedy potrzebne było wytłumaczenie ławnikom sprzecznych z intuicją zachowań

pokrzywdzonych, mogli odtąd sięgnąć po objawy syndromu opisanego przez badaczki, wykazując jednocześnie, że psychologiczne konsekwencje traumatycznego zdarzenia są jak nagranie z miejsca przestępstwa.

Polskie sądy, prokuraturę oraz policję uczy się na ten temat wyrywkowo. Przyjęto do wiadomości, że potrzebni są specjaliści od błędów medycznych czy przestępstw gospodarczych, ale nigdy nie uznano, że podobnej specjalizacji wymaga obszar przemocy psychicznej oraz fizycznej.

Inne ważne dla tej historii badanie przeprowadzono w 1985 roku w Holandii. Poprzedziło je osiem dużych porwań, w których zakładnikami stało się łącznie prawie pięćset osób. Na fali tych zajść postanowiono przyjrzeć się następstwom uwięzienia i w efekcie stwierdzono, że objawy wstrząsu po takim doświadczeniu utrzymują się nawet przez dziewięć lat (prawie u połowy badanych), a ich występowanie i nasilenie ma związek z okresem przetrzymywania. Im dłużej trwa uwięzienie, tym poważniejsze mogą być objawy i tym wolniej wraca się do zdrowia. A nieleczone PTSD, co zaznaczają wszyscy specjaliści, po dwóch latach zwykle przechodzi w trwałą zmianę osobowości.

Nie ma jednego rodzaju traumy. Lenore C. Terr, amerykańska psychiatra i autorka badań nad traumą z dzieciństwa, wskazuje na dwa podstawowe typy: pierwszy jest rezultatem zdarzenia zwykle pojedynczego i intensywnego (wypadek komunikacyjny, napaść, bycie świadkiem morderstwa), drugi dotyczy sytuacji powtarzających się (przemoc ze strony bliskich, zaniedbanie, uzależnienie rodziców od alkoholu). Jak sobie człowiek z tym poradzi, zależy od osobistych umiejętności, predyspozycji, jakości otrzymanego wsparcia.

Aby odróżnić uraz jednorazowy od traum wielokrotnych, specjaliści posługują się terminem *complex PTSD*. To rozpoznanie łączące cechy zaburzenia stresowego pourazowego i zaburzenia osobowości. Pojawia się u osób, które doznały krzywd na wczesnym etapie życia (dzieci) albo doświadczały ich przez dłuższy okres (na przykład maltretowane kobiety).

Rodzina zastępcza

Styczeń – listopad 2012

Siedzieli w jego skromnie umeblowanej kuchni, oświetleni jedynie starą lampką z abażurem, kiedy opowiedziała o Mariuszu. Wolałaby to wymazać z pamięci, ale uznała, że tak będzie uczciwiej.

– Trochę się domyślałem. Gdy parę razy się pojawił, było widać, że dzieci się go boją – stwierdzi potem Krzysiek. – Ale to, co powiedziała, było nie do pomyślenia. Był gorszy od hitlerowców, nie mogłem uwierzyć. O szczegóły nie wypytywałem, wziąłem, co dała. Później, gdy ze sobą zamieszkaliśmy, śniły się jej koszmary. Wtulała się we mnie tak mocno, aż się budziłem. Długo nic między nami nie było. Chyba musiała się przekonać, że tym razem nikt jej nie będzie zmuszał.

Po odrzuceniu sprawy przez prokuraturę Ewa rozwodzi się z Mariuszem i dostaje wyłączną opiekę nad dziećmi. Wynajmuje pierwsze mieszkanie z Krzyśkiem, skupia się na odzyskaniu spokoju. Niedawno zapytał, czy za niego wyjdzie.

– Nie chcę się śpieszyć. Rozumiesz?

– Doskonale rozumiem – odpowiedział.

Piątek 2 listopada 2012 roku spędzała pracowicie. Zakupy, gotowanie, pranie. Następnie spacer z dziewczynkami. Krzysiek w tym czasie stał w gumiakach na budowie jednego z gdyńskich osiedli. To dlatego, gdy do ich drzwi zapukał dzielnicowy, nikt mu nie otworzył.

Tego dnia na komisariat policji zadzwoniła pracownica opieki. Złapała za słuchawkę, bo chwilę wcześniej odebrali anonimowe zawiadomienie. Kobiecy głos powiedział:

– W tym domu bije się dzieci. Wiem, co mówię, ja tego tak nie zostawię.

Dzielnicowy wraca wieczorem, Ewa i Krzysiek są już w domu.

Krzysiek: – Ktoś próbuje nas oczernić.

Ewa: – Może zdarza się nam podnieść głos, ale bicie?

Powinni wtedy przyznać, że nie radzą sobie z Alicją. Zaczęło się od nerwowych tików i nocnego moczenia, potem przedszkolanka powiedziała, że dziewczynka nie chce się bawić zabawkami. W zamian wygłasza zasłyszane fragmenty zdań, bierze się pod boki, robi groźną minę, obniża głos. Albo – już w domu – staje na środku mieszkania i przez czterdzieści minut krzyczy. Czasem dołącza do niej Wiktoria. Chwilami Ewa z Krzyśkiem nie wytrzymują i też krzyczą. Powinni to dodać, ale są zaskoczeni.

Dziewczynki na pytania dzielnicowego reagują spokojnie. Właśnie szykowały się do snu. Policjant wychodzi, a Krzysiek pyta Ewę:

– Może to przez tę straszną historię z telewizji?

Strasznej historii by nie było, gdyby pół roku wcześniej poważnie potraktowano inny telefon.

*

Maj 2012

Do puckiej opieki socjalnej dzwoni Jolanta.

– Coś złego się dzieje w domu mojej przyrodniej siostry. Siostra ma na imię Anka i chyba bije dzieci. Są rodziną zastępczą.

Tego dnia u Anki była jej matka. Wróciła zapłakana, bo jeden z chłopców, który trafił do niej pod opiekę, miał podbite oko. Tydzień wcześniej też poszła, ale zastała tylko zięcia. Wiesław poprosił teściową, żeby zaopiekowała się dziećmi, a sam poszedł odebrać córkę Olę z zerówki. „Wiesio poszedł, mama usłyszała pisk. Poszła na górę i w pokoju zobaczyła małego chłopczyka – relacjonuje Jolanta. – Leżał w łóżeczku, na brzuszku, z przyciśniętą do materaca buzią. Kołderka była tak ciasno podwinięta, że

nie mógł się ruszyć. Płakał, dusił się. Mama wyciągnęła kołdrę spod materaca, a jak przyszedł Wiesio, powiedziała, że w ten sposób uduszą dziecko. Wiesio odpowiedział, że tak ma być. »Kacperek ma spać«”[4].

– Sprawa jest delikatna – odpowiada urzędniczka. – Bo my znamy panią Anię. Kiedy pani tam będzie?

– Niedługo, mam jej pomóc w przygotowaniach do komunii córki.

– To niech się pani wtedy rozejrzy. Ja też spróbuję. Widziałam raz u jednego dziecka podbite oko. Ale Ania powiedziała, że to przez upadek.

Po kilku dniach Jolanta dzwoni do Anki, podpytuje o dzieci. Ale Anka zdaje się już wiedzieć o jej telefonie do opieki. Mówi siostrze, że pomocy przy komunii nie potrzebuje. Matce zarzuca, że jest „szpiclem” i zakazuje odwiedzin. Odtąd siatki z zakupami babcia wiesza na płocie.

*

Anna i Wiesław rodzicami zastępczymi zostali w styczniu 2012 roku. Wcześniej przeszli szkolenie „Bliżej dziecka”. Trwało miesiąc i sprowadzało się do teorii na temat ewentualnych problemów pieczy zastępczej. Szkoleniowcy pominęli część praktyczną oraz diagnozę, czyli ocenę kwalifikacji kandydatów – predyspozycji osobowościowych i motywacji. Anka i Wiesiek powinni także odbyć dziesięciogodzinny staż w rodzinnym domu dziecka.

Wywiad środowiskowy zajął jeden dzień. Uczestniczyła w nim Anka, Wieśka nie było w domu. Podobno zrobiono im test psychologiczny. Piszę, że podobno, bo – jak wynika z akt sprawy – osoba, która miała go przeprowadzić, była tego dnia na zwolnieniu lekarskim.

Tak zgromadzony materiał przeanalizował czteroosobowy zespół puckiego Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie (dyrektorka, pedagożka, pracowniczka socjalna, psycholożka). Decyzja: Anka i Wiesiek mogą być rodziną zastępczą, bo „dzięki zdrowej konstrukcji psychicznej, dojrzałej i zrównoważonej osobowości, a także stabilnej, cechującej się właściwymi postawami wobec rodziny relacji małżeńskiej oraz dobrym

warunkom materialnym są w stanie dobrze wywiązać się z roli zawodowej niespokrewnionej z dzieckiem rodziny zastępczej".

Anka ma wtedy trzydzieści dwa lata i wykształcenie średnie. Jest kasjerką w Biedronce na urlopie wychowawczym. Starszy o cztery lata Wiesiek dorabia na budowach. Mają dwie biologiczne córki: lat dziewięć i dwa. Przeżyć pomagają im zasiłki. Opiece to nie przeszkadza. Stwierdzą jedynie, że „oceniając sytuację rodziny", najkorzystniejszym byłoby oddanie im „jednego do dwójki dzieci".

Na pomysł założenia rodziny zastępczej wpadła Anka. Mają duży żółty dom na obrzeżach Pucka, który wymaga wykończenia, kredyt też niemały i jeszcze na trzydzieści lat. Ustawa o pieczy zastępczej nie opisuje wymaganego standardu domu, nikomu nie będzie zatem przeszkadzać, że schody prowadzące do pokojów dzieci to żywy beton. Dostają pięcioro: Olę, Klaudię, Daniela, Kacperka i Krzysia, pochodzących ze wsi położonej sześć kilometrów od domu Sapałów.

Dzieci mają od roku do pięciu lat, sytuacja jest nagła. Biologiczna matka ma problem z alkoholem, a po brzuchu widać, że niedługo znów urodzi. Gdy kurator odwiedza ją na początku stycznia 2012 roku, zastaje pustą lodówkę i obcego mężczyznę na kanapie. Jest pijany, a w domu zimno. Dzieci zasmarkane, brakuje najmłodszego Krzysia. Okazuje się, że chłopczyk jest w szpitalu, gdzie trafił prosto z przychodni, do której zawieźli go sąsiedzi. Był osłabiony, w stanie nasilonej duszności. Na miejscu okazało się, że to obustronne zapalenie płuc. Ojciec biologiczny od dwóch lat w więzieniu. Dziennikarze podadzą później, że za kradzież z włamaniem, ale prawdziwym powodem było pobicie synka. Mężczyzna stracił nad sobą kontrolę, bo chłopczyk połamał ojcu ostatnie pięć papierosów.

Dzieci powinny trafić do rodziny doświadczonej, ale sąd rodzinny w Wejherowie nie chce rozdzielać piątki rodzeństwa. Padło na debiutantów, bo tylko u nich było wystarczająco dużo miejsca. Pucki PCPR ma wówczas pod sobą siedemdziesiąt rodzin zastępczych, żadnej należycie nie nadzoruje. Zespół koordynujący liczy cztery osoby, jedna z pracownic

odpowiada za czterdzieści sześć rodzin. Nikt w starostwie nie sprawuje kontroli nad PCPR-em.

Anka wiedziała o telefonie siostry do opieki, bo urzędniczka, która zna Ankę ze szkoły średniej i koordynuje jej opiekę nad dziećmi, po rozmowie z Jolantą umówiła się z małżeństwem na spotkanie i zapytała, czy biją dzieci. A oni zdecydowanie zaprzeczyli. Anka miała dodać: „Jestem może trochę nerwowa, ale to dlatego, że nie miałam w życiu łatwo". I opowiedziała, że jej ojczym miał pić i bić. Nieraz spała na wycieraczce. Gdy o małżeństwie zrobi się głośno, jej siostra i matka temu zaprzeczą.

– Dorośli biją i poniżają dzieci, by zatrzeć wspomnienie tego, co wyrządzili im rodzice – wyjaśni mi potem Krzysztof Sarzała, psycholog i wieloletni szef gdańskiego Centrum Interwencji Kryzysowej. – W takiej roli, dobrze sobie znanej, czują się bezpieczniej. Ale są też rodzice sadystyczni lub charakteryzujący się cechami psychopatycznymi. Wykazują silne skłonności do agresji, destrukcji, które służą do manipulowania innymi. Choć równie skutecznie potrafią wykorzystywać do tego celu ciepło i bliskość. Potrzebują kontrolować. Może stać za tym trauma z dzieciństwa, ale też patologicznie ukształtowana osobowość. Oni pierwsi opowiadają, że byli ofiarami przemocy i robią to w sposób bardzo przekonujący. Taką przyjmują strategię przetrwania. Jej celem jest uwikłanie osoby, od której są zależni.

Notatki ze spotkania z Anką i Wieśkiem urzędniczka nie sporządza, choć gdy dojdzie do pierwszej tragedii, odnajdzie się w dokumentach właściwa adnotacja. Zapewne nie bez powodu nie będzie ona zawierać daty sporządzenia. Po powrocie ma też przekonywać w PCPR-ze, że trudno Ance i Wieśkowi cokolwiek zarzucić. Dzieci się do nich garnęły, siadały na kolana, były radosne, rozbiegane. Rzeczywiście zauważyła kiedyś, że któraś z dziewczynek ma zaczerwienione oko, ale Anka wytłumaczyła, że dzieci uczą się chodzić. Nie byli też zaskoczeni, gdy urzędniczka zapytała o bicie – konflikt z matką trwa od dawna i gdy tylko zaczyna im się układać, „matka psuje i miesza". A siostra Anki, Jolanta, wyprowadziła się z domu, gdy ta miała roczek. Może nie wiedzieć, że

ojczym znęcał się nad córką. Niedawno stracił prawo jazdy, bo prowadził po pijanemu. Może to być pośrednie – stwierdzi urzędniczka – potwierdzenie relacji Anki, z kolei psycholog pracujący z rodziną przyzna, że Anna i Wiesław są spójni w tym, co mówią, i nie ma podstaw do podważania ich relacji rodzinnych.

– Gdyby to była prawda, dzieci tym bardziej nie powinny się znaleźć pod opieką Anny – kontruje Sarzała. – Trzeba dużej świadomości i wieloletniej terapii, by nie powtarzać wyuczonych schematów. Nie wydaje się też, że byli to ludzie zaradni życiowo.

Dzieci, które małżeństwo otrzymuje pod opiekę, sprawiają wrażenie, jakby wychowywały się w całkowitej izolacji. Siku robią w kącie, boją się wody, nie wiedzą, jak nazwać to, co znajduje się na talerzu. Zdaje się, że pierwszy raz widzą pomidora, banana, jajko i bez przerwy się boją, że zabraknie jedzenia. Dlatego gromadzą je pod łóżkiem lub jedzą na zapas – aż do wymiotów.

Ich rodzice – dwudziestopięcioletnia wówczas Hanna i o rok starszy Daniel – poznali się w szkole specjalnej. Oboje z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim. Ona uczyła się na kucharkę, on – na piekarza. Według sąsiadów „dzieci nie chodziły głodne, nie można powiedzieć, żeby im się krzywda działa".

Ludzie z opieki będą tłumaczyć, że byli bezsilni. Gdy Daniel poszedł do więzienia, mieszkającej z dziadkiem Hannie przydzielono asystentkę, która każdego ranka zastawała dzieci bez ubrań, kapci, pieluch. Nie umiały samodzielnie jeść, sygnalizować potrzeb. Matka zapominała też o szczepieniach. „Pokazywałam, jak sprzątać, myć dzieci, przygotowywać posiłki, organizować wspólne zabawy. Ale pomimo moich starań każdy dzień zaczynał się tak samo – zrelacjonuje asystentka. – Ich matka robiła tylko to, co pokazałam palcem. Po jakimś czasie stwierdziłam, że moje wysiłki nie przynoszą efektów, matka dzieci niczego nie przyjmowała".

Zastanawiano się, czy jest w rodzinie ktoś, kto mógłby Hani pomóc. Ustalono, że żyje matka, ale przebywa w domu opieki, od urodzenia

z dziecięcym porażeniem mózgowym. Ojca nikt nigdy nie widział. Jest tylko dziadek.

Pomocy mogłaby udzielić tak zwana rodzina wspierająca. To zwykle osoby z bezpośredniego otoczenia (sąsiedzi, krewni, znajomi), którym opieka zwraca pieniądze za zorganizowanie wycieczki do zoo czy kina. Ale nikt się nie rwie albo opieka nikogo nie szuka.

Media będą później atakować opiekę, twierdząc, że nie doszłoby do tragedii, gdyby dzieci nie zostały odebrane. A biologicznych rodziców przedstawiać tak, jakby działa im się krzywda.

– A tu nie było wyjścia. – Radca prawny Adam Krzyżanowski reprezentował przed sądem dzieci Hanny i Daniela. – Chodziły głodne, brudne, ojciec potrafił przyjść pijany z synem do przychodni, matka nie lepsza. Zaniedbywanie dziecka, obok przemocy fizycznej, emocjonalnej i wykorzystywania seksualnego, jest jedną z form krzywdzenia. Błąd instytucji polegał na tym, że dzieci zostały przydzielone rodzinie nieprzygotowanej.

*

Jest 3 lipca 2012 roku, dochodzi jedenasta. Duszno, zaraz zacznie padać. W żółtym domu Anki i Wieśka atmosfera pośpiechu – już powinni wychodzić, są zapisani na szczepienie, a oni jeszcze niegotowi. Wiesiek ścieli na piętrze łóżka, Anka ubiera na dole trzyletniego Kacperka. Nagle domem wstrząsa jej potężny krzyk. Chłopczyk się zmoczył.

Ich najstarsza córka zezna potem, że Anka złapała Kacperka za szyję, uniosła do góry po ścianie i upuściła na posadzkę. Chłopiec się podnosi, wyciąga drobne rączki, ale ona nie przestaje – kopie, popycha, w oczach błyszczy szaleństwo, a po chwili słychać głuchy dźwięk uderzenia główką o ścianę. „Zrób coś z tym!" – krzyczy w końcu do Wieśka, a ten podchodzi, zaciska pięść i wali w chudziutką klatkę piersiową, po czym bierze chłopca na ręce i niesie do łazienki. Chce Kacpra umyć i ubrać, ale ten blednie, nie odpowiada na pytania. Wiesiek zanosi go do salonu i kładzie na niebieskiej

kanapie. To zapewne wtedy, stojąc nad jego drobnym ciałkiem, ustalili z Anką wersję wydarzeń.

Telefon na pogotowie wykonują po około godzinie od pierwszego uderzenia. Przekazują, że chłopiec spadł z betonowych schodów, musiał przelecieć przez zabezpieczającą schody barierkę. „Nawet nie zapłakał".

Barierka jest solidna, zbita przez Wieśka z desek i zabezpieczona zasuwą. Schodów osiem, wzdłuż nich tymczasowa poręcz.

– Z tego, co wiem, w chwili wypadku bramka była zamknięta – mówi policji opiekunka z PCPR-u, która pomagała im w opiece nad dziećmi.

– Skąd pani to wie? – pyta policjantka.

– Ania mi powiedziała, że jak znalazła Kacpra pod schodami, bramka była zamknięta. Nie rozumiem więc, jak mogło dojść do upadku. Kacperek musiał stanąć na palcach, by jego główka wystawała nieco ponad ostatni szczebel. Przecież nie przeskoczył.

Dzień później Beata K., ówczesna dyrektorka PCPR-u, zapewnia policję, że nie docierały do nich żadne sygnały, które mogłyby świadczyć o niewłaściwym traktowaniu dzieci przez małżeństwo. To samo zeznaje urzędniczka ich nadzorująca. A na policję dzwoni osoba chcąca zachować anonimowość: „Proszę drobiazgowo zbadać sprawę śmierci Kacperka. Dzieci tam przebywające były bite i zaniedbywane. Słyszałam, że opiekunowie zachowują się jak hitlerowcy. Tresują, nie wychowują. Podbite oczy, zasinione wargi. Nawet kotem Wiesiek raz rzucił o ziemię tak, że ten zaczął krwawić. Dlaczego? Bo wszedł na parapet i stłukł wazonik. Kot wkrótce zdechł".

Policja przesłuchuje matkę Anny. Kobieta opowiada o sytuacji z kołdrą Kacperka. I dodaje: „Wydzierają się na dzieci, aż strach słuchać. Nikomu nie pozwalają przychodzić, a jak już ktoś jest, każą dzieciom iść na górę. Dla mnie to oni w ogóle nie powinni mieć dzieci, nawet swoich. Raz mi wnuczka, lat dziewięć, opowiedziała, że Wiesiek ją pobił, bo nie chciała się rozebrać. A jej po prostu zimno było. Powiedziałam wtedy Ance, że jak jej mąż jeszcze raz rzuci się na moją wnuczkę, pójdę na policję. Blada się zrobiła. Potem była taka sytuacja, że wnuczka poprosiła Anię, żeby ta

pozwoliła jej chodzić na kurs tańca. Ona tak się tym zdenerwowała, że spakowała ją w dwa plecaki i kazała się wynosić. Dziecko poszło do rodziców Wieśka".

Kobieta opowiada też, że gdy dostali dzieci Hani i Daniela, widać było, że traktują je inaczej. „Gorzej. Oni tego Kacperka nie lubili – zeznaje. – A każdy siniak, uraz tłumaczony był upadkiem ze schodów".

Na koniec przyznaje, że Anna i Wiesław rodziną zastępczą zostali, bo nie mieli na raty za dom: „A tu na każde dziecko tysiąc złotych plus półtora tysiąca funkcyjnego. Źle mi się mówi na własną córkę, niech inni też coś powiedzą".

Gdy ratownicy wchodzą do ich domu, Kacper leży na dywanie. Ma na sobie błękitną koszulkę i zielone majteczki. Jego ciało jest blade i wychłodzone. Próbują go reanimować, a Anka krzyczy: „Kacperku, obudź się, obudź!". Wiesiek przygląda się w milczeniu.

Pytani przez ratowników twierdzą, że nie widzieli upadku. Ona była w tym momencie w kuchni, on na piętrze. Kiedy podbiegła do dziecka, zobaczyła guza i starte kolanko. Kacperek zaczął płakać, przytuliła go i położyła na kanapie. A potem razem z Wieśkiem przenieśli go na podłogę – by łatwiej było uciskać klatkę piersiową. Chłopiec zbladł, rączki miał zimne. Jego powieki zamknęły się do połowy.

Piętnaście minut po przyjeździe karetki obok domu ląduje śmigłowiec ze specjalistycznym sprzętem. Jego hałas zlewa się z płaczem Anki. „Pamiętam, że w trakcie akcji reanimacyjnej zauważyłem u chłopca skupisko małych siniaków – zezna trzy dni później jeden z ratowników. – Matka dziecka powiedziała, że próbowała go reanimować, uderzała pięścią w okolicę serca. Widziałem też zasinienie na czole, co wytłumaczyła upadkiem ze schodów. Po zakończeniu akcji dziecko obejrzał lekarz. Zobaczyliśmy liczne zasinienia także wzdłuż kręgosłupa. W mojej ocenie nie mogły powstać wskutek reanimacji".

Drugi ratownik: „Z doświadczenia mogę powiedzieć, że do wypadku musiało dojść na długo przed naszym przybyciem".

Trzeci: „Mnie zdziwiło, że rodzice nie byli w stanie określić, kiedy wydarzył się wypadek. I że nie wezwali pogotowia od razu, tylko sami zabrali się za reanimację, którą – jak stwierdzili – przeprowadzili niezbyt umiejętnie".

Znajoma Anki i Wieśka: „Kiedyś z matką Ani, Basią (imię zmienione), opiekowałam się dziećmi. Cały dzień, bo Ania z Wiesiem pojechali z najmłodszą córką do Gdańska. Dzieciaczki były radosne, grzeczne. Ale Ania z Wiesiem, jak tylko wrócili, zaczęli na nie krzyczeć. Bo tam nie było rozmowy, tylko rygor. No i dzieci od razu musiały iść na górę. Basia zapytała Anię, czego się tak wydzierają, a Ania odpowiedziała, że z tymi dziećmi inaczej się nie da. Kolejny raz poszłyśmy tam po świętach Wielkiejnocy. Wiesiek siedział z dwójką dzieci na dole. Idziemy na piętro, a tam chłopcy, Kacper i Daniel, w pokoju na nocnikach, pośladki czerwone. Długo musieli tak siedzieć. Na kanapie ich siostra Ola. Chciałam ją przytulić, ale ona się odsunęła i odparła, że nie wolno jej przytulać. Bo ciocia Ania będzie zła. Nie jestem pewna, ale ona chyba nawet powiedziała: »Bo ciocia będzie biła«. Wtedy podszedł do mnie Danielek. Pogłaskałam go po główce, wyczułam dwa wgłębienia i świeżo zaschniętą krew. Powiedziałam: »Jezu, on ma dziury w głowie!«. Na to przyszedł z dołu Wiesław i ryknął: »Na dół!«. Już więcej się nie odezwałam".

Po zejściu zobaczyły u kolejnego chłopca zasinienia na powiece i pod okiem. Wiesław wytłumaczył, że dzieciak spadł ze schodów. „Zrobiło się jakoś tak niezręcznie, poszłyśmy – kontynuuje kobieta. – Po tej wizycie Basia zadzwoniła do Ani, żeby zapytać, co oni robią z dziećmi. Wiesław wyrwał słuchawkę, wyzwał ją od szpiegów i zakazał przychodzić. Ale i tak znów poszłyśmy. Przyjęli nas na podwórku".

Siostra Wiesława powie: „Ludzie gadają, że biją dzieci. Latem są zawsze w długich rękawkach".

*

Śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Kacpra wszczyna Prokuratura Rejonowa w Pucku. Ta sama, która ponad pół

roku wcześniej umorzyła sprawę Ewy. Budynek wciśnięty między sklep i aptekę, za drzwiami wejściowymi wąska klatka z dwoma piętrami i duszne pokoje. W miasteczku nie ma sądu, na rozprawy trzeba jeździć do innych miejscowości.

Najwięcej pracy jest w sezonie, kiedy na Wybrzeże ściągają turyści. Puck, na co dzień cichy i szary, z urokliwym rynkiem, niedużą piaszczystą plażą i szerokim molo, w letnich miesiącach pulsuje tłumem wczasowiczów. Pulsują też policyjne statystyki. Przybywa rozbojów, kradzieży, napaści i gwałtów. Na stałym poziomie pozostają jedynie zawiadomienia o przemocy domowej. Te spływają regularnie i z całego powiatu, niezależnie od pory roku. W tle alkohol, cierpiące kobiety, dzieci.

Trudno o śledczych mieszkających blisko Pucka, o chętnych na dojazdy też niełatwo. Luki łata się asesorami, czyli prokuratorami przed nominacją. Przydział jednostki, która przyuczy do zawodu, następuje z listy – odmówić nie można.

Do domu Anki i Wieśka, zgodnie z zaleceniami Prokuratury Generalnej odnośnie do spraw dotyczących przemocy domowej, powinna jechać doświadczona prokuratorka. Ale ta tłumaczy szefowi, że ma małe dziecko i nie czuje się na siłach, by uczestniczyć w oględzinach trzylatka. Na miejsce jedzie asesor z dwuletnią praktyką.

Asesor właśnie kończy dyżur. To jego trzeci zgon w ciągu doby, od dwóch dni nie zmrużył oka. W tym czasie w puckiej prokuraturze jest tylko jedna osoba przeszkolona z prawnokarnych i psychologicznych aspektów przemocy w rodzinie. Nie jest to asesor.

Lekarz, który dokonuje oględzin jeszcze w domu Anki i Wieśka, uznaje ich opowieść o upadku za najbardziej prawdopodobną. Drugą opinię wydaje biegła po przeprowadzeniu sekcji zwłok. W trakcie oględzin w gdańskim zakładzie medycyny sądowej referuje asesorowi, że zgon nastąpił na skutek krwotoku spowodowanego pęknięciem wątroby. I że mogło do niego dojść po upadku ze schodów.

Sześć dni później śledczy proszą biegłą, by jak najszybciej wydała opinię końcową i wskazała, czy za obrażenia może odpowiadać osoba trzecia.

Lekarka dzwoni do asesora i pyta, skąd ten pośpiech. Docieka też, dlaczego sugerują, że to nie musiał być upadek. Mężczyzna odpowiada, że pojawiły się takie sygnały.

W połowie lipca biegła wydaje opinię i niczego nie rozstrzyga: „Charakter, rozległość i umiejscowienie uszkodzeń w obrębie jamy brzusznej wskazują, że do ich powstania doszło wskutek urazu mechanicznego godzącego z bardzo dużą siłą w brzuch w okolicę prawego łuku żebrowego. Tego typu uszkodzenia mogły powstać zarówno w warunkach i okolicznościach ustalonych podczas dochodzenia tj. wskutek upadku ze schodów, jak i wskutek urazu zadanego w tę okolicę pięścią bądź nogą. W celu bardziej jednoznacznego ustalenia warunków i okoliczności powstania uszkodzeń konieczne jest zapoznanie się biegłej z aktami sprawy".

Elementem akt są zdjęcia z dnia, w którym zmarł Kacper. Asesor prosi komendę o ich przesłanie. Policji zajmie to półtora miesiąca, bo – jak wytłumaczą – na miejsce zdarzenia pojechali z aparatem analogowym i potrzebowali czasu na zrobienie odbitek. Ani asesor, ani prokurator, który go przez moment zastępuje, niepełnego materiału nie wysyła. Opinia uzupełniająca nie powstanie.

Asesor osobiście przesłuchuje Ankę 13 lipca. Kobieta drży na całym ciele, głośno płacze. Zapewnia: „Kacperek nigdy na nic się nie skarżył, tylko bardzo często się przewracał, na głowę leciał. A to dlatego, że miał problemy z koordynacją. Myśmy próbowali to zmienić, robiliśmy nawet takie zabawy, żeby nauczyć go normalnie chodzić. Pozostałe dzieci też tak miały. Na brzuchu Kacperek nie miał żadnych zadrapań, chyba na plecach jakieś były. Zauważyłam (po upadku) dużego guza z tyłu głowy i zadrapania na kolanie, buzi i czole, obok starego guza. Skąd ten guz? Kilka dni wcześniej uderzył się o róg pralki".

Wkrótce okaże się, że pediatra Kacpra o problemach z koordynacją ruchów nic nie wie.

Wiesław mówi w trakcie przesłuchania: „Nigdy nie stosowaliśmy żadnych kar cielesnych. W ostateczności dziecko szło do kąta przemyśleć

swoje zachowanie". Gdyby funkcjonariusze zadzwonili wtedy do szkoły, dowiedzieliby się, że ich najstarsza biologiczna córka przyszła kiedyś na lekcje ze spuchniętą wargą. Wezwana do szkoły Anka wytłumaczyła, że jest w wysokiej ciąży i ma „huśtawkę hormonalną". Szkoła PCPR-u nie powiadomiła. Nauczycielka: „Gdyby przyszli zapytać, tobym o tym zdarzeniu opowiedziała".

Śledztwo – pod nadzorem prokuratury – prowadzi pucka policja. Zgodnie z wytycznymi mają przesłuchać wszystkich sąsiadów Anki i Wieśka. Zaczynają od tych, którzy mieszkają najbliżej. Ich domy ściśle do siebie przylegają.

Sąsiad małżeństwa to wówczas naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego wejherowskiej komendy. Do akt sprawy informacja ta jednak nie trafia. Trzy tygodnie po śmierci Kacpra przesłuchana zostaje jedynie jego żona. Zeznaje: „Nie utrzymujemy bliskich kontaktów z tym państwem, nigdy nie zaobserwowałam nic niepokojącego. Nie słyszałam żadnych odgłosów awantur".

Policja wnioskuje za to do prokuratury, by ta powiadomiła sąd rodzinny o dotychczasowych ustaleniach. I zawnioskowała o przeniesienie pozostałych dzieci do innej rodziny zastępczej. Sugerują też wystąpienie do sądu o przesłuchanie nieletnich domowników. Asesor omawia pismo z zastępcą prokuratora rejonowego. Decydują, że najpierw zbiorą pełny materiał dowodowy. Nie uważają też, by dotychczasowe ustalenia dawały podstawę do odebrania dzieci.

Sąd rodzinny o śmierci wie, ale z pisma PCPR-u. Informacji o pojawiających się wątpliwościach nie otrzymuje. Z kolei Centrum prosi Ankę i Wieśka, by dostarczyli zaległe badanie psychiatryczne. Wizytę mają umówioną na początek października.

W pierwszych dniach września PCPR przeprowadza kolejny wywiad środowiskowy w ich domu. Opinia: Annie i Wiesławowi nie można nic zarzucić. Dzieci dobrze się z nimi czują, rodzina wzorowo radzi sobie z traumą. Wówczas PCPR już wie, że Anka w młodości leczyła się

psychiatrycznie. Ale tej informacji nikomu, zwłaszcza śledczym, nie przekazuje.

*

12 września 2012 roku, piętnaście minut po dwudziestej. Dyspozytor linii 999 odbiera telefon. Głos Wieśka: „Chciałbym wezwać karetkę do dziecka. Jakieś jest blade. Przy kąpaniu musiała się przewrócić i wody napić".

Dyspozytor: – W tej chwili co się dzieje z dzieckiem?

– Nie reaguje, ale jakieś ruchy jeszcze ma. Żona reanimuje, tak jakby wodę miała...

– Ale oddycha?

W tle głos kobiety: – Niech szybko przyjadą!

– Proszę pana – powtarza dyspozytor. – Czy dziecko oddycha?

Wiesiek: – Nie wiem. Lusterko żeśmy właśnie przyłożyli.

Po chwili: – Nie, nie oddycha.

Klaudia, pięcioletnia siostra Kacpra, siedziała tego wieczora w brodziku. Anka nałożyła na dłoń szampon i w chwili gdy chciała go wetrzeć w głowę dziewczynki, ta odruchowo się odsunęła. „Co ty, do mnie z łapami?!" – krzyknęła matka. Gdy do łazienki wszedł Wiesiek, Klaudia leżała na podłodze, a Anka nad nią stała. I uderzała nogą w brzuch.

Wziął dziecko na ręce i zaniósł do kotłowni. Z leżącą na zimnej posadzce dziewczynką zostaje jej rodzeństwo. Wiesiek wraca co kilka minut, sprawdza tętno, wychodzi. Jedno z dzieci opowie: „Ciocia chciała spalić Klaudię w piecu. Nam kazała posprzątać łazienkę. Tę krew sprzątaliśmy z kafelków, w wannie była brudna woda...".

Do zatrzymania dochodzi siedem dni później. Wcześniej biegły stwierdza, że takie obrażenia głowy i wątroby nie mogły powstać w wyniku upadku. Lekarze oglądają pozostałe dzieci. Blizny, siniaki, otarcia. Anka przyznaje, że pobiła pięciolatkę, ale to nie ona zadała śmiertelne ciosy.

„Myśmy nie chcieli zabić – przekonuje śledczych. – Nie wiem, co się stało. Ja mówiłam mężowi, że potrzebuję pomocy, że psychicznie nie wytrzymuję. Wszystkim mówiłam. Słyszę głosy, różne rzeczy mi podpowiadają. To nie byłam ja".

O śmierć Klaudii oskarży męża. A Wiesław skontruje to zeznaniem, że najczęściej biła rurą od odkurzacza lub kijem od mopa. Wkładali im też palce do oczu, kopali. Po śmierci Kacpra nie przestali. Wiele razy myślał, by od żony odejść. Ale bał się zostawić ją z córkami.

Najczęściej obrywał Kacperek. „Dusiła go rękoma, kopała w brzuch – zrelacjonuje ich córka. – Tego było bardzo dużo. Pamiętam, że w kotłowni bili ich wszystkich czymś metalowym od pieca. Mama chciała, żeby skakali. Kto nie skacze, mówiła, temu podpalam włosy [...] Nas też bili".

Ola, siostra zmarłej Klaudii, wtedy lat sześć: „Ciocia rzucała nami. Powiedziała, że Kacper ze schodów się walnął, ale to było kłamstwo. To ona ich biła i rzucała. Miała specjalny czerwony pas i biła nim Klaudię. Ona ją dusiła o tak (dziewczynka łapie się za szyję), a mną rzucała, by następnie uderzyć z pięści w oko. Miałam fioletowe. Mówiła, że bije nas, bo jesteśmy niegrzeczni. Biła nas w kotłowni i podpalała. Byliśmy wtedy nago. Oni palili papierosy, a my musieliśmy robić krzesła (Ola kuca i wyciąga przed siebie ręce). A Klaudię utopiła. Mi się w nocy śni, co ona robiła".

Po śmierci Klaudii asesor zostaje odsunięty od prowadzenia śledztwa. Sprawę przejmuje jego szef, ówczesny prokurator rejonowy. Pytany w trakcie konferencji prasowej o zaniedbania w śledztwie odpowiada: „Opinia biegłych po śmierci trzyletniego chłopca potwierdzała wersję rodziców zastępczych, jakoby dziecko spadło ze schodów. Oprócz opinii dysponowaliśmy zeznaniami świadków, sąsiadów i rodziny, ale nie wynikało z nich, żeby działo się tam coś złego".

Sąd pierwszej instancji skaże Annę na dożywocie, a sąd apelacyjny w lutym 2015 roku złagodzi wyrok do dwudziestu pięciu lat. Podczas całego procesu Anna milczy, a przed ostatecznym orzeczeniem pisze do sądu list. Zapewnia o niewinności i tłumaczy, że ona i dzieci to ofiary przemocy ze strony męża. Doszło do tragedii, bo wyczerpana depresją i opieką, nie

zdołała ich obronić. Wiesław dostaje cztery lata. Odpowiada na pytania sądu i zrzuca winę na żonę. Po wyjściu z więzienia wyprowadza się z Pucka.

W trakcie procesu, który relacjonuję wówczas w trójmiejskiej „Wyborczej", oboje siedzą za grubą, kuloodporną szybą przeznaczoną dla najgroźniejszych przestępców. To największa sala w gdańskim sądzie okręgowym, wybierana na ich rozprawy ze względu na duże zainteresowanie mediów. Przez większość czasu mają spuszczone głowy.

Anna na ogłoszenie wyroku zakłada jasną bluzkę i czarną marynarkę. Schudła, z twarzy zeszła opuchlizna, blond pasemka zastąpił brąz. Zaczęła nosić okulary. On, łysawy, przygaszona twarz, niewiele od niej wyższy, ubrany w bordowy rozpinany sweter. Ręce ma skute z tyłu. Nie zamieniają ze sobą ani słowa. Po wyroku współosadzone spróbują Annę powiesić.

W maju przekazuje mi przez swojego prawnika, że chce udzielić wywiadu. Kilka dni później zmienia zdanie: „Potrzebuję trochę czasu, nie zdołałam przygotować bliskich na zaistniałą sytuację". Jestem właśnie po analizie akt sprawy w czytelni sądowej i obejrzeniu zdjęć bitych dzieci. Jej decyzję przyjmuję z ulgą.

*

W październiku 2015 roku spotyka się z ekipą *Superwizjera TVN*. Zeszczuplała, nosi nowe okulary. Lśniące, ufarbowane na brązowo kręcone włosy ma delikatnie upięte z tyłu głowy. Niebieska koszulka podkreśla świeży koloryt cery. Rozmowa odbywa się w pustej sali widzeń. Po jednej stronie stołu ona, po drugiej dziennikarka Monika Góralewska.

Na pytanie, dlaczego milczała w trakcie procesu, Anka odpowiada, że w sądzie nie była w stanie nic powiedzieć.

– Nie bardzo wiedziałam, jak się nazywam. Była depresja, lęki, obawa. Ja straciłam dwójkę dzieci. – Pewnie patrzy w oczy dziennikarki. – Straciłam

dwoje dzieci… To były moje dzieci. W rezultacie straciłam całą siódemkę. Wszystkie były moje.

Opowiada, że nie ma dnia, by nie myślała o Kacprze, Klaudii i reszcie dzieci. Jej głos jest ciepły, spokojny.

– Kacper był wycofany, nieobecny, lubiał się przytulać. Taki był misiu – uśmiecha się. – Klaudia zawsze coś psociła, a potem mówiła „To nie ja, to Daniel!". Następnie wspomina wieczory, kiedy siadali z dziećmi na dywanie, by każdy mógł powiedzieć, co mu przeszkadza. A na koniec mieli po kolei powtarzać: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!".

– Taki mam ich obraz – dodaje – uśmiechniętych, roześmianych. Chciałam mieć dom pełen dzieci. Dlaczego się nie udało? Przerosło mnie to.

Biegli psychiatrzy stwierdzili u Anny osobowość dyssocjalną. To zaburzenie sprawiające, że człowiek nie liczy się z normami społecznymi, nie ma wyrzutów sumienia, empatii. Szybko ulega frustracji. Bywa agresywny i bezwzględny, rzadko tworzy stałe związki. Przyczyny dwie: biologiczna (nieprawidłowe działanie układu limbicznego mózgu, odpowiedzialnego za emocje) lub społeczna (styl wychowania – brak miłości, przemoc, dorastanie w rodzinie z problemem alkoholowym).

Dziennikarka pokazuje nagranie z Anną profesorowi Januszowi Heitzmanowi. To wiceszef Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, specjalista w zakresie patologii społecznych.

– Ona ulega emocjom – tłumaczy Heitzman. – To nie mózg steruje jej działaniami, ale popęd, chęć natychmiastowej reakcji. Nie ma w jej osobowości mechanizmu, który by ją kontrolował. Żadnych ograniczeń moralnych, etycznych, religijnych, prawnych. To osobowość, można powiedzieć, psychopatyczna. Dodatkowo jeżeli nie wyciąga się wniosków ze swoich wcześniejszych błędów, ale stosuje podobne mechanizmy, to znaczy, że człowiek czuje się bezkarny. Myśli, że może tak dalej, a jego sposób rozwiązywania sytuacji trudnych jest dobry. Osoba z takimi cechami osobowości poczucie winy będzie tylko deklarować.

Anna przyznaje w rozmowie, że krzyczała na dzieci. Czasem zdarzyło jej się też uderzyć. Ale to wszystko.

– Przecież to pani córka opowiedziała, co się stało – zauważa Góralewska.

– Tak, wiem, że moja córka...

– To co się stało?

– Sąd całą winę przypisał mi.

– A dlaczego?

– Bo mąż powiedział, że to moja wina? To nie ja zabiłam. Nie ja...

Heitzman: – Jeśli człowiek zrobi coś źle i jest to poddane negatywnej ocenie społecznej, szuka dla siebie usprawiedliwienia. Zastanawia się, dlaczego jest taki zły. I najprostszym mechanizmem obronnym, pozwalającym zachować zwartość psychiki, jest wypieranie. Bronię się przed samym sobą, byle tylko nie przyznać, że coś ze mną jest nie tak.

Sprawiedliwość

Po śmierci drugiego dziecka o sprawie Anny i Wiesława mówi cała Polska. Prokurator generalny Andrzej Seremet przyznaje, że błędem było przydzielenie śledztwa asesorowi, publicznie obiecuje, że znajdzie winnych zaniedbań, żąda natychmiastowej kontroli w puckiej prokuraturze. Prowadzi ją Prokuratura Okręgowa w Gdańsku. I już dwa dni później wskazuje odpowiedzialnych: to asesor i jego bezpośredni przełożony, czyli wiceszef jednostki. To on ostatecznie umorzy sprawę Ewy, choć wówczas tych śledztw nikt nie łączy.

Jak przekazuje mediom rzeczniczka prokuratury, dopuszczono się uchybień i zaniedbań. W szczególności stwierdzono brak właściwej reakcji na pojawiające się nowe informacje. Twierdzi, że o przydzieleniu śledztwa asesorowi zdecydował wiceszef prokuratury. Z czasem okaże się, że to nieprawda.

Dyscyplinarki asesora i zastępcy prokuratora rejonowego ciągną się latami. Jeden sąd skazuje, drugi uniewinnia. Albo nakazuje ponownie rozpatrzyć sprawę. Aż w 2019 roku wypowiada się Sąd Najwyższy i uniewinnia wiceszefa puckiej jednostki, wcześniej – z powodu zaniedbań w śledztwie – zdymisjonowanego. Uzasadnia to tak: „Zdaje się umykać z pola widzenia oskarżenia, że od dnia 7 sierpnia do 3 września 2012 roku obwiniony przebywał na urlopie wypoczynkowym, a w tym czasie jego obowiązki przejął prokurator rejonowy". Sąd ustala też, że to szef jednostki, nie jego zastępca, jak podano mediom, przydzielił śledztwo asesorowi (tamten decyzję – na polecenie przełożonego – jedynie dekretował), a później sam ukierunkował postępowanie na nieumyślne spowodowanie śmierci. Dalej: „Z ustalonego stanu faktycznego wynika, że w ramach nadzoru nad pracą asesora obwiniony zastępca prokuratora

rejonowego odbywał z nim narady i udzielał mu wskazówek. Podkreślić też trzeba, że na początku postępowania przyjęto wersję zdarzenia, która okazała się zupełnie nietrafiona. Skutkowało to brakiem działań o charakterze prewencyjnym i w konsekwencji pozostawieniem dzieci w rodzinie zastępczej, czego efektem była śmierć małoletniej Klaudii. Ale brak intuicji nie może być utożsamiany z oczywistym i rażącym naruszeniem prawa".

Wobec szefa prokuratury dyscyplinarka nie zostaje wszczęta. Za to w kwietniu 2016 roku awansuje on do Prokuratury Regionalnej w Gdańsku. Sąd Najwyższy o winie asesora ostatecznie wypowiada się w listopadzie 2019. I stwierdza, że wykazał się lekkomyślnością, niewłaściwie pokierował śledztwem, a co najważniejsze, nie zadbał o bezpieczeństwo dzieci i nie zdecydował o przesłuchaniu rodzeństwa ofiar. Przyznał jednak, że asesor konsekwencje już poniósł i były one dotkliwe – postępowanie dyscyplinarne zajęło siedem lat, nie został powołany na urząd prokuratora, do dziś pozostaje poza zawodem. Wyrok: upomnienie.

Z asesorem uda mi się porozmawiać raz. Jest na samozatrudnieniu, próbował zostać adwokatem, to znaczy złożył wniosek o wpis na listę, ale okręgowa rada adwokacka do tej pory go nie rozpoznała. Stres odcisnął się na jego zdrowiu.

– Z dzisiejszej perspektywy wszystko wygląda klarownie, wtedy takie nie było – mówi w marcu 2021 roku, rozmawiamy przez Skype'a. – Brakowało naocznych świadków, opieka społeczna nie mówiła prawdy lub zatajała informacje. Przed śmiercią drugiego dziecka wystawili małżeństwu laurkę. Biegły wypowiedział się nieprecyzyjnie, potrzebna była opinia uzupełniająca. Ale Annie dałem się podejść. Jej zeznanie było przekonywające, siedziała przede mną cierpiąca, wyjąca z bólu kobieta.

– Świadkowie wskazywali na przemoc wobec dzieci.

– Matka jako sprawczyni zabójstwa to tabu, a tu mieliśmy do czynienia z kobietą, która nie tylko zabiła, ale do tego stopnia nad sobą nie panowała, że kontynuowała znęcanie nad pozostałymi dziećmi, wiedząc, że trwa śledztwo, a policja przesłuchuje jej sąsiadów oraz rodzinę. Zabrakło mi

wyobraźni. Wszystkim zabrakło, nie byłem w tym sam. Gdy doszło do drugiego zabójstwa, już było jasne, że trzeba ich zatrzymywać. A prokurator rejonowy zwlekał z tym cały weekend, zamiast od razu, na miejscu, zakuwać ich w kajdanki.

– Co by pan zrobił inaczej? – pytam.

– Nie posłuchałbym zwierzchników i zawnioskowałbym o przeniesienie dzieci do innej rodziny zastępczej. Od razu przesłuchałbym resztę dzieci. Do dziś ta sprawa śni mi się po nocach. Wiem, że nie zwalnia mnie to z odpowiedzialności, ale wszystko konsultowałem i jednocześnie prowadziłem kilkadziesiąt innych spraw. Prokuratura na potrzeby opinii publicznej szybko odciągnęła uwagę od innych nieprawidłowości. Wyrzucono mnie z zawodu, a uniewinniono prokuratora, który wydawał mi polecenia. Wobec człowieka, który odpowiadał za nadzór i brał udział w podejmowanych decyzjach, nigdy nie wyciągnięto konsekwencji. Inny asesor, który mnie zastępował, gdy poszedłem na urlop, nie wykonał przez ten czas żadnej czynności. I on jest bez winy. Już nie wierzę w sprawiedliwość wymiaru sprawiedliwości.

Dyrektorka puckiego PCPR-u, która twierdziła, że nie było żadnych zaniedbań, w marcu 2013 roku usłyszała zarzut niedopełnienia obowiązków. Na ławie oskarżonych zasiadła także jej poprzedniczka. Obie zostały skazane na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata.

– W tej sprawie wystarczyło zachowanie przeciętnej staranności – powiedział sędzia Andrzej Gabriel-Węglowski w trakcie ustnego uzasadnienia wyroku. Podkreślił, że nie obciąża dyrektorek tym, iż wiedziały, że po przekazaniu dzieci rodzinie zastępczej może dojść do tragedii, ale tym, że zarówno jedna, jak i druga przewidywały możliwość popełnienia przestępstwa urzędniczego i się na to godziły.

– To nie było oddanie samochodu do naprawy, ale przekazanie małych dzieci do opieki obcej rodzinie – dodał.

Urzędniczki odpowiedzialnej za rodzinę, która zignorowała telefon od siostry Anki i twierdziła w trakcie śledztwa, że nie miała żadnych sygnałów

o nieprawidłowościach, akt oskarżenia nie objął. Dalej pracuje w opiece społecznej.

Gdański sąd okręgowy badał też ewentualne zaniedbania w wejherowskim sądzie rodzinnym. Choć niektóre potwierdził, do ukarania sędzi nie doszło. Jednocześnie kontrola wykazała, że pucka opieka społeczna i prokuratura nie przekazywały sądowi żadnych negatywnych informacji – aż do śmierci drugiego dziecka.

Zastępca prokuratora rejonowego w Pucku został zdymisjonowany w maju 2013 roku. Dwa miesiące wcześniej kolejny raz zdecydował o losie Ewy.

Pokłosiem postępowania w sprawie rodziny zastępczej była kontrola akt innych spraw, w których rozstrzygano z udziałem biegłych o losie dzieci. Pod szczególnym nadzorem znalazł się Puck. W ten sposób do gdańskiej prokuratury okręgowej trafiły akta śledztwa w sprawie Mariusza. Analiza wykazała, że pucka prokuratura – wbrew temu, co twierdziła w piśmie wysłanym do Ewy – nie wykonała w całości postanowienia sądu. Braki nakazano uzupełnić, czyli: powołać biegłego lekarza, by ocenił obrażenia na ciele Ewy po ucieczce od Mariusza, oraz ściągnąć billingi bratanka Mariusza. Przecież Ewa się upiera, że dzwoniła do niego po pomoc.

Wiceszef puckiej prokuratury podejmuje śledztwo na nowo 27 lutego 2013 roku i pisze do Plus GSM. To już ponad dwa lata od wszczęcia sprawy, a operatorzy – odpowiada mu firma – dane o połączeniach przetrzymują tylko rok. Prokurator pyta biegłego, czy obrażenia na ciele Ewy mogły być wynikiem pobicia. Lekarz sądowy odpowiada, że mogły. Ale obrażenia nie są poważne, czyli jak mówi Kodeks karny „rozstrój zdrowia trwający nie dłużej niż siedem dni". A to oznacza, że można powiedzieć pokrzywdzonej, by sprawę kontynuowała samodzielnie. I tak też robi pucka prokuratura:

„Brak jakichkolwiek obiektywnych dowodów wskazujących na uzasadnione podejrzenie popełnienia występku, o którym pokrzywdzona zeznaje. […] Fakt, że do zdarzenia miało dojść w trakcie kłótni małżeńskiej w prywatnym domu – nie zaś w miejscu publicznym – a także rodzaj i rozmiar ujemnych następstw tego zdarzenia, powoduje, że brak jest

przesłanek, które wskazywałyby na to, że interes społeczny przemawia za kontynuowaniem ścigania z urzędu. Zebrane dowody nie wskazują, żeby Ewa Sapała była osobą nieporadną ze względu na wiek, chorobę czy kalectwo i nie mogła skierować do sądu prywatnego aktu oskarżenia".

Gdańska prokuratura okręgowa ustaleń Pucka nie kwestionuje.

Bo przeklął

Gdy dzielnicowy puka do drzwi Ewy i Krzyśka, rodzina zastępcza z Pucka nie schodzi z czołówek mediów. Tytuły krzyczą: Dzieciobójcy! Mordercy! Zwyrodnialcy! Anka opisywana jest także jako „bestia z Pucka" albo „potwór". Dziennikarze pytają: „Kto jeszcze zawinił?". Coraz więcej osób obawia się oskarżeń.

Kobieta wynajmująca Ewie i Krzyśkowi mieszkanie wypowiada umowę. Sąsiadki nie reagują na „dzień dobry", Krzysiek idzie do rodziców Ewy i płacze.

– Nigdy nie miałem do czynienia z policją, nawet nie palę papierosów. A tu przychodzą i sprawdzają mnie na trzeźwość. – Krzysztof ma na sobie białą koszulę w kropki, ręce skrzyżowane na brzuchu, sprawia wrażenie nieśmiałego. – Dopóki nie znaleźliśmy nowego mieszkania, dach nad głową dali nam rodzice Ewy. Prześwietlała nas opieka, policja, sąd. Dzielnicowy rozpytywał w poprzednich miejscach zamieszkania. W jednym dostał ochrzan, że się dobrych ludzi czepia. Ja straciłem kiedyś dziecko, niemowlę, nie przeżyło. Jakbym mógł?!

Ewa: – Po wizycie dzielnicowego była kolejna, kuratorki w asyście policji. Weszli bez pukania, akurat składałam pranie. Jakieś dwa dni wcześniej Ala była u mojej koleżanki, bo musiałam wyjść. Ona wtedy była strasznie ruchliwa, nie była w stanie usiedzieć. Potknęła się na schodach, wróciła z lekkim limem. Ta pani z opieki zobaczyła siniaka, wysłuchała mojego tłumaczenia i zaczęła przekonywać, że to niemożliwe, dociekać, co robię dziecku. Następnie zwróciła się do Ali pytaniem, kto z nas ją uderzył. „Czy to była mama?" – zapytała. Ala zaprzeczyła. „Aha, czyli konkubent" – stwierdziła ta kobieta i spojrzała wymownie na policjanta. Nie rozumiałam, co się dzieje, dziecko też. Krzysiek był w pracy. W końcu

wystraszona, że odbiorą mi dzieci, bym tego nie przeżyła, powiedziałam, co chcieli usłyszeć: że czasem konkubent nie wytrzyma i uderzy. Wtedy ta kobieta zaczęła mnie namawiać, żebym się z nim rozstała i pojechała z dziećmi do centrum interwencji kryzysowej. Odmówiłam. A potem dostałam wezwanie na policyjne przesłuchanie.

Krzysiek: – Zaczęli podejrzewać, że je biję. Dla mnie ta sytuacja to był szok.

W tym czasie opieka wypytuje też o biologicznego ojca dzieci. Mariusz pracuje dorywczo, wiadomo, że lubi wypić, z córkami kontaktów nie utrzymuje. Ma nową partnerkę.

Ewa: – Obroniła nas nauczycielka. Ala była w szkole radosna, chętnie opowiadała, co w domu, cieszyła się na widok Krzysia. Może czasem trzeba było jej wyjaśnić, co dobre, a co złe, miała problemy z nauką, do teraz ma, ale to przez piekło, które urządził jej biologiczny ojciec. Wtedy ciągle do tego wracała. Ja bym sobie drugi raz na to nie pozwoliła.

Wkrótce Ewa dowiaduje się, że policja odszukała kobietę, która wykonała anonimowy telefon. W jej ocenie Ewa i Krzysiek dobrze opiekują się dziećmi, ale raz była świadkiem, gdy on – przy dziecku – przeklął. Opowiedziała o tym koleżance. Ona też słyszała, jak Krzysiek użył mocnych słów, do tego Ewa opowiedziała jej, że była kiedyś więziona w piwnicy. A że zrobiło się głośno z powodu rodziny zastępczej z Pucka, uznały, że trzeba zawiadomić policję i wyjaśnić sytuację także tej rodziny.

Zanim wszystko się wyjaśni, dziewczynki przesłucha sąd. Tym razem, jak zrelacjonuje mi osoba znająca sprawę, wysłuchana zostanie także Wiktoria. Mówi, że nie boi się nikogo oprócz taty Mariusza. Bo tata Mariusz ją wiązał i kleił jej buzię taśmą.

Ani sędzia, ani przysłuchujący się gdański prokurator nic z tą informacją nie robią.

Rodzina Hirszów

Pomorskie, 1982–2005

Rodzice Ewy poznali się na wiejskiej potańcówce. Józef wydał się miłym, schludnym mężczyzną. Ona przypominała mu własną matkę. Pierwszy dach nad głową dali im rodzice Józefa. Drugi – elektrownia jądrowa.

Lato 1982, kiedy rodzi się Ewa, jest rekordowe pod względem temperatur. Nigdy później tak silnej suszy w Polsce nie było. Żniwa mizerne, ceny skupów skaczą o połowę, pod ladą chowa się nawet ziemniaki. Rok po Ewie na świat przychodzi Adam. Trzy lata po Adamie – Robert.

*

Elektrownia, choć ma nosić nazwę Żarnowiec, powstaje na terenie oddalonej o dziewięć kilometrów wsi Kartoszyno. Jest szansą dla północnych Kaszub, krainy bezrobotnych, małych gospodarstw i podupadających PGR-ów. Da zatrudnienie pięciu tysiącom pracowników, w sąsiedztwie budowy powstaną hale produkcyjne, bloki mieszkalne, stołówki. Szykowany hotel robotniczy będzie mieć siłownię, korty tenisowe, kino. Pierwsza stacja kolejowa połączy te tereny z Trójmiastem.

Najbardziej cieszy się malownicze Gniewino, przyszła baza pracownicza. Urzędnicy obiecują wójtowi centralę telefoniczną, oczyszczalnię ścieków, szkołę i przedszkole, lokalną kotłownię, a nawet

ośrodek zdrowia oraz nowe drogi. Wójt zadowolony, przecież jest źle. A będzie jeszcze gorzej – gdy budowa atomówki zostanie wstrzymana.

Reaktor ma stanąć nad brzegiem jeziora, na gruncie otulonym sadami, lasem i rodzinną tradycją, czego władza ludowa początkowo nie docenia. W Kartoszynie dziesięć rodzin na dwadzieścia pięć jest ze sobą spokrewnionych od trzech pokoleń. Chałupy solidne, obory murowane, a urzędnicy proponują odszkodowania i mieszkania w bloku. Spychacze wjeżdżają do wsi zimą 1982 roku. Chałupy się chwieją, kobiety płaczą, rolnicy oświadczają twardo: zabieracie osadę, zbudujcie nową.

Budują nieco dalej, zagospodarowując stojące na skraju wioski zagrody po stacji uprawy roślin. Nowe domy są współczesne, z dwuspadowymi, jaskrawoniebieskimi dachami i mają przeczyć temu, że Polskę toczy kryzys. W łazienkach kafelki z Hiszpanii, dla każdego skrawek ziemi pod uprawę, Odargowo zostaje „najnowocześniejszą wsią w Polsce". Prasa porównuje Kaszuby do Niemiec i Danii.

Dwa lata po przeprowadzce nowe gospodarstwa odwiedza polska geografka Iwona Sagan. Stwierdza, że żaden z przesiedlonych mieszkańców nie nawiązał relacji z miejscowymi (bo wrogo nastawieni). A miejscowym trudno pogodzić się z tym, że ktoś otrzymał ziemię w ich wsi (i postawił lepsze gospodarstwa).

*

Józef zostaje spawaczem przy budowie elektrowni chwilę przed narodzinami Roberta. Hirszowie wyprowadzają się od rodziców i przenoszą do hotelu robotniczego. Do finału budowy brakuje roku, może dwóch, gdy lokalną euforię przerywa wybuch reaktora w Czarnobylu (26 kwietnia 1986). Trzy lata później następuje oficjalne wstrzymanie inwestycji. Decyzję premiera Tadeusza Mazowieckiego poprzedzają liczne protesty.

Protestować chce też Bachna. Po pojawieniu się Roberta ich dwa hotelowe pokoje zaczynają przypominać schowek. Józef obiecuje, że zaraz

coś wymyśli, a w kolejnym roku pojawia się trzeci syn – Janek. Wyprowadzają się, gdy Ewa kończy przedszkole.

W PRL-u własne lokum to luksus, ale dla Hirszów rzeczywistość okazuje się dużo mniej skomplikowana. Zakład ciepłowniczy, nowy pracodawca Józefa, ciągle szuka ludzi. Zapotrzebowanie spowodowane przejmowaniem kolejnych kotłowni jest tak duże, że pracowników trzeba brać z ulicy. W końcu dyrekcja uświadamia sobie, że skoro z każdą spółdzielnią zawierają odrębne porozumienie, mogą dyktować warunki. Proponują: ciągłość dostawy w zamian za pierwszeństwo w kolejce po mieszkania. Hirszowie dostają dwa pokoje z kuchnią w starym rybackim miasteczku.

Ulica, przy której zamieszkali, urokliwa może nie była, ale niczym złym też się nie wyróżniała. Budynek w kolorze kurzu, sklep, za garażami skwerek. Pod koniec lat osiemdziesiątych nie stał tam jeszcze żaden bank, kebab-bar ani salon piękności. W miejscu marketu – kawiarnia, obok kawiarni – nieistniejący już drink-bar.

Kiedyś praca leżała na ziemi, powtarza wieczorami Józef, a dziś trzeba mieć plan. Gdyby jego ojciec przekazał mu to, co on przekaże swoim dzieciom, już dawno byłby dyrektorem. Dlatego jego chłopaki pójdą na studia. Albo do wojska. Nie poszli.

Nie zabierał ich do kina ani na plażę, za to zaraz po mszy prowadził wszystkich do jedynej cukierni miasta, innym razem siadali na ławce w parku i przyglądali się przechodniom. Nie jeździli na plażę, bo w tym czasie Zatoka Pucka, nad którą położona jest ich miejscowość, zaczęła przypominać zupę.

Jest jak gigantyczne jezioro oddzielone od Bałtyku piaszczystą kosą. Na jej ostrzu – Hel, woda ciepła i płytka, kilkadziesiąt metrów można brodzić po kolana. Nim zatoka zamieni się w zupę, jest bogactwem przyrodniczym. Na dnie rosną ogromne podwodne łąki z dziesiątkami organizmów, w przybrzeżnych trzcinowiskach żyją ptaki. Kutry wyciągają śledzie, szczupaki, belony czy okonie, są węgorze i płastugi. Żerowiska

mają jesiotry, pojawiają się także makrele oraz krewetki. Jest i dorsz. Ale dla Polski Ludowej przyroda to własność niczyja.

*

> W latach osiemdziesiątych jesteśmy – obok Związku Radzieckiego – najbardziej zanieczyszczonym krajem w Europie i jednym z najbardziej brudnych na świecie. Najgorzej jest na wsi: z kanalizacji korzysta niecałe 3 procent mieszkańców, zaledwie 12 procent z wodociągu. Blisko połowa studni powinna być zamknięta, tylko 4 procent wszystkich rzek ma pierwszą klasę czystości. Woda z niemal połowy nie nadaje się nawet do celów przemysłowych. To, co spotyka Pucyfik, jak mówią o zatoce miejscowi, po latach zostanie określone mianem katastrofy ekologicznej.

Do zatoki spływają glony oraz ścieki z kilkuset masarni, mleczarni i domów wczasowych od Helu po Władysławowo. Swoje odpady wrzucają też Puckie Zakłady Mechaniczne, wytwórca silników do kutrów. Rzekami przedostają się śmieci przemysłowe, budowlane i odchody zwierząt. A wodami podziemnymi nawozy chemiczne i środki ochrony roślin. Już to by wystarczyło do wykończenia żyjących w zatoce organizmów, a dochodzą jeszcze połowy przemysłowe.

Zatoka ma pecha, bo w latach sześćdziesiątych modna się staje guma agar (następca żelatyny). Przy nabrzeżu powstaje przetwórnia. Gumę pozyskuje się z wodorostów wydobywanych za pomocą wielkich sieci ryjących dno. Przy okazji zaorane zostają wszystkie większe organizmy denne. Rejon Pucyfiku podupada, w zupie rozwijają się bakterie, te wydzielają toksyny. Prąd morski przynosi do brzegu gigantyczne sinice, tak silnie trujące, że można by je wykorzystywać jako broń chemiczną. Plaże zostają zamknięte, turyści odpływają w kierunku Władysławowa. Woda z otwartego morza może i jest zimniejsza, ale za to czystsza. Wynosi się też dorsz, sandacz, szczupak i węgorz.

Jako pierwsi konkretnych działań ze strony urzędników domagają się mieszkańcy Pucka. Pada pomysł, by to senne miasto stało się żeglarską

potęgą. Powstaje camping z recepcją, barem, kuchnią i stołówką (wtedy szczyt nowoczesności) oraz hangar (zalążek przyszłej przystani). Ledwie stumetrowa plaża zostaje poszerzona. Pierwsze Mistrzostwa Europy w klasie 470 odbywają się w 1983 roku. W mieście uczucia raczej mieszane. Bo czy to sukces, skoro przed kąpielą ostrzega się nawet żeglarzy?

To może jednak – zastanawiają się urzędnicy – zbudujemy oczyszczalnię ścieków? Dorzuca się Władysławowo i Jastarnia. Siedem lat później kąpiel w zatoce jest już dozwolona, tylko ryb brakuje. Zaczyna się zarybianie – setki tysięcy sztuk rocznie. Różnorodność w końcu się pojawia, ale Pucyfik – miejsce odwiecznego konfliktu rybaków, wędkarzy, turystów i przemysłu – już nie wraca do pierwotnej formy. Nie wraca też tylu co wcześniej letników.

*

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Polacy to jeden z najbardziej pijanych narodów świata. Raz w tygodniu upija się pięć milionów, codziennie kilkaset tysięcy. Blisko milion osób to nałogowcy. Piją wszyscy i wszystko, w tym denaturat lub płyn po goleniu. W puckim szpitalu zdarza się, że pijany lekarz przyjmuje nietrzeźwego pacjenta. Nie lepiej jest w firmie Józefa. Alkoholizm na przykład w kotłowniach, jak będą wspominać pracownicy zakładu, „rozwija się do maksymalnych rozmiarów". Palacz zionący wódą wyznacza normę. Polacy piwa i wódki kupują więcej niż jedzenia.

Ewa zapamiętała, że zaczęło się właśnie wtedy.

Józef wraca pijany z pracy, pije w domu albo zatrzymuje się w barze. Jeśli dłużej go nie ma, żona idzie po męża i – choć jest drobnej figury – dzielnie podtrzymuje w drodze powrotnej. Na klatce schodowej podtrzymywany nogi podnosi z trudnością, ale puść, dam radę, zapewnia żonę. Przedostaje się przez obity boazerią przedpokój, opada na pościeloną w dużym pokoju kanapę, jutro poczytamy, świszczy do zdejmującej mu buty córki, jutro…

Książki, powtarza, są najważniejsze, choć sam łapczywie nie czyta. Po niedzielnym obiedzie sadza dzieci przy stole i ćwiczy z nimi pisanie. Te popołudnia najmniej lubi Ewa. Gdy literowanie idzie jej słabo, ojciec podnosi głos.

Dzieci jest czworo, na czymś trzeba oszczędzać, oszczędzają głównie na jedzeniu. Zupa i korpusy kurczaka to codzienność, wakacyjnych wyjazdów nie ma, meble z wystawek niepotrzebnych rzeczy. Ubrania dla dzieci dają znajomi.

W miejscowościach, w których upadają PGR-y, niemal od razu pojawia się ubóstwo. Za nimi w niebyt osuwają się przedsiębiorstwa przemysłowe. W okolicy Hirszów trudność przemian dotyka największego pracodawcę. Bezrobocie osiąga historyczny pułap. Wtedy matka Ewy rodzi piąte dziecko – Kingę.

Gdy rodzice się kłócą, głównie o picie Józefa, dzieci uciekają do swojego pokoju, pomieszczenia bez szafy, za to z piętrowym łóżkiem i wąską kanapą. Zatykają uszy i myślą, że to ich wina. Ojciec wygraża matce pięściami, miota przekleństwami. Za chwilę przeprasza i błaga o wybaczenie. Nikt go nie rozumie, nikt go nie szanuje.

Niedługo po pojawieniu się najmłodszej córki Ewa i Adam kończą podstawówkę. On idzie do liceum, ona do zawodówki – bo tak chcą rodzice. Początkowo Ewa nie rozumie ich decyzji, z czasem uznaje, że to musiała być troska. Sprzedawca to przecież dobry fach, o czym przekonuje się, gdy idzie na praktyki i dostaje pierwszą wypłatę. Kupuje sobie dżinsową kurtkę i trampki. W końcu ciuch nie po kimś – cieszy się. Następne pieniądze zabiera jej matka.

W szkole nic tak nie zdumiewa jak dojrzewanie. To tam Ewa słyszy, że jest deska i ma krzywe nogi. Ale i tak najbardziej boli ją „biedaczka". Nie przyszłoby jej to do głowy, gdyby tego nie usłyszała.

Jagody i borówki – obok grzybów i malin – początkowo idą na domowe potrzeby. Barbara zrywa dzieci o świcie i wiezie je pekaesem nad otwarte morze, do wilgotnych lasów, których borówka tak bardzo potrzebuje. Sześć, osiem godzin zbierania i rzut okiem w poszukiwaniu miejsc na

kolejny dzień. Harówa i ból kręgosłupa już po godzinie. Aż sąsiadka mówi: „Bachna, ciężko masz, zacznij owoce sprzedawać. Wiejskie kobiety na rynku stoją, dobrze im idzie. Telewizor sobie kupicie". Na rynek chodzi Ewa lub Adam. Bierz wiaderko i nie przynieś mi wstydu, mówi matka. Przynoszą pieniądze i wstyd.

*

Szukać pracy zaczyna, gdy dostaje do ręki ostatnie świadectwo. Pierwsze zatrudnienie: sklep całodobowy, dojazdy, mało snu. Kolejną propozycję dostrzega na tablicy urzędu pracy. Jest rok 2002 lub 2003.

– Ludzi potrzebowałem cały czas. – Edmund Wierzbowski, lat osiemdziesiąt siedem, nie wygląda na swój wiek. Energiczne ruchy, kremowy sweter w serek, uprzejmy uśmiech. – Oprócz sklepu spożywczego prowadziłem dwie stołówki i bar. Pół Polski się u mnie przewinęło. Ewa się wyróżniała. Była wesołą, otwartą dziewczyną, ciężko pracowała, manka nigdy nie zrobiła. Polubiliśmy ją bardzo, traktowaliśmy jak córkę. Do mojego sklepu musiała dojeżdżać, więc zaproponowałem, by wzięła jeden z pokoi dla pracowników. Zgodziła się, jej matka zadowolona nie była. Przyjechała, niech córka pensję odda, krzyczała. Mocno ją wtedy poniosło. Nie daj, mówię, twoje są, ciężko zapracowane.

Opowiada dalej: – Przestała dojeżdżać, odżyła. Widać było, że w domu nie najlepiej się czuła. Znalazła koleżanki, czasem poszły na dyskotekę. Dorobić też umiała. Chłopaka nigdy żadnego nie przyprowadziła. Dopiero latem 2005 oświadczyła, że wychodzi za mąż. Za kogo? – się pytam. A taki starszy o trzynaście lat murarz. Wtedy sobie przypomniałem, że firma spod Pucka budowała obok pensjonat, poprosiłem, by przy okazji wymienili okna w moim domu. W sklepie ją poznał, kwiatka kupił, na spacer zabrał. Nam się nie podobał – but dziurawy, lepkie spojrzenie. Prosiliśmy, tłumaczyliśmy, że to zbyt szybka decyzja, a ona, że się zakochała. Ale obiecała, że ślubu nie będzie. Niedługo potem poszła na urlop i po powrocie się zwolniła. W ciążę zaszła, no co ja mogłem? Raz ją tam odwiedziliśmy, pościel i talerze zawieźliśmy. Dom w budowie,

skromnie, mroczno. Wracałem zasmucony. Może się bała, że już zawsze będzie mieszkać nad sklepem? Jak człowiek nigdy nie zaznał spokoju, to nawet nie wie, że jest możliwy. Co dalej, wie pani lepiej ode mnie. Ja dowiedziałem się dwanaście lat później. Przyjechała niedługo po reportażu, na moje urodziny. Przytuliłem, o nic nie pytałem. Sama opowiedziała.

Ewa dziury w bucie nie pamięta. W jej wspomnieniach Mariusz to wówczas miły, romantyczny elegancik. Wyróżnia się, bo po pracy zakłada modną dżinsową koszulę.

Pracownica społeczna z jego wsi: – Nam się wydawało, że on jedyny z tej rodziny wyjdzie na ludzi.

Dom, który Mariusz pokazuje Ewie, faktycznie jest nieukończony. Z zewnątrz nieotynkowany, jedynie pochlapany zaprawą. Wodę trzeba brać ze studni, toaleta na podwórku, ogrzewanie zastępuje westfalka i kuchnia na węgiel. Wszystko w krajobrazie wioski, niewielkiej i czystej, jak pozostałość po niedokończonej bitwie. Mariusz obiecuje, że za rok dom będzie ukończony. Nie będzie.

Późnym latem 2005 roku, kiedy Ewa jest tam po raz pierwszy, zachwyca się bliskością lasu, dużym podwórkiem, stodołą z cegły. Podoba się jej, że dom jest odsunięty od ulicy, osłonięty drzewami. Kiedy stają na podwórku, z drewnianej chałupy stojącej po przeciwnej stronie obejścia wygląda jego matka. Za chwilę powie słowa, które Ewa zapamięta, lecz zignoruje.

Usiedli na schodach nieukończonego domu, nie trwało to długo. Mariusz powiedział, że się tu wkrótce wprowadzą, jego matka skinęła głową, wyprzedzając sprzeciw męża. I powiedziała: „Tylko się postaraj, żeby i ta nie uciekła”.

Rodzina Sapałów

Pomorskie, 1939–2005

W rodzinie Witolda Sapały rodzili się głównie chłopcy, u Marceli – dziewczynki. Dlatego ucieszyli się, gdy po pięciu synach i im przydarzyła się córka. Potem doszedł jeszcze Rysiek i ostatni, w roku 1969, Mariusz. Ukochany synek mamusi. Tylko mamusi.

– Dokuczaliśmy mu. – Rysiek trzyma w dłoni dębowe mocne, rozmawia tonem człowieka, który nie lubi gadać serio. – Bywało, żeśmy się pobili. Bracia ojca też potrafili dać mu w kość. Nie lubiłem go, on za mną też nie przepadał, he, he.

Zawodówkę kończy dwóch najstarszych synów, którzy szybko wyprowadzają się z domu. Jeden aż dwieście kilometrów dalej.

– Na gospodarstwie musi być *ordnung* – wytłumaczy mi wiele lat później. – Po szkole trzeba było krowy doić, wyprowadzać, żyliśmy ze sprzedaży mleka. Lekcje robiłem o jedenastej w nocy. Dopóki mogłem, pomagałem. Potem się wyprowadziłem. Tyle powiem.

W połowie lat pięćdziesiątych Marcela i Witold mają po naście lat i pracują w porcie rybackim. Jak wielu innych mieszkańców, nie zdążyli skończyć podstawówki i nigdy nie byli poza granicą powiatu. Ona ryby patroszy, on wędzi. PGR-y rolników nie zatrudniają, praca w Szkunerze, działającym w nadmorskim Władysławowie od 1955 roku, to jedyna możliwość dorobienia. Wysłana zieloną plandeką ciężarówka codziennie rano przejeżdża przez wsie i zbiera chętnych pasażerów.

– Myśmy, jako dzieci, głównie chleb jedli. – Krewny Witolda Sapały prosi o anonimowość. – Mięso było, jeśli ojciec dzika upolował, zająca przyniósł.

W chałupie drewniane prycze własnej roboty. Pierwszy tapczan – za wypłatę ze Szkunera. Chodaki też już można było wyrzucić. Najpierw sezonowo się robiło, a gdy postawili przetwórnię ryb, robota była także zimą. Alkoholu się u nas nie piło, bo nie było kiedy i za co. Czasem mama piwo zrobiła – z czarnej kawy i chmielu. W domu trzynaścioro nas było. Myśmy rodziców raz zapytali, co nas tak dużo. Bo się kochamy, odpowiedzieli, jak Pan Bóg przykazał.

Rodzice Witolda, urodzeni i wychowani pod zaborem pruskim, w domu rozmawiają po kaszubsku. W kościele modlą się po polsku, w szkole i w urzędach jeszcze niedawno używali niemieckiego. Skończyło się, kiedy państwo niemieckie – dwa lata po pierwszej przegranej wojnie – zostało zmuszone do wycofania się z większości terenów Kaszub. Ludzie pomyśleli: „Teraz wróci normalność".

*

Jest rok 1920, nowa granica przebiega kilkanaście kilometrów od ich domu, koło znanych Dębek, w pobliżu niedużej, wpadającej do morza rzeki Piaśnicy. Pomorze znajduje się odtąd w granicach trzech bardzo różnych bytów – Polski, Niemiec i Wolnego Miasta Gdańska. Zdarza się, że linia przechodzi przez środek kaszubskiego gospodarstwa.

Dla polskiej administracji, sprowadzonej głównie z Kongresówki, Galicji i Wielkopolski, Kaszubi to Polacy gorszej kategorii. Wypomina im się walkę w mundurze armii pruskiej, wyśmiewa język, zarzuca niemieckość. Nowa władza tłumaczy, że przyszła na Pomorze zaprowadzić kulturę, a biorą łapówki, tworzą wielkie, nikomu niepotrzebne biura, zatrudniają niemiecki personel. I romansują z Niemkami. Polscy żołnierze kradną, piją i biją, zabierają żywność. Zdarza się, że gwałcą kobiety. Kiedy miejscowi to podnoszą, słyszą: „Chcieliście Polski, to macie".

„Powiaty pucki i wejherowski robią nad wyraz smutne, wprost przygniatające wrażenie – odnotują w sprawozdaniu posłowie wizytujący Pomorze pół roku po wejściu polskich wojsk i wyborach do sejmu ustawodawczego, w których na przykład w Pucku na listę niemiecką

oddano aż trzy czwarte głosów. – Wojsko, jak wszędzie na Pomorzu, zrobiło i tu polskości najgorszą przysługę szorstkim traktowaniem ludności, dla której ducha nie miało żadnego zrozumienia [...] Poruszając stosunek wojska do ludności pomorskiej, dotykamy najboleśniejszej sprawy na Pomorzu. To wojsko, witane z nieopisanym uwielbieniem jako oswobodziciele z jarzma pruskiego, zaczęło tę skromną, cichą, pracowitą ludność traktować jak naród podbity".

Poselska komisja uświadamia rządzącym, że sytuacja na Pomorzu, a już szczególnie na Kaszubach, jest trudna. Normalizacja relacji – z różnym skutkiem – trwać będzie przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego.

Do zakończenia wojny Gdańsk jest największym rynkiem zbytu dla rybaków i jedynym miejscem, w którym można zaopatrzyć się w niezbędny do połowów sprzęt. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości i odcięcia Kaszub od Gdańska rybacy nie mają gdzie kupić gotowych sieci czy materiałów do ich wyrobu. Nadmorskie domy, jak wiele innych, zaczyna nękać bieda, ludzie proszą polski rząd o pomoc. Narzekają na kupców wykorzystujących ich trudne położenie. Obie strony spotykają się w Pucku. Relacjonujący spotkanie korespondent „Rybaka Polskiego" pisze o „germańskich naleciałościach, jakie było słychać wyraźnie w głosach rybackich, a które koniecznie trzeba było wyplenić".

O trudnym położeniu Kaszubów jako pierwszy napisał rosyjski slawista Aleksander Hilferding, który w 1856 roku odbył podróż po Pomorzu Zachodnim. Choć Kaszubi – zauważa – w czasie zaborów nie mają się na kim oprzeć poza Polakami, nie odczuwają więzi z polskim narodem: „Władająca tyle wieków Pomorzem Kaszubskim Polska łatwo mogłaby zadzierzgnąć między nimi a sobą ścisłe nici pokrewieństwa. Nie zrobiła tego wskutek wiecznej swej pogardy wobec prostego ludu. »Kaszubi to zwykli, prości włościanie, chłopi; mowa kaszubska to zepsute narzecze pospólstwa; jakże by wielmożni panowie mogli zajmować się nisko urodzonym prostym ludem i jego prostacką mową« tak oto uważają do tej pory Polacy-dziedzice, którzy zachowali jeszcze część swych majątków

w kraju kaszubskim. W rozmowie ze mną wyrażali nawet na wpół kpiące zdumienie, że Kaszubów i mowę kaszubską znajdywałem godnymi badania naukowego. Chociaż całe swoje życie spędzają wśród Kaszubów, nie mogłem od nikogo od nich uzyskać wiadomości o charakterze, życiu, zwyczajach, języku Kaszubów".

Hilferding rozmawia między innymi z księdzem, według którego Kaszubi są uczciwi i dobroduszni (duchowny prawie nigdy nie słyszy o kradzieżach w kaszubskich wsiach) oraz niezwykle pobożni i oddani Kościołowi („duchowieństwo ma na nich przebożny wpływ"). A ich moralność – w odróżnieniu od Niemców – nie uległa zepsuciu (na dwieście dzieci ślubnych przypada jedno nieślubne).

Całe Kaszuby zajmują się wówczas handlem. „Prosty Polak przeciwnie – pisze Hilferding. – Nigdy nie zabiera się do handlowania i zajmuje się wyłącznie uprawą roli". Inne różnice: „Kaszubi są zimniejsi, ostrożniejsi, poważniejsi i staranniej ważą słowa, zamiary. Polak łatwiej się zapala, jest bardziej lekkomyślny i niestały", a także bardziej chętny do wesołości niż Kaszuba. Nie jest też zbyt obrotny, kiedy Kaszuba to człowiek „przedsiębiorczy i wyrachowany".

„Ludzie z tutejszych wiosek mówili po kaszubsku, ale kiedy wychodziłem na łąki, zabraniałem im tego – przyznaje badaczowi jeden z polskich rozmówców. – Nie mogłem znieść ich mowy. Przypominała mi gęganie gęsi". Kaszubom doskwiera też germanizacja. Rodzice odczuwają gorycz i żal, bo kiedy mówią do swoich dzieci po kaszubsku, one już przeważnie odpowiadają po niemiecku.

Obawiając się tego procesu, inteligencja kaszubska na początku XX wieku powoła do życia ruch młodokaszubski. Podkreślają więzy z Polakami, zabiegają o tożsamościową odrębność. Dzięki ich pracy opinia publiczna dowiaduje się o kaszubskiej społeczności – z własną elitą, ideami, pierwszymi instytucjami. To początek zmian.

Gdy przychodzi wrzesień 1939 roku i zaczyna się druga wojna światowa, naziści nie są tu okupantem. Oni Kaszuby zagarniają, biorą jak swoje, a ludzi od pierwszych dni wypędzają i niszczą. Kaszuba w Kartuzach czy

Kościerzynie, w odróżnieniu od mieszkańca Warszawy, Łodzi czy Krakowa, nadaje się wyłącznie do zniemczenia. Dlatego na ulicy może mówić tylko w języku Trzeciej Rzeszy.

Naziści przejmują majątki, organizują wywózki, na podstawie przygotowanych przed wojną list z nazwiskami przeprowadzają rozstrzeliwania. Wśród wytypowanych osób znajdują się ludzie kultury, inteligencja, duchowieństwo, ale jest tam też każdy, kto udzielał się społecznie lub politycznie, choćby zwykły rolnik. Półtora roku później zaciskają kolejną pętlę – zmuszają do wpisu na niemiecką listę narodowościową i wcielają do Wehrmachtu. W Warszawie ktoś, kto podpisuje volkslistę, jest kolaborantem. Na Kaszubach służba w armii to najczęściej jedyny sposób, by ocalić rodzinę przed represjami.

„Niezrozumienie tego faktu kładło się cieniem przez dekady, co zresztą dało się odczuć w debacie publicznej przy okazji wyciągnięcia Donaldowi Tuskowi »dziadka z Wehrmachtu« – zauważy po latach historyk Jan Daniluk w rozmowie z „Magazynem Kaszuby". – Ludzie po prostu starali się przeżyć tę wojnę. Ta centralistyczna narracja, która każe porównywać sytuację na Pomorzu do tego, co działo się na przykład w Warszawie, jest kompletnie nieuzasadniona".

Do września 1944 roku na niemiecką listę narodowościową zapisuje się około dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy osób – nieco ponad połowa mieszkańców Pomorza. Z danych z tego samego roku wynika, że w Wehrmachcie służy wówczas od osiemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy pomorskich żołnierzy. Lęk przed oceną czuć do dziś. Każdy Kaszuba, z którym porozmawiam, powie, że jego rodzina volkslisty nie podpisała.

Senior rodu, Ambroży Sapała, dziadek Mariusza i ojciec Witolda, który listy też miał nie podpisać, trafia za to do obozu Stutthof. Według rodzinnej relacji pretekstem jest donos o prosiaku ukrytym w beczce z solą, którego rodzina powinna oddać żołnierzom Wehrmachtu.

Obóz powstaje 2 września 1939 roku na Żuławach Wiślanych z przeznaczeniem dla „niepożądanych elementów polskich" z terenu

Pomorza. Z czasem w transportach do Stutthofu znajdują się także więźniowie z północnego Mazowsza, Białostockiego, Warszawy, Lublina. Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Węgrzy, a nawet Niemcy. Łącznie około sto dziesięć tysięcy osób, z czego sześćdziesiąt pięć tysięcy już nie doczekało wolności. Ambroży przeżywa, bo ucieka z marszu śmierci zarządzonego w dniu ewakuacji, w styczniu 1945.

Mają iść pieszo siedem dni w kierunku oddalonego o sto czterdzieści kilometrów Lęborka. Idą dni jedenaście, jest ich ponad jedenaście tysięcy. Nocują w kościołach, oborach, stodołach. Zima jest mroźna i śnieżna, część więźniów ma na nogach tylko drewniaki. Przed wymarszem dostają pół bochenka chleba i trochę margaryny. Kto w trakcie marszu nie wytrzyma, ten zabarwi śnieg swoją krwią.

Po wsiach roznosi się, że idą „sztutowi". Ludność podrzuca jedzenie albo korzysta z nieuwagi esesmanów i wyprowadza więźniów z kolumny. Niektórzy sami uciekają. Relacja leśniczego Władysława Okroja, więźnia numer 101665, opublikowana przez Nadleśnictwo Strzebielino: „Powstało zamieszanie wśród ludności cywilnej, która zaczęła rzucać nam chleb. Wykorzystałem ten moment". Ambrożemu też się udaje.

Córka: – Wrócił w nocy, w pasiakach. Nic już nie było takie samo.

Po dojściu pod Lębork więźniowie zostają stłoczeni w pustych barakach i przez kolejne pięć tygodni są tam przetrzymywani. Dziesiątkuje ich głód i tyfus. Dostają kromkę chleba na tydzień i raz dziennie coś, co ma być zupą: zgniłe ziemniaki lub brukiew w wodzie. Czasem komendanci skupują od okolicznych gospodarzy padłe lub stare konie, które obozowi kucharze gotują i wrzucają na talerz.

Po hitlerowcach na Kaszuby wchodzi Armia Czerwona.

– Rabowali, niszczyli, zabijali zwierzęta. Ludzi wyrzucali z domów pod byle pretekstem – mówi mieszkaniec wsi położonej blisko nadmorskiej Karwi. – Najgorzej miały kobiety, przez język kaszubski mylone z Niemkami. Smarowały się sadzą, chowały w polu, po piwnicach, w stodołach. A oni i tak przychodzili. Panią P. oparli o kierat do mielenia zboża. Miała szesnaście, może siedemnaście lat. Gwałcili po kolei, a gdy

traciła przytomność, oblewali wodą i kontynuowali. Skończyli, chłopi położyli panią P. na furmance i zawieźli do lekarza, żeby ją pozszywał. O tym się nigdy nie gadało. Nie za bardzo gada do dziś.

Były kaszubski sołtys: – Z tych gwałtów były dzieci. Niejeden urzędnik albo ksiądz. Nie wszyscy znają swoją przeszłość. Te kobiety też dobrze potem przez ludzi traktowane nie były. Trzeba by wówczas i o tym pomówić. Bękart na Kaszubach jest jak ostatni snop zboża, którego nikt nie chce wiązać.

Po roku 1945 obywatelstwo dostają ci, których w toku rehabilitacji zaliczono do narodowości polskiej. Kto może i chce, ponownie zmienia nazwisko: Grün na Groen, Selonke na Zielonka, Behmke na Bemke.

– U nas w domu też mówiło się tylko po kaszubsku – opowiada pomorski poseł Kazimierz Plocke, który jest spod Pucka. – Chyba że dzieci miały nie wiedzieć, o czym mowa, wtedy używany był niemiecki. Kiedy w roku 1965 poszedłem do szkoły, nie znałem zdania po polsku. Mieliśmy to szczęście, że kierownik placówki rozumiał nasze położenie. Traktował nas ulgowo i uczył języka.

Dla nowej władzy, ponownie ściągniętej na Północ z innych rejonów kraju, Kaszubi to Niemcy. Na Wschód wywozi się nawet tych, którzy przetrwali Stutthof. Albo zamyka w obozach pracy razem z Niemcami. Językoznawca Ludwik Zabrocki alarmuje wojewódzką radę narodową, że wypędzana jest ludność słowiańska. Naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu próbują uświadamiać polskie władze. Jedna z wsi, przed wojną licząca sześciuset sześćdziesięciu mieszkańców, kurczy się do stu pięćdziesięciu dwóch, by wkrótce zupełnie opustoszeć. A potem przychodzi kolektywizacja.

– Dla komunistów, jak ktoś dobrze gospodarzył, to był burżuj, kułak – tłumaczy Brunon Wendt, urodzony w 1928 roku. – Wymyślili podatki i obowiązkowy skup zboża. Nie mieliśmy przez to czym zwierząt karmić. Za grosze kazali oddawać mięso. W 1950 roku zabrali mnie do wojska. Tylko im nie o służbę chodziło. Wysłali mnie do Katowic, do kopalni. Tam całe pułki były. Trzy lata ja tam był. Polaków nie brali.

Władzę ludową jeszcze długo niepokoi język i religijność Kaszubów. Ściągnięci na Pomorze z różnych części kraju nauczyciele nawet w latach osiemdziesiątych biją dzieci za choćby „jo" na szkolnej przerwie. Część z nich zaangażuje się potem w działalność na rzecz promocji kultury Kaszub i bywa za to nagradzana.

*

Ślub bierze się raz, na zawsze. Najlepiej przed dniem Świętego Marcina i z rozmachem. Ale na rozmach nie ma pieniędzy. Dlatego jednego dnia są dwa wesela – dwóch braci żeni się z dwiema siostrami. Marcela wychodzi za Witolda, jej siostra za jego brata.

– Kiedyś nie było tak, że ludzie zakochiwali się w kimś z daleka. – Krewna Marceli pamięta ten ślub. – Rodzice mówili: „Bosego antka nie bierz! Bierz sąsiada, bo bogaty". Nie było też gdzie się poznać. Poznawalim się w kościele lub w gospodzie, dopiero jak lekarz zaczął przyjmować na pobliskim zamku, mogliśmy poznać kogoś w kolejce na badanie. Niektórzy przesadzali. Aż ksiądz na mszy denerwował się, że do czwartego pokolenia nie wolno. Na lekcjach religii też nam tłumaczyli. A my się bali, że ziemia do obcych pójdzie. Jeśli z Gdyni jakiś antek wziął kobiałkę, ludzie zaraz gadali, że po znajomości. Nie pamiętam, żeby która wzięła nie-Kaszubę. Przecie goły antek nie był stąd, po polsku gadał, nie po kaszubsku.

Zaraz po ślubie Sapałów, w roku 1959, rodzi się ich pierwsze dziecko – Staś. Mieszkają w dzierżawionych od PGR-u i sąsiadujących z oborą pomieszczeniach. Jeden pokój, długa kuchnia, łóżko obok łóżka. Do tego trochę ziemi pod uprawę. Pomysł podpowiedzieli rodzice Marceli, też pracownicy PGR-u z kilkanaściorgiem dzieci na utrzymaniu.

Kobieta z rodziny Sapałów przyjmuje mnie w kuchni, na stole wytarta cerata, w garze pyrka rosół: – Witek Sapała? Zawzięty rolnik, tylko niepisaty i nieczytaty. Najpierw w lesie furmanił, na akordeonie lubiał pograć. Marcela też pracowita była, ale z czasem za bardzo zaczęła przepadać za alkoholem i, co gorsza, pić uczyła dzieci. Witek za to pił rzadko, choć i on miał swoje problemy. Drzewo raz na wóz się przewróciło

i w głowę Witka uderzyło. Po kilku dniach Marcela przyszła do szpitala i mówi: „Witek, co robić? Choć bochenka nie mom". Bo jak ktoś nie miał pieca, młynarz dawał za żyto kartki. Szło się o piątej rano do sklepu i chleb był. Kto nie ustawił się w porannej kolejce, o chlebie mógł zapomnieć. Ale Marcela sama z dziećmi została, nie mogła młynarzowi żyta zwieźć. Lekarz mówi: „Panie, zostań, rentę dostaniesz". Bo to państwowe furmanienie było. A on, że do domu trzeba. Głowa zawinięta w kufajkę, gumiaki na nogi, pojechali. Niby dobrze potem było, tylko umysł Witka już jakby nie ten. Na wszystko zaczął pozwalać.

Nieraz musiał patrzeć na żonę i tęsknić za tą drobną, kruchą Marcelką, którą była, gdy się poznali. Budziła w nim opiekuńcze uczucia, czego ona chyba się nie spodziewała. Co ten alkohol robi z ludźmi, dziwił się nieraz Witek, a kiedy pierwszy raz podniosła na niego rękę, zupełnie nie wiedział, jak na to odpowiedzieć.

– Ja bym ją zostawił – wyznał w końcu rodzinie. – Tylko że sam z dziećmi nie dam rady. A jeśli se pójdę, nie będę miał na alimenty. Wszystkie są moje.

Nie były. Dlatego Mariuszowi dokuczali – bracia, wujkowie, dzieci w szkole.

– Nasz ojciec nie miał pieniędzy, na głowie dziesięcioosobowa rodzina, nieraz żeśmy głodni chodzili. – Jeden z braci Mariusza próbuje zrozumieć własną złość. – A Kazimierz, ojciec Mariusza, pracował w szkółce ryb i gdy tylko dostawał wypłatę, rowerek synkowi kupił, zabawkę przyniósł. My tego nie mieliśmy. No i ten wstyd. Ludzie wiedzieli, że matka z innym poszła, a ona jeszcze ciągle tylko Mariuszek, Mariuszek, kiedy on nawet po kaszubsku nie nauczył się gadać. Pod górkę z nami miał, nie powiem, to na starość, he, he, mu odbiło.

Mariusz nawet po latach będzie się upierał, że jego ojcem jest Witold Sapała.

– Niech mi ktoś udowodni, że jest inaczej! – denerwuje się podczas jednej z rozmów. – Ludzie plotkują, odkąd pamiętam!

Gdy ktoś chce mu dokuczyć, wystarczy, że powie: „Ej, Kazik!”. Powiedzą nie raz.

Ma pięć lat, siedmioro rodzeństwa, blond włosy i delikatne rysy twarzy, gdy Sapałowie w 1974 roku wyprowadzają się z pegeerowskiej obory i przenoszą do wsi obok. Kupują na kredyt trzynaście hektarów ziemi, raty spłacają w mleku, ziemniakach, zbożu. Ich domem staje się postawiona przez Niemca drewniana chata.

*

Z chatą było tak:

Wcześniej ziemia należała do bogatego rodu von Krockow, obecnego na Kaszubach od siedmiuset lat. Część ich majątku, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1920 roku, trafiła do ściąganych na Pomorze Polaków. Trzynaście hektarów zabranych Krockowom przypadło jedenastoosobowej rodzinie Jamrozów. Przyszli spod Kielc, bo przeczytali w gazecie, że tu dają ziemię i poniemieckie domy.

Wieś rozciąga się wzdłuż jednej bardzo długiej drogi z zabudowaniami folwarcznymi i kilkoma gospodarstwami. Na ziemi Jamrozów znajduje się tylko obora i przylegające do niej pomieszczenie. Oddech dają pobliskie lasy, zaskakują zimne wiatry. Nie cieszy późna wiosna i częste sztormy. Miejscowość nigdy nie będzie mieć swojego sklepu, w latach dziewięćdziesiątych z trudem wywalczy przystanek autobusowy. W marcu 1942 roku mieszkańcy przeżyją zbiorową traumę.

Przyszli w nocy, weszli do domostw, kazali spakować najpotrzebniejsze rzeczy. A potem kolejna miejscowość i jeszcze jedna, i jeszcze. W sumie osiemdziesiąt cztery rodziny (trzysta siedemdziesiąt osób). Najpierw furmanką na dworzec, stamtąd ciasnym wagonem do Nakła nad Notecią, ostatnie kilometry piechotą do Potulic. Aż do bramy wybudowanego dla pomorskiej ludności obozu. Umrze tam tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt siedem osób, w tym siedemset sześćdziesiąt siedem ofiar stanowić będą dzieci.

Zanim najmłodsi umrą, pracują poza obozem (nawet w nocy), nosząc cegły lub deski. Ładują i rozładowują ziemniaki w okolicznych majątkach niemieckich, zbierają chrust i pokrzywy do obozowej kuchni. Część dzieci hitlerowcy poddają badaniom rasowym i wywożą w głąb Rzeszy. Za drobne przewinienia dzieci są bite, maltretowane, zamykane w karcerze. Dziesiątkowane przez tyfus i głód. Strzyżone do samej skóry. Mordowane.

Od sierpnia 1944 roku hitlerowcy zwożą do Potulic także samotne maluchy z południa Polski. Dzieci śpią po czworo na pryczach pod mokrymi kocami, pracują przy zbiorach buraków cukrowych, kopią rowy. Są karane przy każdej próbie odpoczynku. Według planu złamane i nauczone języka mają trafić do odpowiednio dobranych niemieckich rodzin.

Wacław Bucław, wnuk Jamroza, opowiada o wywózce rodziny do Potulic, siedząc przy dużym, białym stole ustawionym pod ścianą domu. Gdy zaczyna mówić o biciu dziadka gumą za podebranie kilku ziemniaków, jego oczy szklą się łzami. Odchodzi kilka metrów, staje wśród wiszącego prania, plecy lekko mu się zaokrąglają. Mężczyznę obserwuje krzątający się po podwórku wnuczek.

– Dziadek, a dlaczego się popłakałeś? – pyta, kiedy Wacław wraca do stołu.

– Z radości – słyszy chłopczyk, co przyjmuje z ulgą i odbiega w kierunku piaskownicy. A Wacław dodaje: – Mój dziadek też płakał, kiedy ich wywozili. Wiem to od nieżyjącej już mamusi, wówczas dziewięcioletniej dziewczynki.

Ostatnia żyjąca córka Jamroza, Marianna Topp, siostra matki Wacława: – Zanim pojechaliśmy, wójt namawiał ojca na podpisanie volkslisty. Tłumaczył, że inaczej gospodarstwo przejmie Niemiec sprowadzony z Europy Wschodniej. Ale ojciec się uparł, służył w pierwszej wojnie światowej, więziony był przez Niemców, nie wyobrażał sobie służenia w mundurze Wehrmachtu. Byliśmy tam trzy lata. Czy mam żal do ojca? To samo pytanie zadał mi ostatnio lekarz. Bo gdyby nie zimno i straszliwy

głód, trzy lata jedzenia zup z robakami albo gotowanych szyszek, tyle bym w życiu nie chorowała. Odpowiedziałam: „Ojciec zrobił, co musiał".

Po powrocie z Potulic okazało się, że Niemiec zostawił po sobie dom. Ciemne drewno, trzy izby, nieocieplony strych. Trzydzieści lat później nieruchomość kupi Sapała, a Jamrozowie, starsi wiekiem, przeniosą się kilka kilometrów dalej do dzieci i wnuków. Mija drugie tyle, a chatę wizytują wojewoda, dziennikarze, europoseł. Prezydent Lech Kaczyński pisze do domowników list.

Życie po życiu

Chata po niemieckim gospodarzu, która z zewnątrz wygląda na przestronną, w środku okazała się ciasna i duszna. Dlatego krótko po przeprowadzce Witold Sapała zaczyna budowę piętrowego domu – z tarasem, sześcioma pokojami i sporą, podzieloną na kilka pomieszczeń piwnicą. Powoli, obliczając pracę na lata, z pomocą synów. A ci pomagają niechętnie i z wyobraźnią, o czym w styczniu 2003 roku donosi pośrednio „Dziennik Bałtycki":

„Sensacyjne odkrycie! Na terenach oznaczonych na planach jako nieużytki odnaleziono cmentarz mennonitów sprzed kilkuset lat".

Na ślad mogił natrafiono przypadkiem. Szef lokalnego Stowarzyszenia Przyjaciół Tradycji odwiedził kolegę. Kolega nalał kieliszek „wina mennonickiego" i pochwalił się, że głóg na trunek zbiera na cmentarzu. Szef stowarzyszenia aż podskoczył – nigdzie nie czytał o takiej nekropolii.

Ściągają do wsi historyków, a ci radzą, by cmentarz zabezpieczyć i natychmiast rozpocząć badania. „Tu jest setka grobów! – Profesor Andrzej Groth, specjalizujący się w dziejach Pomorza, przedziera się z dziennikarką przez chaszcze, co ta relacjonuje w artykule. – To niesamowite! W żadnym dokumencie nie znalazłem wzmianki o miejscu pochówku mennonitów. A przecież żyli tu setki lat, walczyli z wylewającym się morzem, osuszali bagna". Po chwili smutna konstatacja: ktoś poprzewracał krzyże, zrujnował grobowiec, otworzył mogiły (najstarsza jest z 1858 roku, ale za terenem cmentarza odkryto ciemny kamień z wyrytym nazwiskiem i datą: AD 1786). Cmentarz musiał być systematycznie plądrowany.

Historyk uważnie patrzy pod nogi, dostrzega dziecięce groby. Kuca przy płycie i opowiada dziennikarce o trudnych warunkach życiowych mennonitów, przez które zaledwie co drugie dziecko dożywało dziesiątego roku życia. „Mennonici na to nie zasługują – grzmi pytane o komentarz Stowarzyszenie Przyjaciół Tradycji. – To oni uratowali tę ziemię przed morzem. Nie można o nich milczeć".

Pierwszych sześciu osadników holenderskich wyznania mennonickiego (protestanci) ściągnął na północne Kaszuby starosta pucki Jan Wejher. Był rok 1599, a późniejsze Karwieńskie Błota składały się wyłącznie z bagna i stale zalewanych przez Bałtyk łąk. Nowi mieszkańcy, specjaliści od drenażu, dostali ziemię, szereg przywilejów i zadanie osuszenia mokradeł.

Na sztucznie usypanych groblach wybudowali dwie drogi, wzdłuż których wznieśli domy na dębowych palach. Dachy pokryli strzechą. Wykopali kanały odpływowe i sieć rowów. Błota przemienili w pola. Za pomocą rąk, rydli i taczek (konie nie wszędzie mogły wjechać) nawieźli setki tysięcy fur ziemi oraz piasku. A już dwa lata po przeprowadzce rozpoczęli budowę szkoły. I ciągle zmagali się z brakiem wody oraz częstymi powodziami. By się chronić, teren obsadzili lasem. Wydmy, porośnięte dziś sosnowym borem, umocnili. Żyli z pracy koni i połowów, a także dzięki mleku krów. Przez władze pruskie w całości zniemczeni, przez polskie przesiedleni.

– W 1945 roku opuszczane gospodarstwa zajęła polska ludność pracująca dotąd na niemieckich majątkach – opowiada osiemdziesięciosiedmioletni Zygmunt Ceszke, który przez pięćdziesiąt pięć lat był sołtysem Karwieńskich Błot. – Kaszuba rolnik ziemi nie chciał, bo niemiecka propaganda tłukła, że Hitler zaraz wróci. Nowi gospodarze nie znali się na odwadnianiu terenu, na gospodarce też słabo. Rowy zaczęły się zapychać, podmokłe pola i łąki gnić. Wilgoć weszła do chałup. Ludzie zaczęli się wyprowadzać. W 1958 roku urzędnicy uznali, że najlepiej będzie wieś zlikwidować.

Ceszke ma wtedy dwadzieścia cztery lata, jego ojciec od ponad dekady gospodarzy w Karwieńskich. Ani myśli się wyprowadzać.

– Miał nosa, kupując tu ziemię. – Ceszke przyjmuje mnie w kuchni, na ścianach dyplomy i podziękowania za sołtysowanie, na stole pęto kiełbasy i bochenek chleba. – Gdzie znajdzie pani taką dużą i piękną plażę? Wiadomo było, że to w końcu ruszy, już przed wojną przyjeżdżali pierwsi kuracjusze. Ojciec mówi: „Zygmunt, nie na darmo szkołę skończyłeś, zajmij się tym". To się zająłem.

Ceszke zwalnia się ze Stoczni Marynarki Wojennej w gdyńskim Oksywiu, przenosi się do Karwieńskich Błot i ogłasza „szefem odbudowy wsi". Najpierw wypomina lokalnym urzędnikom lata zaniedbań. Kilka lat wcześniej wiejska spółka wodna, mająca dbać o melioracje we wsi, dostała siedem milionów złotych na ich unowocześnienie. Gdzie te pieniądze? – pyta wtedy Ceszke.

– Utopione w bezsensownych przedsięwzięciach – odpowiada dziś, krojąc chleb. – A potem to tuszowali, żeby nikomu włos z głowy nie spadł. Kiedy im to wypomniałem z mównicy, w trakcie spotkania komitetu partyjnego, wsadzili mnie na dwa dni do aresztu. Powiedzieli, że jestem wróg Polski Ludowej. Później wsadzili mnie jeszcze trzy razy. Wkurzyłem się, napisałem do Władysława Gomułki. Poprosiłem, żeby przyjechał i sam sprawdził, czy ja rzeczywiście jestem głupi. Bo tu ludzie żyją, napisałem, ziemię uprawiają, kto to myślał wieś likwidować? Dwa tygodnie później na moje podwórko wjechały trzy wołgi. Komisja z Warszawy zobaczyła plany wsi, obejrzeli teren, powiedzieli, że żaden wróg ze mnie, głuptas też nie. Można mi zaufać, choć jestem kawalerem. Dali nam piętnaście milionów złotych pod warunkiem, że wydamy w ciągu dwóch lat. Wybudowaliśmy stację pomp, część rowów oczyściliśmy, inne zasypaliśmy. Unowocześniliśmy system odwadniająco-nawadniający. Odpływu ludzi nie zatrzymaliśmy.

Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych Karwieńskie Błota, choć już tłumnie odwiedzane przez letników, są najbiedniejszą wsią w gminie. Telefon jeden – na słupie, brak kanalizacji, do lekarza daleko. Uprawa na podmokłych gruntach opłacalna nie jest. Ale w 1992 roku przepis wymagający zgody gminy na podział lasu i działek rolnych zostaje

zlikwidowany. Nie oznacza to, że na sprzedanych gruntach można budować, co się chce, mimo to mieszkańcy zaczynają odtąd żyć z wyprzedaży.

Ceszke: – Najpierw ziemię zaczęły sprzedawać plajtujące spółdzielnie rolnicze. Potem my, a zarobione pieniądze inwestowaliśmy w remonty swoich domów. Sam do tego namawiałem i sam też sprzedawałem. Wcześniej ziemię mogli zbywać tylko ci przy drodze, a to nie było sprawiedliwe. Bo co z tymi, co żyją bliżej morza? Dzięki sprzedażom wyszliśmy z biedy. Gmina nie straciła, letnicy płacą porządne podatki, tyle co rolnik od hektara.

Nieistniejący już „Głos Wybrzeża", rok 1999: „W Karwieńskich Błotach zanotowano czterysta osiemdziesiąt cztery przypadki samowoli budowlanej". Tygodnik „Polityka", rok wcześniej: „Łąki zamieniają się w ogródki działkowe z warzywniakiem i drzewami owocowymi". Pomysłów jest wiele, byle tylko „wszelkimi możliwymi sposobami, w tym metodą faktów dokonanych, doprowadzić do przekwalifikowania działek z rolniczych na budowlane". Jak przyznaje w rozmowie z Ryszardą Sochą dla „Polityki" jeden z właścicieli drewnianego domku, za siedemset metrów zapłacił dwa tysiące dwieście złotych: „W zamiarze zakupu utwierdziło go to, że w drzwiach biura spółdzielni oferującej działki minął się z Sz., ówczesnym prezesem Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku. Sz. na razie na swoim poletku wzniósł tylko sławojkę. I czeka. Piosenkarka Beata K. z kolei poprzestała na wbiciu pośrodku swoich włości czegoś w rodzaju masztu. W sumie od 1990 roku na gruntach należących do Karwieńskich Błot wydzielono ponad tysiąc dwieście działek. Z tego blisko osiemset znajduje się w granicach Nadmorskiego Parku Krajobrazowego".

Konserwator zabytków łapie się za głowę – nie wpisał wsi do rejestru, teraz jest już za późno. Dzikie sprzedaże odnotowuje się też w niedalekich Dębkach czy pod Kościerzyną.

Kto otrzyma nakaz rozbiórki, wykorzystuje wszelkie prawne możliwości. Do tego protesty: przeciwko likwidacji domków jest dwustu dwudziestu mieszkańców Karwieńskich Błot oraz przyjezdni, których

w lecie jest tu wówczas ponad tysiąc. Ostatecznie wieś trafia do rejestru zabytków, a gmina Krokowa przez kolejne jedenaście lat walczy przed sądem, by ją stamtąd wykreślić. Przegrywa i musi opracować plan zagospodarowania przestrzennego, który zadba o ochronę walorów krajobrazowych wsi. Do dziś nie powstał.

W 2003 roku, kiedy prasa donosi o zniszczonym cmentarzu w Karwieńskich Błotach, urząd gminy ciągle tłumaczy się z „największej samowoli budowlanej w Polsce". Ryszard Stachurski, były sekretarz gminy, a później wojewoda pomorski, pytany o mogiły mennonitów odpowiada, że próbował zainteresować sprawą konserwatora zabytków, ale że to cmentarz „poniemiecki", włączyły się uprzedzenia i brak wiedzy. „We wsi krążą wieści, że na stropach niedaleko wybudowanego domu zalano betonem krzyże wyniesione z cmentarza – dodaje w rozmowie z Dorotą Abramowicz z »Dziennika Bałtyckiego«. – Miało to obniżyć koszty budowy. Nie ma jednak chętnych na życie w tym domu. Ponoć tam straszy...".

W domu nie straszy, ale gdy tam pojadę, w posadzce przedsionka dostrzegę fragmenty nagrobków.

Zygmunt Ceszke: – Inni też wynosili. A dzwon z wieżyczki wisi w jednym z kościołów.

Nieco przed odkryciem cmentarza do Krokowej przyjeżdża ekipa filmowa, dwudziestodziewięciominutowe *Życie po życiu* w reżyserii Elżbiety Nekandy-Trepki ma pokazać nastroje wśród byłych pracowników PGR-ów. Zaprzyjaźniony z twórcami Piotr Pytlakowski, reporter tygodnika „Polityka", wciela się w rolę szefa stowarzyszenia na rzecz reaktywacji Państwowych Gospodarstw Rolnych. Autorom zależy na ostrych wypowiedziach, dlatego decydują się na prowokację.

Pytlakowski pożycza od kolegi skórzaną teczkę, wkłada ślubny garnitur i jedzie z operatorem na miniosiedle wybudowane dla pracowników upadłego PGR-u. Jednopiętrowe budynki o jasnej elewacji, przy oknach talerze satelitarne.

W samochodowym radiu, chwilę przed tym, jak reporter wjeżdża na osiedle, podano wiadomości: „Tu Radio Mewa. W Karwi, Dębkach,

w Jastrzębiej Górze upał, na kwaterach i w pensjonatach tłok, trudno o wolne miejsca. Ale ci, co lubią prawdziwą wygodę, odpoczywają kilka kilometrów od nadmorskich deptaków, więc nie dziwi, że niedaleko, na zamku w Krokowej, wszystkie pokoje zajęte do końca sezonu. Dla Kaszubów liczy się każda złotówka, bo sezon krótki, a rok długi. Na każdym rogu można coś zjeść, ale dziś nie wystarczą już smażone rybki. Właśnie wczoraj między Karwią a Krokową otwarto kolejny, wakacyjny sex shop. Pytamy miłego właściciela: »Jak interesik?« [Męski głos:] »Ja nie mogę narzekać. Mamy wszystko na miejscu i teraz w Polsce tylko pieniążki liczyć«".

Ludzie, z którymi rozmawia Pytlakowski, mieszkali wcześniej w pokojach stojącego w centrum wsi zamku. Przez setki lat, do roku 1945, należał on do von Krockowów. Po wojnie został siedzibą PGR-u, z biurami i pokojami mieszkalnymi. Pod koniec działalności krokowskiego PGR-u (w roku 1989) budynek zapadał się w sobie lub wysypywał na ulicę. W otaczającej go fosie pływały brązowe butelki po piwie i białe po wódce. Do pokoju zajmowanego niegdyś przez kamerdynera wprowadzono krowę.

Nic nie wskazywało na to, że gmina Krokowa podźwignie się z ruiny, PGR-y zatrudniały większość mieszkańców, setki rodzin zostały bez pieniędzy. Ludzie nie mieli na jedzenie, ubrania dla dzieci. Ostatnie, o czym myślano, to remont podupadającego pałacu. Ale rok później (w 1990) wizja pojednania Polaków z Niemcami zaczyna być nośna politycznie. Wizyty polityków obu krajów stają się rutyną, znajdują się rządowe pieniądze na wspieranie partnerstwa. W tym samym roku wieś odwiedza były właściciel zamku – sędziwy Albrecht von Krockow. I przekonuje wójta, że pojednanie to szansa dla gminy – wystarczy założyć fundację na rzecz współpracy Polski i Niemiec w wymiarze lokalnym i postarać się o pieniądze na odbudowę zabytkowej posiadłości. Opowiada przy okazji romantyczną historię rodu, o ratowaniu Kaszubów i krótkiej walce brata, Reinholda, w polskim wojsku, która trafia na ściany lokalnego muzeum. A w nim ani słowa (do dziś) o przeszłości obu w SS,

prawdopodobnym udziale jednego z braci w głośnym pobiciu polskich jeńców czy uczestnictwie Reinholda w wywózkach.

Tymczasem pomysł Krockowa chwyta, do gminy płynie strumień euro. Nieruchomość zostaje odrestaurowana, teren wokoło uporządkowany, w stawie można łowić ryby. A Krokowa staje się jedyną gminą wiejską w województwie pomorskim, której mieszkańcy nie muszą wyrzucać śmieci do rowu czy rzeki, bo z Niemiec przyjechały też kubły na odpady.

We wnętrzu pałacu hotel i restauracja oraz pamiętające wojnę piece kaflowe. Odnowione malowidła, mosiężne stoły. Fundacja organizuje polsko-niemieckie konferencje naukowe, koncerty, warsztaty pianistyczne. Przyjeżdżają naukowcy, politycy, zagraniczni turyści. Chcą tu pracować ludzie z Trójmiasta. Kucharzem na zamku będzie też jeden z Sapałów.

– Założenie fundacji konsultowałem w każdej wsi – mówi poseł Kazimierz Plocke, wtedy wójt Krokowej. – Gdyby ludzie nie chcieli, to bym się nie odważył. A i tak plotkowano, że germanofil ze mnie. Pałac dał nam rozwój, o którym mogliśmy pomarzyć. Po upadku PGR-ów bezrobocie wynosiło u nas 40 procent.

Byli mieszkańcy pałacu od państwa dostają renty lub emerytury, a od fundacji założonej przez gminę i rodzinę von Krockow – miniosiedle. Uroczystość wręczenia kluczy relacjonują media: „Gaz mamy, białe ściany też są. Cieszymy się bardzo. – Niewysoka kobieta w grubym kożuchu osobiście dziękuje Albrechtowi von Krockow za nowe mieszkanie, a scena trafia do *Życie po życiu*. – Tam przecież już wszystko się waliło".

Dwa lata później nastroje ulegają zmianie, co rejestrują autorzy filmu.

– Jak komuna była, a dzieci małe, jedzenia miałem w bród. – Pytlakowski i jego rozmówca siedzą na szarej kanapie, naprzeciwko operator. – Byka potrafiłem wyhodować do pięciuset kilogramów. A tu co mam robić? Nawet chlewika nie mam. I wszystko drogie. Dziś trzech kur nie byłbym w stanie uchować.

– A z czego pan te byki wtedy hodował? – pyta reporter.

– No z czego… – Mężczyzna poprawia wypłowiałą czapkę z daszkiem. – Niech się pan zapyta, z czego dyrektor PGR-u sobie dom postawił. Wszyscy

żyli i dobrze było… Teraz ludzie narzekają na komunę, a za komuny moim zdaniem było lepiej.

Kolejny rozmówca przyjmuje reportera w kuchni. – Mnie to się płakać chce – wyznaje pan Minga. – Całe życie pracowałem w PGR-ze. Pola posprzedawali, ludzi zwolnili i co tu teraz jest? Naokoło same chwasty. Jak tu obcokrajowcy jadą, to nie wiem, co o nas myślą. Kiedyś tego nie było. Ulica dwa razy w tygodniu miotłami zamiatana była.

Krokowski PGR słynął z uprawy ziemniaków i coraz nowszych ich odmian. Był jednym z lepszych w Polsce.

– Ja sobie dnia bez ziemniaka nie wyobrażam – tłumaczy sąsiadka pana Mingi. – Jeden dzień wytrzymam, drugi już nie. Dla mnie ziemniaki są najważniejsze. Jak nie mam dobrych, to wolę na obiad głodówkę mieć. Byle jakich kartofli to się nie opłaci. Tylko widzi pan, kiedyś ziemniaki były swoje, bez sztucznego nawozu, zdrowo było. A dziś?

– Pachnie tu. Czuje pani? – Pytlakowski dyskretnie rozgląda się po pokoju.

– Ja nie czuję…

– Jakiś spirytus chyba? – Reporter uśmiecha się porozumiewawczo.

– Nie, spirytus nie. – Kobieta szczerzy zęby. A potem doda: – Oj, poszłabym znów do pracy. Ziemniaki zebrać, obornik roztrząsnąć, na magazynie zboże czyścić…

Pytlakowski idzie w pole i zatrzymuje mężczyznę prowadzącego traktor. Słyszy:

– Dzisiaj płaci się za leżenie, taka jest polityka. A jak im się powie, że jest robota, to pytają: A za ile? Leżą i śpią. O to chodziło?

Jedna z ostatnich scen ma miejsce, gdy na reportera wpada przypadkowy przechodzień. Chwiejny krok, twarz opuchnięta, gumiaki.

– Ja przepracowałem w PGR-ze piętnaście lat i dalej chcę dla PGR-u robić! – Mężczyzna opiera dłonie na ramionach Pytlakowskiego, oczy mu wilgotnieją. – Matka ręcznie doiła krowy, ja też ręcznie doił! I mi tego, kurwa, nikt nie powie. Ja nie mam innej szkoły, tylko do obory szłem! –

Niemalże zanosi się płaczem. – Gdyby można było, zaraz bym do krów. Szefie, załatw mi robotę za granicą! Od razu pójdę na oborę!

Na strychu

Drewnianą chatę wizytują politycy, a prezydent Lech Kaczyński pisze do jej mieszkańców list, bo Aniela Sapała uświadamia sobie, że albo coś zrobi, albo całe życie spędzi na strychu.

Trzy lata po odkryciu cmentarza mennonitów (2006) nowy dom Sapałów nadal jakby w budowie. Rodzina żyje w drewnianej chacie, bez kanalizacji i wody, a razem jest ich tam ponad dwadzieścioro. Na dole rodzice, w pokojach obok synowie Rysiek i Marian oraz bratanek ojca. Na strychu – najstarszy syn Sapałów, Stach, z żoną Anielą i kilkanaściorgiem dzieci. Łóżka złączone ze sobą wypełniają prawie całą przestrzeń. W przedsionku – kuchnia na węgiel i westfalka. Przedsionek służy czasem za toaletę.

Kiedy Mariusz się przenosi do murowanego domu – jesienią 2005 roku – i zaprasza tam Ewę pod koniec grudnia, są trzy miesiące przed ślubem. Parter służy do przechowywania rzeczy, ale piętro nabiera domowych kształtów – ściany dużego pokoju otrzymały kolor zielony i używaną brązową meblościankę, pod ścianą stanęła kanapa. Nad nią obrazek Jana Pawła II. Dziecięcy pokój też odświeżony. Jest jeszcze sypialnia, ale wkrótce, głównie na okresy zimowe, stanie się pokojem Mariana, który odpowiada w gospodarstwie za pole i krowy i chyba tylko dzięki niemu to jeszcze jakoś działa. Taki warunek stawia Marcela – Mariusz może wziąć dom, ale musi się tam znaleźć miejsce dla brata.

Z chwilą, gdy zapadają te decyzje, Aniela uzmysławia sobie, że jej szanse na wyprowadzkę ze strychu zmalały do zera. Pisze do lokalnej gazety: „Pomóżcie, tak się nie da żyć”.

Wcześniej dziennik nagłośnił trudny los wielodzietnej rodziny z sąsiedniej wsi – latami mieszkali w baraku, a po cyklu artykułów prywatny sponsor wybudował im nowy drewniany dom. Pomagać ludziom chce też „Głos Pomorza". Pisali ostatnio o starszym panu spod Słupska, który żyje bez wody i pieniędzy. Do sklepu idzie, gdy głód jest nie do wytrzymania. A potem z braku sił przewraca się koło kościoła i leży, dopóki ktoś go nie podniesie. Pomoc społeczna bezsilna, bo pan Jerzy ich do siebie nie wpuszcza. Zasiłek ma, ale pieniądze trafiają na konto. Kontem zarządza bratanek, który nie odbiera telefonu. Mówią: „Najtrudniejszy przypadek w całej gminie". – Wy też łatwym nie jesteście. – Koleżanka Anieli pokazuje jej gazetę. – Pisz.

– List pani Anieli nami wstrząsnął. – Roman Kościelniak mieszka w Krokowej od 1985 roku, w pierwszej dekadzie nowego wieku jest dziennikarzem puckiego oddziału „Dziennika Bałtyckiego". – Dopiero co pomogliśmy rodzinie ze Smolna, która też nie miała łatwo, ale warunki, w jakich żyli Sapałowie, przerosły wszystkie znane nam dotąd sytuacje. Zadzwoniłem do pana Władka.

Władysław Ornowski z żoną Marią od 1996 roku prowadzą Fundację „Pan Władek". Rocznie pokonują pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, rozdają żywność wartą półtora miliona złotych, organizują kolonie, festyny. Ze znajomymi zbudowali i wyposażyli kilka domów dla dużych rodzin. Na Pomorzu wiadomo, że jak jest ekstrajedzenie, to pan Władek rozda, zagospodaruje. Dzwonią małe firmy i duże. Przekazują kilkanaście kartonów czekolady albo trzy tiry świątecznych pierników. Gdy rozmawiamy, Ornowski dostaje telefon z informacją, że do wzięcia jest półtorej tony mrożonek. Działać muszą szybko – za trzy miesiące minie termin ważności.

Fundację założyli w latach dziewięćdziesiątych, ale zaczęło się wcześniej, w okresie gdańskiej „Solidarności".

– Ktoś musiał rozwozić internowanym dary spływające do kościoła Świętej Brygidy, padło na nas – mówi Ornowski, rocznik 1952. Okulary, niebieski polar, mocny zarost. – By móc dalej pomagać, potrzebna była

osobowość prawna. Inaczej nie moglibyśmy współpracować z domami opieki społecznej. Nasza siedziba to biuro w sypialni i bus, w którym teraz rozmawiamy. Żadnych etatów, tylko przyzwoite emerytury.

Większość życia spędzili w bloku na pięćdziesięciu metrach, z córką, zięciem i wnukami. Niedawno wrócili pod kociewskie Trąbki Wielkie: – W 1940 roku moja mama została wywieziona na przymusowe roboty do Trzeciej Rzeszy. Z Warszawy, prosto z ulicy. Po powrocie osiedliła się z ojcem niedaleko Trąbek. Była końcówka wojny, przez Pomorze przetaczali się czerwonoarmiści. Niemki żyły w ciągłym strachu. Mama mogła się odwrócić, miała powody, ale wolała pomóc. Wiele kobiet znalazło schronienie w jej domu. Raz było ich naraz dziesięć. Mam to po niej. Gen pomagania.

Pierwsza wizyta Ornowskiego u Sapałów, w roku 2006, nie zakończyła się dobrze.

– Witold nie wpuścił nas nawet za bramę. – Pan Władek zaczyna opowiadać, kiedy jedziemy busem do jednego z gdańskich sklepów. – Za drugim razem przywiozłem konserwy, kotlety, kosmetyki, ubrania, pościel. Też nie otworzył. Dary zostawiłem pod płotem. Za trzecim razem zabrałem ze sobą kierowniczkę gminnego ośrodka pomocy społecznej. A ta zagroziła Marceli i Witoldowi, że jeśli nas nie wpuszczą, wróci z policją. Weszliśmy wąskimi schodami na górę i szok. Na niespełna trzydziestu metrach szesnaście osób, łóżko przy łóżku. Dzieci głodne, stópki czarne. Przez kuchnię na węgiel dwoje się poparzyło. Kurtek się tam nie zdejmowało, szklanki do dłoni nie brało. Drastyczna sprawa.

Pan Władek pyta kierowniczkę GOPS-u, czy im nie wstyd. Dowiaduje się, że nie bardzo. Bo co mają zrobić?

– Dać asystenta rodziny – wskazuje Ornowski. – Niech ich nauczy jakoś sobie radzić.

Asystentka przyjeżdża i pokazuje dzieciom, jak myć zęby. Ale że wodę trzeba brać ze studni, warunki uznaje za zbyt trudne. Organizują busa i regularnie wożą wszystkich do siedziby Caritasu, gdzie jest łazienka. Długo to nie trwa.

– Nie przyjeżdżali, żeby nas kąpać, ludzie się śmiali. Przyjeżdżali, też się śmiali. – Aniela wytłumaczy dziennikarzom powody rezygnacji z tej formy pomocy. – To nie jest życie.

Anielę ze Stachem poznał Sapała. Szukał żony dla syna, bo im szybciej najstarsze pójdą na swoje, tym łatwiej będzie pozostałym. Ale Stasiek na swoje nie idzie, tylko bierze strych i wstawia cztery tapczany. Pod koniec jest ich tyle, że śpią w poprzek.

– Dzieci przybywało jedno za drugim. – Brat Stacha chwilę milczy. – Najpierw był Zenek. Do parki Arek, a że chcieli córkę, zaraz zjawiła się Wiolka. Czwarta Angelika. Piąty Maciuś. Potem Gabrysia i Ada. I Bruno. A może to był Roman? Nie wiem, mniej więcej wtedy zacząłem się gubić. O antykoncepcji się w domu nie mówiło. Ani w naszym, ani w innych. Jeśli się czegoś dowiedziałem, to od kolegów. Jak teraz sięgam do historii, to my też dzieciństwo spędziliśmy w jednym pokoju. My po jednej stronie łóżek, rodzice po drugiej. Bez światła, telewizji, radia. Za lampę służyła świeczka. Kiedy ojciec z matką w nocy, no, wiadomo co, trudno było nie podsłuchać. Coś tam potem z tego w życiu zostaje. Ja mam dziesięcioro. Łatwo nie było, ale teraz się cieszę. Jest dla kogo żyć, a do tego jeszcze pięćset plus. Pani nawet nie wie, jaki ja jestem bogaty.

Z początkiem 2006 roku Aniela i Stasiek mają już szesnaścioro. Większość z niepełnosprawnością intelektualną, najmłodsze wkrótce umrze. Oboje lubią zajrzeć do kieliszka, bywa, że Stacha poniesie. Pracę listonosza dawno by stracił, ale w firmie wiedzą, że albo Stach pracuje, albo dzieci zostaną już zupełnie bez jedzenia.

– Raz do mnie przyszli, gdy żona Stacha zaczęła rodzić – zrelacjonuje mi ich były sąsiad Tadeusz Kaleta. – Jedziemy do szpitala, patrzę, ona pijana. Poszedłem do opieki społecznej. Tak nie może być, mówię, zróbcie coś. A pani kierownik: „Oj, daj Boże, niech się dzieciaczki rodzą". Oniemiałem.

Ornowski Anielę i Stacha odwiedza regularnie. Ewy nigdy nie spotyka. A ona przygląda mu się z okna, patrzy, jak dzieci Anieli – gdy tylko słychać dźwięk „władkowego" silnika – wybiegają na podwórko, kotłują się wokół

busa. W jednym z kartonów dostrzegą wiązany baleron: „Mama, mama, to takie jak w sklepie na wystawie!”.

– Raz zabrałem ze sobą wnuczka – ciągnie pan Władek. – „Dziadek, ale ja nie chcę tu na kolonie”, powiedział, gdy wjechaliśmy za bramę. Przeraził się, taki burdel mieli na podwórku. Złom, stare maszyny rolnicze, obok klocek, ten nowy dom, w którym straszy. Skąd wiem? Sapałowie mi tak powiedzieli. Że boją się tam mieszkać, bo duchy są. To było, wie pani, przerażające. Może dlatego nikt tam nie zachodził?

To samo usłyszy od Stacha pracownica pomocy społecznej, która będzie potem zeznawać w śledztwie. Że tam się nie chodzi. I nie pójdzie do nowego domu, choć się do tego nikomu nie przyzna.

Gdy Marcela zaprasza w końcu Ornowskiego na herbatę, ten delikatnie odmawia, ale proponuje, że sytuację rodziny nagłośni. Potrzebujecie nowego domu, tłumaczy. Jest szansa, że wójt da kawałek ziemi. Marcela ulega, jej mąż Witold pierwszych zainteresowanych z TVP przegania widłami. W końcu zgadza się na kamery, ale się nie wypowiada. Mówić będzie Aniela.

W trakcie nagrania nie ukrywa, że w domu jest alkohol. Narzeka na teściową, która uczy jej dzieci pić. Ciągle słyszy na dole „jakichś chłopów”. Gdyby ją dopytać, pewnie by opowiedziała o niełatwym dzieciństwie i jeszcze trudniejszym dorastaniu.

Upijanie dzieci powinno gminą wstrząsnąć, ale reakcja jest powściągliwa. A właściwie nie ma żadnej. Pada za to pomysł, by podciągnąć do Sapałów rurę z wodą. Tylko że Witold nie chce wyrazić zgody. Osobiście jedzie go przekonywać pomorski wojewoda, a ten się upiera: „Przetrwałem Hitlera, przeżyłem Stalina, wytrzymam Unię Europejską”.

Jeden z synów Sapały: – Ojciec się bał, że nie będzie go stać na rachunki.

Sukces odnosi za to Fundacja „Pan Władek”, która dostaje od gminy w dzierżawę działkę. Dwa miesiące później gotowy jest już projekt nowego domu Sapałów. Ma być parter, pięć pokojów, dwie łazienki, duża kuchnia. Fundacja szacuje, że budowa pochłonie około czterysta tysięcy złotych.

Dodatkowo dostali teren ze słupem wysokiego napięcia, a firma energetyczna na swój koszt przesunąć go nie chce.

Ornowski pisze do prezydenta RP, premiera, pomorskich posłów, senatorów, samorządowców. Razem ponad siedemdziesiąt listów. Odpowiadają trzy osoby: Lech Kaczyński (przekazuje na pomoc Sapałom pięć tysięcy złotych, pióro z autografem na licytację i krótki liścik), wicemarszałek senatu Maciej Płażyński (obiecuje pomóc i na tym swój udział kończy) oraz wicewojewoda Piotr Karczewski (jedzie na miejsce z prezentami). Odpowie jeszcze nieżyjący już poseł z PO, ale pomyli nazwiska i nazwę miejscowości. – Nawet listu uważnie nie przeczytał – wyżali się dziennikarzom Ornowski. – Pozapominali już, jak się im pomagało za komuny. Dziwne też, że nie zaangażował się nikt z Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony. Ciągle mówią o wartościach rodzinnych, pomocy dla ubogich, a nic w tym kierunku nie robią.

Fundacja „Pan Władek" wysyła także listy do artystów. Wkrótce telefon:

– Pan Władek? To ja, Mikulski.

– Kto? – Ornowski zaskoczony.

– Stanisław Mikulski... No, Hans Kloss. Chciałbym im jakoś pomóc, co mam zrobić?

Kolejne dziennikarskie materiały sprawiają, że w lutym 2008 roku do Krokowej przylatują przedstawiciele szwedzkiej fundacji Malungs Hjälpen. A wraz z nimi prawie osiem ton darów dla rodzin wielodzietnych z powiatów puckiego i wejherowskiego. Wolontariuszka Marianne Nilsen rozmawia z Anielą, daje dzieciom prezenty, robi im zdjęcia. – Pokażę je znajomym – wyjaśnia. – Mam nadzieję, że uda się zebrać pieniądze na budowę domu. Podobne warunki widzieliśmy na Białorusi.

Nilsen wyjeżdża, pieniądze ze Szwecji nie nadchodzą. Wizja budowy domu coraz bardziej się oddala. W Krokowej zmienia się też wójt, a nowy ma inne priorytety. Pod koniec 2008 roku Ornowscy podejmują ostatnią próbę. Piszą do europarlamentarzystów:

„Mamy XXI wiek, żyjemy w środku Europy, w państwie, które należy do Unii Europejskiej, i szczycimy się tym, że szanujemy przyrodę, zakładając

liczne rezerwaty i parki narodowe, schroniska dla bezdomnych zwierząt. Pomagamy ludziom, którzy ucierpieli podczas klęsk żywiołowych w kraju i daleko poza jego granicami. Pomagamy często tym, którzy są daleko, a nie widzimy, że tuż obok nas żyją ludzie, którzy rozpaczliwie potrzebują pomocy, choć sami o nią nie proszą".

Angażuje się tylko europosłanka PiS-u Hanna Foltyn-Kubicka, przyjaciółka Kaczyńskich.

– Władek powiedział: przyjedź, pokażę ci, jak wygląda życie. Pojechałam i mnie zamurowało – opowiada. – Byłam tam jeszcze kilka razy, podopiecznych fundacji zabrałam do Brukseli, wydaje mi się, że była z nami jedna z córek Anieli. Chciałam nagłośnić ich sytuację. Władze samorządowe rozmawiać ze mną nie chciały, z tymi ludźmi chyba też nie. To, co tam wtedy zobaczyłam, zmieniło mnie. Zaczęłam być uważniejsza.

Aniela i Stach przeprowadzają się dopiero w październiku 2011 roku, w trakcie śledztwa dotyczącego Mariusza. Gmina wyremontuje stary policyjny budynek, Fundacja „Pan Władek" da meble i sprzęt AGD. Na pierwszy dzień w nowym domu urzędnicy zaproszą media.

– To wszystko dzieje się dzięki tym ludziom dobrej woli, którzy zauważyli potrzebę i przez ostatnie kilkanaście lat aktywnie się angażowali. – Patrycja Mielewczyk z Twojej Telewizji Morskiej streszcza widzom historię mieszkańców strychu. I dodaje pochwalnie: – Głównym motorem zmian był gminny ośrodek pomocy społecznej.

Prowadząca program pyta: – Na końcu twojego reportażu widzimy, jak ojciec rodziny mówi: „Jestem szczęśliwym człowiekiem i szczęśliwa jest moja rodzina". Czy warunki, w jakich żyli, miały wpływ na relacje w tej rodzinie?

– Absolutnie nie – odpowiada autorka. – Tam była miłość.

List

Gdańsk, pięć lat i cztery miesiące później

Zaczęło się od maila. Informator napisał: „W sądzie toczy się sprawa, o której musi Pani napisać. Inaczej nikt za to nie odpowie".

Jest luty 2017 roku, od dwunastu lat pracuję w „Gazecie Wyborczej". Od kilku – jako korespondentka sądowa – koncentruję się na różnych formach przemocy. Próbuję zrozumieć, co powoduje, że człowiek decyduje się na zło. Zastanawiam się, dlaczego ofiary latami tkwią w toksycznych relacjach. Zaczynam dostrzegać, co z ciałem i umysłem robi długotrwały stres, lęk. Badam błędy śledczych, przyglądam się przeszłości sprawców. Widzę, że miesiącami docieram do faktów, które rodzina, znajomi, sąsiedzi znają od lat.

Ewę nie jest łatwo znaleźć. Zwolniła się z pracy, trzykrotnie przeprowadziła. Tyle zajęło jej znalezienie miejsca, o którym nie dowiedział się Mariusz. Nie ma przyjaciół, o nowych się nie stara.

Z pukaniem do drzwi zwlekam godzinę, pierwszy raz nie mam pojęcia, jak zacząć.

– Nie chcę rozmawiać, nie mogę. – Ewa już łapie za klamkę, ale odwraca się i pyta: – Dlaczego pani chce o tym napisać?

– Bo nie potrafię pogodzić się z tym, że pani nie uwierzono – odpowiadam najłagodniejszym tonem, na jaki mnie stać.

Patrzy mi w oczy.

– Proszę zejść na dół i chwilę poczekać.

Po dziesięciu minutach siada obok mnie w samochodzie i tłumaczy, że chce tylko prawdy. Na te słowa zaczyna płakać. – Wtedy może przestanę się

tak bać.

Kolejne spotkanie przekłada z powodu choroby i nie odbiera telefonu. W trakcie trzeciej wizyty prosi, żebym przyjechała za tydzień, a potem nie otwiera mi drzwi. Przykładam ucho, słyszę, że jest po drugiej stronie. Mówię szeptem:

– Mam nie pisać? Czy pisać, ale nie chce już pani o tym rozmawiać?

W drzwiach zostawiam list, na koniec mówię, że przez godzinę będę czekać w aucie. A jeśli trzeba, zostanę dłużej. „Wystarczy SMS", dodaję. Przed odjazdem sprawdzam – list zniknął, znaczy, że przeczytała. W drodze powrotnej mam wątpliwości.

– Co jeszcze mogę zrobić? – dzwonię do reporterki Magdaleny Grzebałkowskiej.

– Wracaj i pisz drugi list. A jak będzie trzeba, to trzeci. Musisz to opisać.

Drugi kończę słowami: „Proszę mi wybaczyć moją determinację, ale nie chcę pisać bez Pani. Ten tekst musi powstać".

Po dwóch dniach oddzwania: – Boję się, że znów mi nie uwierzą.

Wcześniej, 8 września 2015 roku, Anna Szczepaniuk-Milewska, rezolutna blondynka w okularach, ubrana w czerwoną sukienkę i czarny żakiet, wsiada w szybki pociąg do Warszawy. Tego dnia, w trakcie krótkiej uroczystości prokurator generalny Andrzej Seremet wręcza dziewięciu osobom nominacje prokuratorskie. Uścisk dłoni, akt mianowania w niebieskiej teczce, dla kobiet czerwona róża. Pośpieszny poczęstunek, pamiątkowe zdjęcia. Na nowych stanowiskach trzy osoby z Pomorza, w tym dwie z prokuratury w Pucku. Jedną z nich jest Szczepaniuk-Milewska.

Na jednostce ciąży odium „sprawy puckiej", braki kadrowe wciąż łata się asesorami. Szczepaniuk-Milewska przez okres asesury dojeżdża z Trójmiasta. W lutym 2016 roku, pięć miesięcy po zakończeniu praktyki i zdjęciu z Seremetem, dostaje sprawę życia. Już w listopadzie opisuje ją w akcie oskarżenia.

Pamiętniki

Kiedy informator wysyła maila, Mariusz od roku jest w areszcie, a od trzech miesięcy toczy się jego proces. Kontaktuje się tylko z siostrą, która się nim opiekowała, gdy był dzieckiem. Nikt go nie odwiedza. Żali się w liście do rodziny: „Przez jej oszczerstwa ludzie wytykają mnie palcami. Wszystkich okłamała".

Na zaśnieżone podwórko Sapałów wjechali wczesnym rankiem w niedzielę 21 lutego 2016 roku. Marian, zaspany i w pośpiechu naciągający na siebie kapotę, wyjaśnił policjantom, że brat spał tej nocy u konkubiny. Jadą więc do sąsiedniej wsi i wyciągają go z jej łóżka o godzinie szóstej pięć. Piętnaście minut później są w budynku puckiej komendy.

Mariusz: – Niech ona dupę zamknie, już raz chciała mnie wrobić. Gorzej niż człowiek byłby mordercą.

Tym razem trudno mu zapanować nad emocjami. Dłonie dygoczą, nie jest w stanie podpisać się pod protokołem przesłuchania. Wieść się roznosi, jego siostra dzwoni do Ewy. A ta w pierwszej chwili czuje prawie żal – jakąś pełną poczucia winy ulgę.

*

Trzy miesiące wcześniej nauczycielka wzywa ją do szkoły. Znowu są problemy z Alicją, dziecko nie radzi sobie z nauką i rówieśnikami, na sprzeciw reaguje agresją.

– Może potrzebujecie pomocy? – pyta kobieta. – W domu wszystko dobrze?

Ewa odpowiada płaczem. Otwiera się:

– Próbuję o przeszłości zapomnieć, ale dzieciom zapomnieć łatwo nie jest.

To był krótki niby spokój. Dziewczynki poszły do szkoły, Ewa próbowała podjąć pracę. Może zawsze ciut się odróżniała, ale wcześniej z łatwością zapamiętywała, co kto lubi, wiedziała, jak rozpocząć rozmowę. Była radosna, teraz zobaczyła, że już tego nie potrafi. W dodatku sklep, w którym chciała sprzedawać, ma piwnicę. Po towar trzeba zejść. A ona nie może pokonać nawet schodka.

Wiktoria zdaje się, że chce w domu o czymś na głos powiedzieć. Jednak gdy tylko rozpoczyna, Alicja zakrywa jej dłonią usta. Babka Ewy zajrzy któregoś dnia do ich pokoju. Zobaczy, że dziewczynka idzie w zabawie dalej – tym razem ust siostrze nie zakrywa, ale zakleja je taśmą. Babka pyta, co to za zabawa. Alicja ostrzega siostrę, że ma nie odpowiadać. Bo nie wolno.

Widać, że dziecko się męczy. Jeśli mówi, to szybko, czasami trudno za nią nadążyć, jakby chciała siebie zagłuszyć. Słabo rośnie, młodsze dzieci są od niej wyższe. Czuje się odpowiedzialna za innych, pilnuje, by w klasie wszyscy wywiązywali się z obowiązków. Zwraca uwagę nawet nauczycielom. Sprawiała wrażenie, powie mi potem jeden z nich, jakby była małą dorosłą osobą.

Coraz bardziej też dokucza Wiktorii. Ale pytana, nie potrafi wytłumaczyć przyczyny. Dopiero na terapii dowie się: często jest tak, że nie lubimy tych, których skrzywdziliśmy.

Nie da się wiecznie zakrywać ust, kiedy myśli kotłują, wspomnienia wracają. Alicja zaczyna codziennie chodzić do kościoła, a przed snem modli się przy łóżku.

Babka się niepokoi, dopytuje Ewę, chce wiedzieć, czy coś się wydarzyło. A jeśli tak, to co. Ale Ewa nie chce rozmawiać. Wysyła za to babce list. Ta jednak myśli, że to żarty. Nigdy wcześniej listu od wnuczki nie otrzymała. Dlatego nawet nie otwiera i wyrzuca do kosza, a Ewa odtąd sądzi, że babka jednak nie chce znać szczegółów. Wracają halucynacje, momentami się jej wydaje, że wręcz z niej drwi.

– Wstyd było po niej widać – opowie potem babka. – W końcu wydukała: „ja tam związana byłam…”. Boże jedyny, ja nie wiedziałam, że moją dziecinkę, moją wnusię…

Dziewczynki, bawiąc się, coraz częściej wspominają między sobą przeszłość. Babka prosi Ewę o zdjęcie ich ojca i pokazuje prawnuczkom. Wiktoria mówi, że to jest ich tata, ten, który krzywdę im robił. Alicja się śmieje.

– Trzeba coś z tym zrobić. – Prababka dziewczynek zwraca się do Ewy. – Nie może tak być, że on chodzi na wolności.

Jakoś po tym, gdy Ewa zostaje wezwana do szkoły, jej babka wygrzebuje w domu stare zeszyty i daje dziewczynkom.

– Za każdym razem, gdy chcecie coś powiedzieć, piszcie – instruuje je. – Macie zapisać wszystko, co wam się w życiu zadziało.

Już rzadko wychodzi z domu, ale dwadzieścia pięć dni przed zatrzymaniem Mariusza wsunie buty na swoje zmęczone, opuchnięte nogi i zaniesie pamiętniki dziewczynek do szkoły.

*

W grudniu 2015 roku, niecałe trzy miesiące przed zatrzymaniem Mariusza, ktoś dzwoni do Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt Animals. Radzi, by inspektorzy pojechali do Sapałów i rozejrzeli się po obejściu. Jadą we dwójkę i zastają psa przywiązanego do budy krótkim, zapętlonym wokół szyi sznurem, który – by zwierzę uwolnić – trzeba przeciąć. Buda stoi za domem, żeby zwierzę nie rzucało się w oczy.

Ciałem psa wstrząsają konwulsje, na łopatkach widać odleżyny. Sierść oblepiona błotem. W misce – obierki jabłek. Wody nie dostał. Mariusz zapewnia, że rano pies był zdrowy.

– Ktoś musiał go otruć – mówi, stojąc nad zwierzęciem w drgawkach. – Kolejnego psa mi załatwili.

Nikt tych faktów nie połączy, ale istnieje silny związek między stosowaniem przemocy wobec zwierząt a tendencją do stosowania jej wobec ludzi. Zjawisko jako jeden z pierwszych, w 1980 roku, zbadał James S. Hutton.

Brytyjczyk przyjrzał się dwudziestu trzem rodzinom, w których doszło do interwencji z powodu krzywdzenia psa lub kota. Okazało się, że większość sprawców jest pod obserwacją instytucji socjalnych, a ponad połowa podlega kuratorowi sądowemu. W ośmiu domach dzieciom groziła przemoc. Od tego momentu zaczyna się uznawać, że znęcanie się nad zwierzęciem może być prognostykiem dla wczesnej identyfikacji przemocy w rodzinie.

Trzy lata później trzyosobowy zespół badaczy sprawdza amerykańskie placówki pomocy rodzinom przemocowym. Wskaźnik stosowania w nich kar cielesnych zarówno wobec dzieci, jak i zwierząt (najczęściej psów i kotów, czasem ptaków) wynosi 88 procent. Z kolei w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych czołowy amerykański badacz zjawiska, Frank R. Ascione, przygląda się schronisku dla ofiar przemocy domowej w Utah. Większość kobiet, z którymi Ascione rozmawia, miała przed ucieczką z domu zwierzę. Prawie każda przyznała, że one także doświadczały przemocy ze strony ich partnerów. Część potwierdziła, że obawa o los pozostawionego zwierzaka popchnęła je do powrotu lub opóźniała odejście. Według Ascione'a celem sprawcy było nie tylko sprawienie bólu zwierzęciu, ale też zastraszenie członków rodziny. Podobne badania kontynuowano w późniejszych latach w USA, Kanadzie i Australii.

W Polsce problemowi przyjrzała się doktor Joanna Narodowska z Katedry Kryminologii i Polityki Kryminalnej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Analiza objęła pięćdziesiąt dziewięć zakończonych spraw karnych podlegających ustawie o ochronie zwierząt. Wyniki zostały opublikowane w 2018 roku i pokazały, że ponad połowa sprawców była karana także za znęcanie się nad ludźmi lub ich pobicie. Wielu z nich wykorzystuje zwierzęta jako tak zwany obiekt zastępczy lub narzędzie dręczenia kobiety albo dziecka. Przykład jednej ze spraw, gdzie mąż – po

odmowie seksu – poczuł się odrzucony: niepokój odreagował na kocie żony, rzucając nim o podłogę i skręcając mu kark. Inny sprawca znęcał się nad psem po tym, gdy żona go opuściła – kopał, zamykał, wyrywał mu obcęgami pazury.

W październiku 2017 roku żona Waldemara Bonkowskiego, ówczesnego senatora PiS-u z Kaszub, opowiedziała „Gazecie Wyborczej" o przemocy, wmawianiu choroby psychicznej, poniżaniu i zdradach, których dopuszczał się jej mąż. Okazało się, że wcześniej sytuacją w domu Bonkowskich zajmowała się prokuratura w Kościerzynie, ale sprawę umorzyła, bo – jej zdaniem – wniosek o ściganie złożyły niewłaściwe osoby. Interesu społecznego w wyjaśnieniu sytuacji śledczy nie dostrzegli.

Bonkowski wszystkiemu zaprzeczył. Niecałe cztery lata po publikacji został oskarżony o znęcanie się nad zwierzęciem ze szczególnym okrucieństwem. Przypadkowy kierowca nagrał, jak były już wtedy polityk PiS-u przywiązał psa do haka i wlókł za samochodem. Gdy auto się zatrzymało, Bonkowski pochylił się nad zwierzęciem. Pies miał wywalony język, wybałuszone oczy, nie ruszał się.

– Wyglądał na martwego – zrelacjonuje mediom Ewa Gebert z Towarzystwa Animals po rozmowie z kierowcą.

Bonkowski będzie przekonywał, że zwierzę żyje, a on chciał tylko „doprowadzić psa do domu". A tak w ogóle to „bardzo kocha zwierzęta". Na dowód pokazuje policji zdrowego psa. Wkrótce okazuje się, że to inne zwierzę. W trakcie przeszukiwania posesji policjanci odnajdują świeżo zakopane truchło.

Joanna Narodowska pisze na łamach „Archiwum Kryminologii": „Przemoc wobec zwierząt stanowi swoistą ścieżkę do przemocy wobec ludzi. Ta forma przemocy jest nie tylko oznaką deficytów osobowościowych, lecz również symptomem głębszych zaburzeń rodziny, w szczególności o charakterze przemocowym. Stosunek jednostek do zwierząt jest bowiem odbiciem stosunku do ludzi. Każdy, kto traktuje życie jakiejkolwiek żywej istoty jako bezwartościowe, jest zagrożony przyswojeniem idei, iż życie człowieka jest również bezwartościowe.

W literaturze amerykańskiej wskazuje się, iż przemoc wobec zwierząt może być wstępem do najpoważniejszych przestępstw z użyciem przemocy, np. zgwałceń, czynów o charakterze pedofilskim, spowodowania uszczerbku na zdrowiu, zabójstw".

Badacze zgodnie uważają, że agresja w stosunku do zwierzęcia to wypadkowa cech sprawcy i okoliczności zdarzenia. Jej źródeł należy szukać w dzieciństwie, choć objawy uwidaczniają się niekiedy dopiero w dorosłości.

*

Prababka dziewczynek wchodzi do szkoły i pyta, którędy do psychologa.

– Ale po co do psychologa? – Kobieta w dyżurce jest zaskoczona.

– Niech powie, co to znaczy. – Prababka unosi szczupłą dłoń z zeszytem.

Jeszcze tego dnia psycholożka spotyka się z dziewczynkami. Pyta, czy chcą opowiedzieć, co napisały w zeszycie. Najpierw nie chcą, są zaniepokojone, że tak po prostu można wejść do szkoły. Upewniają się, czy tata też może. Nie może, więc Alicja porozmawia. Bo wtedy jest szansa, że tata zostanie ukarany. Tata powiedział, że kogoś zabije, jeśli cokolwiek powie, ale teraz już się go nie boi, bo jej nie znajdzie.

– Nie znajdzie, prawda?

Gdy wypowiada te słowa, mija pięć lat, odkąd widziała go po raz ostatni. Pada na kolana i odtwarza sceny, których była świadkiem. Ewa zapyta ją potem, dlaczego słuchała ojca. Odpowie zdziwiona:

– Bo kazał. Mogłam odmówić?

Szkoła dzwoni do kuratorki, która zajmuje się rodziną Ewy od czasu historii z pucką opieką. Kuratorka, zanim powiadomi policję, idzie do podopiecznej. Ewa w trakcie rozmowy cała drży, z trudem się wysławia, wybucha płaczem. Jest w stanie tylko przekazać, że w tej sprawie było prowadzone śledztwo, ale zostało umorzone. I że nic już się nie da z tym zrobić.

– To musiało się wydarzyć – powie później kuratorka. – Nie sposób udawać tak ogromnej traumy.

Trzy dni później Ewa po raz trzeci wchodzi do policyjnego komisariatu. W połowie blisko trzygodzinnego przesłuchania, gdy ma powiedzieć, co się działo w piwnicy, zaczyna się dusić.

Ewa

Zamknij oczy, zamykam oczy. Przypomnij sobie ten pierwszy raz. Przypominam sobie ten pierwszy raz. Widzę jego wzrok, słyszę swój jęk, czuję uderzenie. Ślady? Nie ma śladów. A jeśli będą? Powiem, że uderzyłam się o szafę. Albo usłyszę, że muszę nieść swój krzyż. Nasz krzyż. Mój i mojej matki.

A więc już jest. Przyszła na świat, miłość, podziw, uwielbienie. Dziewięć miesięcy po ślubie i sześć po mojej pierwszej kapitulacji. Wracają do mnie te wrzaski, kiedy zasypiam. Nie idź tam, po co tam idziesz, gdzie obiad. Nie idę, zostaję, gotuję.

Była taka malutka, doskonała. Dziesięć paluszków u rączek, dziesięć u stópek, bujna czarna czupryna. Nie wiedział, że to włosy płodowe, tymczasowe. Pomyślał, że dziecko nie jest jego. Precz szmato, precz dziwko! A gdy przyszła trzeźwość: przepraszam, proszę. On już taki jest. Oni już tacy są.

Cieszyłam się i liczyłam, że dziecko wszystko zmieni. Bo dziecko zmienić wszystko powinno. Kiedy zdarza mi się oglądać zdjęcia z tamtych lat, widzę młodą dziewczynę o lekkim uśmiechu, delikatnych lokach, ufnym, lecz nieco smutnym spojrzeniu. Dziewczynę, która rozumie, że swoje trzeba będzie wytrzymać, ale która nie wie, że nie wszystko wytrzymywać trzeba.

Liczyłam, że dziecko coś zmieni, ale nie zmieniało nic. Tylko trzeźwości było coraz mniej, a zazdrości coraz więcej. Przypominała mi się w tych chwilach twarz ojca. Wykrzywiona, zalana złością. Płacz matki. Mój płacz, siostry. Może on już taki jest. Może oni już tacy są.

Pamiętam, gdy pierwszy raz uderzył mnie przy Ali. Przypomniałam sobie siebie, kiedy ojciec pierwszy raz podniósł rękę na matkę. Pakuję się i jadę do rodziców. On nie chce oddać dziecka. Ty idź, mówi, Alicja zostaje ze mną. Pakować kończę się przy asyście dwóch policjantów. Radzą, byśmy „jakoś się dogadali". Odjeżdżam, Niebieskiej Karty mu nie zakładają. Mariusz codziennie dzwoni, przeprasza, błaga. Zmienię się, obiecuje, tylko wróć. Mieszkanie rodziców to nadal te same dwa nieduże pokoje z kuchnią, dzieci i własne problemy. Wracam. Nikt mnie nie zatrzymuje.

Zaczynałam nienawidzić tego miejsca, ale lubiłam włożyć Alę do wózka i pójść do pobliskiego lasu. Lekko idę, grunt jest twardy, pokryty tu i ówdzie piaszczystymi wzgórkami, wokoło rzepak. Snuję się, upajam ciszą i rzadko kogo spotykam. Jakby nikt nie ruszał się poza swoje ogrodzenie, względnie na grzyby, do sklepu, kościoła lub urzędu. Już wtedy powinnam była uciec, ale teraz to bez znaczenia, a więc idę, zanurzam się w cieple, śnię lepszą przyszłość. Gaśnie złość, gaśnie moja rezygnacja. Zanim dojdę do wielowiekowych sosen, pokonam nieduży zagajnik. Jeszcze nie wiem, że przyjdzie czas, kiedy spędzę tam noc.

Wynocha, powiedział, i tak nikt ci nie pomoże. Układam się na liściach, czekam na świt. Już nie potrafię się przeciwstawić.

Wiosną 2007 roku, kiedy zachodzę w drugą ciążę, tracę dostęp do telefonu, a rodzina musi się zapowiadać. Jeśli ktoś przyjedzie z zaskoczenia, usłyszy, że poszłam do sklepu. Nie jest zadowolony z odwiedzin. Posyła wściekłe spojrzenia, co chwilę wychodzi na papierosa. Coraz rzadziej pada słowo „przepraszam". Mój ojciec odwiedzi nas raz. Jeszcze do tego wrócę.

Do sklepu jeździ teść, Witold Sapała. Pyta, czego potrzeba, i wsiada w gumiakach na swój mocno pokiereszowany rower. Ten, na którym pięć lat później zginie potrącony przez samochód. Na kierownicy zawiesza plecioną siatkę, do kieszeni chowa listę zakupów. Czy wiedział? Czy rozumiał?

Dwa razy, może trzy, pójdę do Marceli. Podniosę spódnicę, pokażę stłuczone udo. Przejdzie, powie, zawsze przechodzi. A potem teściowa

zejdzie do piwnicy, zostawi tarkę oraz suchy chleb i karze mi trzeć. Zadrwi: „Inaczej nie dostaniesz nic do jedzenia". Nigdy nie byłam swoja.

Swoja to ta, która siada do stołu, wódka łatwo spływa jej gardłem, twarz robi się nieostra, mięśnie wiotczeją. Marcela nie lubi upijać się w samotności, dlatego dzieci uczy pić wcześnie. Wlewa wino do szklanki i pij, mówi, pij, synu, do dna. A oni pili, bo tak powiedziała.

Swoja się poddaje, nie przypomina o życiu bez picia. Brzydnie, szarzeje, zamienia się w niewolnika, który nie ma pojęcia o swojej niewoli. Aniela ponoć też próbowała zostać sobą, przy sobie, aż któregoś dnia obudziła się i z wyrzutem sumienia wstała z łóżka.

Budziłam gniew. Budziłaś.

Wielkie, ciemne, nieprzytomne oczy. Bez obrzydzenia i współczucia. Gryzło Sapałów sumienie? Chyba jednak nie.

W drugiej ciąży bije już tak, że przez kilka dni nie mogę siadać na krześle. Albo celuje w brzuch. Wtedy staram się zasłonić brzuch rękami. A on krzyczy: „Nie mówiłem, że nie chcę więcej dzieci?! A czy ono w ogóle jest moje?!".

Gdy Wiktoria kończy dwanaście miesięcy, on zabrania mi jeść. Wcześniej, co dopiero po czasie skojarzę, buduje schody prowadzące z wnętrza domu do piwnicy. Dzięki temu, uzasadnia, zimą będzie wygodniej zejść po drewno na opał. Nawet kapci nie będzie trzeba zdejmować.

Odtąd robię obiad, podaję dzieciom, mężowi i wychodzę do drugiego pokoju. Ja, twierdzi, jeść nie muszę, chociaż jasne, że muszę, więc podjadam zawsze wtedy, gdy on pójdzie do Marceli, a mi każe zaopiekować się dziećmi. Jeżeli nie sposób coś podebrać, wypijam wiadro wody. Pij, to przeżyjesz, powtarzam sobie. Nie wiem, że to początek mojej totalnej bezradności. Kolejny etap, jak wytłumaczy mi później psycholog, prania mózgu. Wyprać mózg, odwrócić uwagę.

Z jedzenia rozlicza mnie bez przerwy, ciągle to jedzenie liczy. „Ale dlaczego właściwie mam nie jeść?" – pytam w końcu, a on zrywa się, chwyta mnie za włosy i rzuca na podłogę. Co było dalej, możesz sobie tylko

wyobrażać. Przytomność odzyskałam w ciemnej, zamkniętej na kłódkę piwnicy. Wołam, kopię w drzwi, zawiasy zgrzytają. Mariusz: „To jest teraz twój pokój. Masz to, na co zasłużyłaś!".

Pierwsze noce przesypiam na stole, przykryta starymi kurtkami. Nie sposób się wyprostować, stół się chybocze, zamiast spać, staram się nie spaść. Układam więc okrycia na ziemi, na zimnym piwnicznym betonie, do tego kartony i stare szmaty. Załatwiam się do wiadra. Albo w kącie. Zimowych butów już nie zdejmuję.

Pomieszczenie nie ma okien, jedynie mały lufcik pod sufitem, przez który próbuję się wydostać. Wybijam deską szybę, podstawiam stół, ważę wtedy niewiele ponad czterdzieści kilogramów, przecisnę się, myślę, a potem przeskoczę przez ogrodzenie z siatki. Nic trudnego, każdy kiedyś przeskakiwał. Wybiegnę na ścieżkę i po chwili znajdę się na głównej drodze. Pomacham, zacznę krzyczeć, ktoś się na pewno zatrzyma. Na pewno.

Zamiast tego cofam się, osuwam w dół, tyłek uderza o twardą powierzchnię. Nie mam dokąd uciec.

Mariusz, gdy zobaczy rozbite okno, wróci ze sznurkiem i pewnie, ze spokojem, owinie go wokół moich nadgarstków. Odtąd będzie mnie rozwiązywał, jeśli będzie chciał, żebym ugotowała obiad, posprzątała, pojechała do urzędu pracy lub z dziećmi na szczepienia. Wcześniej mnie umyje, da czyste ubrania, do pilnowania w czasie drogi samochodem wyznaczy brata, Mariana. Nie zawsze będę o nim myśleć tylko źle. Potrafił pomóc, wodę przyniósł, z dziećmi został. Za kierownicą bratanek teścia, pracujący, odcinający się, może wstydzący się rodziny? Będą noce, że związana zasnę.

Lufcik zabił deskami. W piwnicy panuje półmrok lub zupełna ciemność. Ciemność jest najgorsza, bo to znak, że zaraz przyjdzie. Przyniesie metalową miskę z chlebem nasączonym wodą, będzie patrzeć, jak jem, a potem, gdy tak klęczę na kolanach pośrodku tej mrocznej piwnicy…

Po latach dowiem się, a właściwie zrozumiem z rozmowy córek, że do miski dodawał spermę. Tę białą flegmę, śmierdzącą jak chlor wydzielinę,

której musiał pozbywać się nader często. Wtedy poderwę się od stołu, wpadnę do łazienki, głowę wcisnę w sedes. Wyrzygam wszystko, co tylko się da: złe decyzje, pokoleniowy bagaż, powracające obrazy i wielkie poczucie winy. Aż w końcu nie będę miała już czym wymiotować i zwinięta w pół zwrócę białą pianę z żółcią.

Latem 2009 roku dorabiam na plantacji borówek. Mariusz pozwala pracować, jest przecież alkoholowym niewolnikiem, potrzebuje pieniędzy na wódkę i piwo. Do pracy jeżdżę na rowerze. Jeśli coś tam zjem, zaraz to zwracam. Bywa, że jestem tak słaba, że rower prowadzę lub wpadam do rowu zmieciona z jezdni podmuchem autobusu. Innym razem przewracam się na prostej drodze. Nikomu nic nie mówię, z nikim się nie spoufalam. Na plantacji kilka razy zagaja mnie pewna kobieta. Ciemne, długie włosy, stara twarz nieadekwatna do wieku. Mówi: „Mój syn jest w domu, z biologicznym ojcem". I mówi to tak, jakby to był nasz wspólny dom. Fakty połączę później.

Kolejnego roku, w czerwcu 2010, pracuję w sklepie spożywczym. Kilka wsi dalej, blisko do morza, zatrzęsienie turystów. Spóźniam się do domu kilka minut, a ten już dzwoni, niecierpliwi się, dopytuje. Głupi był taki, zazdrosny, po kilku tygodniach zaczął mnie podejrzewać o zdrady. Że niby zamiast do pracy, jadę na randkę. Byłam już tak zmęczona, że nawet się nie broniłam. Dawno też zauważyłam, że jeśli nie stawiam oporu, okłada krócej.

Kiedy mnie nie było, dziećmi opiekował się on, choć nie wiadomo, czy można to nazwać opieką. Pomagały też dzieci Stacha. Ale że Stach za swoim bratem Mariuszem nie przepada, musiałam za tę opiekę płacić. Wracałam, sprzątałam, myłam dziewczynki, dawałam im jeść. I schodziłam do piwnicy. Gdy musiał wyjść, zamykał dom na klucz.

Raz pojedziemy na pogrzeb. Kochałam wujka Franka mocno, równie mocno płakałam nad jego grobem. Przez całą stypę nie tknę mięsa, w ogóle niewiele zjem. Nikt nie zwróci na to uwagi. A on przy stole: Ewunia to, Ewunia tamto. A żeby za długo nam się nie przyglądali: „Musimy jechać, dziewczynki będą płakać".

Zdążyliśmy przekroczyć próg, dał mi stare, brudne ciuchy i zaprowadził na dół. Tej nocy prosiłam wujka, by mnie do siebie zabrał. Nie posłuchał, ale mi się przyśnił. Powiedział, że odszedł, bo był chory, a ja jestem zdrowa, dlatego przetrwam. Musisz to przetrwać, powiedział, masz dla kogo.

Mój ojciec odwiedził nas raz. Kolacja, kieliszek zmrożonej wódki, pan domu zadowolony, że gości teścia. Teść zadowolony, że jest goszczony przez zięcia. Gdy ojciec zasypia, mocno już zmęczony, ten pan, bo tak teraz mówię o byłym mężu, znów prowadzi mnie do piwnicy, a rano, nim ojciec się budzi, wypuszcza. Obmywam twarz i zabieram się za przygotowanie śniadania. Jestem pewna, że wszyscy są w zmowie.

Leżąc w mroku, najczęściej pytam Matkę Boską, dlaczego ja, dlaczego tak. A jeżeli nie zadaję pytań lub nie skręcam papierosów, o których skręcenie Marcela prosiła syna, rozmawiam ze szczurem, któremu daję na imię Fo. Najpierw boję się, że mnie pogryzie albo zarazi jakąś chorobą, ale wkrótce cieszę się, że zjada myszy. I jego pytam: „Dlaczego tu jestem?". Ale i on nie odpowiada. Tylko patrzy z ciemności, otuchy dodaje, mój przyjaciel Fo.

Blednę i słabnę, moje ciało zaczyna przypominać pomarszczony balon. Pod koniec ważę trzydzieści dziewięć kilogramów.

Do Matki Boskiej mam więcej pytań. Dlaczego nikt niczego nie widzi? Ani nie słyszy? Przecież nawet ja słyszę, skulona, przykryta kurzem zapomnienia, że Wiktoria płacze, mamę woła. Wkrótce przestaje, a gdy pójdę na górę, wokół ust dziecka zauważę czarne ślady. Długo zmywam je namydloną obficie gąbką.

Kiedy nikt nie patrzy, nie słyszy, to jakbyś nie istniała.

Pamiętam kontur cienia jej drobnego ciałka. Nie powinno jej tu być, to nie jest miejsce dla dziecka, pomyślałam, ale on chce, by dzieckiem być przestała. Daje Ali kawałek drewna, każe uderzyć. Były chwile, że bałam się jej bardziej niż jego. On wtedy rechotał. Cieszył się, że dziecko bije matkę.

A potem nadeszło najgorsze, lato 2010. Słyszę grube głosy mężczyzn drepczących nerwowo za drzwiami, za którymi wisi kotara. Spocone,

dyszące wódką tłuste wieprze płacące za mnie dwadzieścia złotych od łebka. Nie jestem pewna, kim byli, ale pamiętam ich głosy. I zapach.

Grzechy

Bordowa okładka, lekko sfatygowana, z napisem SCHOOL & ACADEMIC. Szesnaście stron, litery duże, okrągłe, niezbyt równe. W środku dziecięcy rysunek domu.

Dziewczynki piszą przez około dwa miesiące. W tym czasie przynajmniej raz przepisują całość na czysto. Alicja, lat dziewięć, mówi matce:

– Grzechy mam ciężkie, pójdę do więzienia.

Ewa: – Pisała i płakała.

Fragment:

Mam na imię Alicja, Mariusz Sapała to jest mój tata. Tata Mariusz robił mi krzywdę. Po wszystkim źle się czułom. A Wiktorii kleił buzię i wiązał nogi, żeby nie przeszkadzała. Ja tacie pomagałam. Wiktoria krzyczała za mamą. Dawałam siostrze okruchy z talerza. [...]

Ten zły tata Mariusz zamykał mamę w piwnicy. Zaprowadzałam mamę z tatą. Mama tam piła i jadła jak pies. Kupę i siku robiła gdzie popadnie, a ja uderzałam mamę pałką w głowę, tak jak tata kazał. My z tatą Mariuszem chcieliśmy zabić mamę, żeby była nowa mama.

Jak ktoś przyjeżdżał to wypuszczaliśmy mamę na ten czas, a gdy goscie poszli to zamykaliśmy mamę z powrotem. Tata mamie zakładał worek na głowę. Do piwnicy wchodzili panowie i robili mamie złe rzeczy.

Tata za to broł pieniondze, a potem kupował wótkę i piwo. I ja piłam wótkę i piwo, tata mnie tym częstował. ja zawsze siedziałam u taty na opa. My z tatą Mariuszem chcieliśmy zabić mamę, żeby była nowa mama. Wcześniej otym nie mówiłam i zabraniałam mówić Wiktorii, bo nie chciałam aby prawda wyszła na jaw o złym tacie Mariuszu.

Jestem Wiktoria, ten tata Mariusz robił mi dużo krzywdy, on mnie kleił Buzię, więzał ręce do tyłu i nogi. Jedzenie okruchy od siostry Alicji dawał ten zły tata. Ja nigdy niemogłam mówić prawdy, bo Alicja zabraniała, straszyła, bo coś ci zrobię. Śmiała się ze mnie, kiedy byłam związana, że leżałam zesikana i z kupą. Mama była zamknięta w piwnicy i jadła jak pies. Bałam się wtedy mówić i teraz też się boję. Ja byłam mała.

Drugi zeszyt będzie niebieski. Otworzą go słowa: *Jestem złą dziewczyną, robiłam złe, brzydkie rzeczy.*

Trzeba to wyprzeć

W lutym 2016 roku, kiedy po raz trzeci prokuratura zajmuje się sprawą, jasne się staje, że niemożliwością jest tak konsekwentnie udawać traumę. Od ponad pięciu lat Ewa relacjonuje to, co się wydarzyło, w ten sam sposób. Widoczne są oznaki stresu pourazowego, typowe dla osób, które przeszły głęboko ukrywany dramat: przeżywała silny strach, męczyły ją koszmary i natrętne wspomnienia, następnie unikała choćby myśli o nich. Kolejną grupą objawów są wybuchy strachu lub agresji.

Objawy stanowiące skutek przeżytych doświadczeń u Ewy po raz pierwszy otrzymują status dowodu. Pucka policja ponownie słucha wszystkich świadków. Pierwszy raz do tej roli wyznacza kobietę.

Po zatrzymaniu Mariusza prokuratura wnioskuje o areszt. Dzień później o jego losie decyduje wejherowski sąd.

– Miałem wtedy dyżur, akta sprawy, wraz z pamiętnikami dziewczynek, przywieziono mi do domu – mówi urodzony w Pucku sędzia Andrzej Gabriel-Węglowski, który przeszedł już w stan spoczynku. – Z materiałem zapoznawałem się do późnej nocy, ledwo zasnąłem. Przez ponad czterdzieści lat pracy spotkałem się z wieloma sytuacjami, znam specyfikę wsi, ale metody Mariusza S. mną wstrząsnęły. Dzieci nie są w stanie wykreować takiej historii, podać tylu wymyślonych szczegółów. Pamiętam, że zastanawiałem się, jak on wygląda. Wyobrażałem sobie wielkiego, umięśnionego, groźnie wyglądającego sprawcę, a zobaczyłem szczupłego, niskiego, łysiejącego mężczyznę ze spuszczoną głową. I zaraz zadałem sobie pytanie: Czy rodzina oraz mieszkańcy wsi wiedzieli?

– I jak pan myśli? – pytam.

– Kaszubska rodzina to często rodzina wielopokoleniowa, utrzymująca ze sobą ścisłe kontakty. Rozwój turystyki dużo zmienił, ale więzy typu klanowego sprawiły, że w wielu rejonach ludzie się pozamykali. Do tego każdy z danej rodziny zna kogoś z innej rodziny, wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Życie towarzyskie toczy się pod sklepem lub pod kościołem. Sprawy i problemy załatwia się w swoim gronie, w przekonaniu, że to, co na zewnątrz, w tym policja, wójt czy sołtys, jest zagrożeniem. To wciąż bardzo hermetyczne środowisko, a lojalnym wobec grupy jest ten, kto nie dopuści się zdrady. Zatem, jeśli się coś usłyszy, trzeba to wyprzeć.

– Wyprzeć?

– Żeby nie zostać wykluczonym. Sprawdzała pani, czy Mariusz S. ma w policji krewnego? Bo tu każdy gdzieś kogoś ma.

Sprawdziłam. Miał.

W lutym 2016 sędzia Gabriel-Węglowski orzeka trzymiesięczny areszt. Mariusz o areszcie powiadamia matkę. Dostaje obrońcę z urzędu, kobietę, która spróbuje o niego zawalczyć, przekonując, że jedyne, co pewne, to że córki Ewy były świadkami określonych zachowań wobec matki. Ale kto naprawdę był sprawcą? O tym przesądzać nie sposób. I co, jeśli pokrzywdzona kłamie albo ma urojenia, w które wierzy, i wmawia dzieciom określone skojarzenia z ojcem?

W dniu zatrzymania Mariusza policja jedzie na oględziny domu. Schodzą na dół, stają w wąskim korytarzu, zaglądają do piwnicy Mariana, gdzie ten trzyma stare krzesło, lodówkę, rower. Naprzeciwko tego pomieszczenia kolejne, Mariusza. Proste drzwi jak do stodoły, zamknięte na kłódkę. Przez szpary w drzwiach widać, że w środku jest kilka rowerów. Po drugiej stronie jeszcze jedno pomieszczenie wypełnione burakami. Na końcu korytarza drzwi zamknięte na kłódkę. Przez szczeliny można dostrzec ogólny bałagan i porąbane drewno. Obecna przy oględzinach Marcela Sapała mówi, że nie pomoże, bo nie ma kluczy. Piwnica należy do syna, Stanisława.

Gdy pojadę tam pierwszy raz, w maju 2017 roku, za domem, przy oknie, w którym Ewa wybiła szybę, znajdę wciąż niesprzątane drobinki szkła.

Warszawski prokurator Jarosław Polanowski, dziś w stanie spoczynku, przez lata zajmujący się sprawami o znęcanie: – Świadkami potwierdzającymi zeznania ofiary przemocy domowej nie muszą być naoczni świadkowie. W odtworzeniu wersji wydarzeń mogą pomóc osoby, które słyszały o zdarzeniach lub znają ich przebieg od pokrzywdzonej. Zadaniem śledczych jest ustalenie listy takich osób i ocena ich zeznań. Pierwszym źródłem powinna być pokrzywdzona – komu się zwierzała, kogo prosiła o pomoc.

Oprócz rodziny Ewa zrelacjonowała swoją historię pracownicom społecznym, kuratorkom rodzinnym, terapeucie, nauczycielce córek. A także pracownicy i właścicielce sklepu, w którym pracowała latem 2010 roku, sąsiadce, matce, bratu. Gdy brat Robert ją zapytał, dlaczego nic nie mówiła, odpowiedziała, że się bała, że sobie sama nie poradzi.

Krzysiek, partner Ewy: – Po ucieczce Mariusz powiedział jej, że nic na niego nie ma, niczego mu nie udowodni. I ona w to uwierzyła.

Czy mogli zareagować wcześniej? To pytanie będzie do Hirszów wracać. Przecież gdy odwiedzili ich pierwszy raz, a Barbara zapytała, czy może poznać jego mieszkającą po drugiej stronie podwórka rodzinę, Mariusz odmówił i pouczył teściową, że jeśli ma z tym problem, może już jechać. A kiedy wpadali bez zapowiedzi, to Ewy najczęściej nie było. Z kolei, kiedy leżała w szpitalu po urodzeniu Alicji, powiedziała matce, że Mariusz nadużywa alkoholu. I że jak sobie wypije, to ją kopie, bije po głowie. Ale dodała zaraz, że może się zmieni, może będzie dobrze. Liczyła, że jak wróci z dzieckiem do domu, wszystko się ułoży. Barbara odpowiedziała, że może rzeczywiście w końcu się wszystko ułoży.

Siedzimy z Ewą przy stole, od jakiegoś czasu spotykamy się u mnie, w Gdańsku. W każdym innym miejscu czuję, że nie mogę do niej dotrzeć. Jest spięta, może zdenerwowana. Tu rozmawiamy swobodnie, a każdy wywiad zaczynamy od zjedzenia śniadania.

– Pani z policji przyszła przesłuchać babcię – opowiada dalej. – Bo starsza mocno i żeby nie musiała iść na posterunek. Poprosiła, żebym się nie bała i wszystko spisała, uporządkowała myśli. Całą noc pisałam, tak się

bałam, że podczas przesłuchania o czymś zapomnę. Ja długo nie chciałam używać słowa „gwałt". Mówiłam: „robił swoje złe rzeczy".

Fragment:

On zawsze mi powtarzał, że i tak się z tamtąd nie wydostanę i mnie nikt nie kocha, nikt już nie szanuje i nikt do siebie nie weźmie [...] *Jak oni przynosili to jedzenie to wiązał mi ręce, a gdy zabierał miskę, to odwiązywał. Nie wiem dlaczego. Czasami wypuszczał mnie do mojego psa, do budy, aby dać mu wiadro z jedzeniem, a mój wierny przyjaciel pozwalał mi jeść razem ze sobą. Mój pies lepiej mnie traktował niż on* [...] *Podczas małżeństwa robił coś złego moim kolejnym pieskom. Najpierw była Negra, duża, czarna labradorka, potem dostałam małego kundelka, ostatni był Loczuś.*

Najpierw zginęła Negra, nie wiem z jakiej przyczyny, tłumaczył, że zdechła, a ja w to nie wierzę, bo to był zdrowy pies. Potem zginął kundelek Kubuś, niby wpadł pod auto. Potem, gdy już uciekłam, zadzwonił i powiedział, że zdechł Loczuś. To ten ostatni pies, z którym czasami jadłam z wiadra, bardzo żałuję, że go nie zabrałam, być może jeszcze by żył.

Nasze pierwsze spotkanie odbyło się wiosną 2017. W małej kawiarni przy gdyńskim dworcu. Lokal był pusty, zamówiła herbatę. Pod koniec rozmowy rzuciła: – Pamiętam, że Alicja, gdy już uciekłyśmy i byłyśmy u mojej mamy, zaczęła wołać do telewizora: „O, czarna mama, czarna mama!". Później dziewczynki do tego kilka razy wracały, mówiły: „My mamy braciszka, ty już nie jesteś nasza mama, mamy nową, czarną mamę". Mnie to dobijało, nie dawało spokoju. Ktoś przychodził, gdy on trzymał mnie w piwnicy? Wtedy sobie przypomniałam rozmowę z plantacji borówek. Kobietę z kruczoczarnymi włosami, która do mnie powiedziała: „Mój syn jest w domu, z biologicznym ojcem".

O tym, że Mariusz przyprowadzał do domu inną kobietę, dziewczynki opowiedziały kilku osobom. Miała tak samo na imię, a ojciec miał mówić, że już nie potrzebują swojej matki. Bo teraz mają inną i to będzie ta nowa pani o imieniu Ewa.

Pięćdziesięciodwuletnią wówczas kobietę odnajduję w jednej z kaszubskich wsi. Jest marzec 2018 roku, mieszka na gospodarstwie, gdzie

za pracę, oprócz wynagrodzenia, otrzymuje dach nad głową.

Rozmawiamy w ciasnym pomieszczeniu gospodarczym, w ogromnym garnku gotują się ziemniaki w mundurkach, strawa dla stu trzydziestu kur.

– Doję krowy, dwieście sztuk, od rana do nocy. – Spogląda w ogień i wyjmuje z kieszeni paczkę tanich papierosów. – Ale gdzieś robić trzeba. Pani w jakiej sprawie?

– Mariusza.

– Tam była masakra. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. – Kręci głową i pociąga za spust zapalniczki. – Ani wierzyć, że to zrobił. To ona dopiero po sześciu latach, jak ja z nim byłam, otworzyła oczy?

– To pani była z nim sześć lat?

– No od 2012 roku – zawiesza głos. – A nie, wychodzi cztery. Było tak, że przyszłam do pracy na czwartą, to już było, jak się od niego wyprowadziłam, i wtedy był telefon od szefowej, że go zabierają. Bo on tam do mnie potem przychodził. Od tego czasu nic, zero. Ani nie pisze, ani nic. I dobrze, bo moje dziecko też było bite, wystraszane, ja też bita byłam.

– Przykro mi.

– Chłopy biją. A bo obiad za późno, a bo pieniędzy za mało. A to nasza wina? Pani patrzy! – Wysuwa w moją stronę dłoń, ręce duże, palce grube. – Do dziś ręki nie mogę wyprostować. Mariusz drzwiami przytrzasnął. On ciągle krzyczał. Takiego życia ja nie chcę mieć.

– Gdzie się poznaliście?

– Na gospodarstwie w Karwieńskich Błotach, dwadzieścia lat tam mieszkałam. Ale nic wtedy nie było, tylko się znaliśmy, czasem przychodził, bo jego brat był kiedyś moim chłopakiem.

– Który brat?

– Rysiek, mamy syna, ale się wyparł. Potem przeniosłam się w inne miejsce, a gdy ona uciekła, Mariusz przyszedł i powiedział, że jest wolny. Ja wtedy miałam faceta, ale mnie bił, dziecko też, pomyślałam, że trzeba uciekać. Nie wiedziałam, dlaczego oni się rozwiedli. Powiedział tylko, że

już nie są razem. Z początku był spokojny jak mysz kościelna, robił, pracował. Aż pewnego dnia porządnie zapił, trzy dni go nie było. Wtedy się zaczęła agresja, przestał przychodzić do roboty i zmuszał mnie tak, jak mąż zmusza żonę. Jak miał wypite, taki był. Albo chciał, żeby Jarek, mój syn, położył się z nim do łóżka, bo on sam nie zaśnie. Najpierw rozrabiał, potem przychodził rano i przepraszał. Dbał tylko o matkę. Pilnował, żeby bracia, Rysiek, Marian i Stach, emerytury jej nie podkradali. Pani jego braci zapyta, oni najwięcej wiedzą. I kuzyn „Sikora". Ciągle tam siedział. Tylko oni wszyscy w tej rodzinie kłamią.

– Dziewczynki panią zapamiętały.

– Ja nie przychodziłam, mogą sobie to wybić z głowy. Zaczęłam, gdy już ich nie było. Ale pamiętam ją z borówek. Sucha była, skóra i kości, blada. Słoik herbaty i cztery kromki chleba posmarowane masłem, które wyrzucała. Gdy powiedziała, że jest od Sapałów, od Mariusza, od razu wiedziałam, że to jego żona. Ja po prawdzie mówię.

Jeden ze śledczych: – Alicję i Wiktorię zapamiętał też syn tej kobiety, więc Mariusz musiał ich tam przyprowadzać, kiedy więził żonę. Przygotowywał ją do nowej roli.

Kobieta zostanie przesłuchana. Przyzna, że Mariusz bił i zmuszał do seksu. Doda:

– Jak to w małżeństwie. Nie uważałam, że to wielka krzywda.

Najważniejsza jest prawda

W odróżnieniu od roku 2011 prokuratura angażuje więcej psychologów, robi wywiady środowiskowe, większość przesłuchań prowadzi ta sama policjantka. Ciągną się godzinami, czasem nie dają spać. Szybko powstaje spójny obraz. Sapałowie, jako najbliższa rodzina, zeznawać nie chcą albo o niczym nie wiedzą. Jedynie kuzynowi, częstemu gościowi Mariusza, który jest przekonany, że Sapała siedzi za niepłacenie alimentów, wymsknie się, że widział raz, jak pijany Mariusz bez powodu okładał Ewę. To był bodajże 2010 rok, zaraz poszedł z tym do Marceli. I dowiedział się, że Mariusz bije często.

Marcela będzie wobec syna lojalna, tylko bliskim przyzna, że piła nawet w ciąży, pił więc też Mariusz. Ale nigdy – ani jako dziecko, ani jako dorosły – nie stwarzał problemów. Jedyne zastrzeżenie, jakie matka ma do syna, to że sprowadzał kolegów. Bo później ginęły różne rzeczy. No i mógłby być lepszy dla Anieli. Marcela widziała kiedyś – opowie w towarzystwie kilku osób – jak się rzucił na żonę Stacha na podwórku.

Skąd wzięło się przekonanie, że Mariusz siedzi za alimenty, trudno ustalić, ale powtórzy to niemal każdy, z kim uda mi się porozmawiać. A Stach, niewysoki ryży blondyn, przyzna, że nie interesuje się bratem, a o tym, że Ewa się wyprowadziła, dowiedział się tydzień, dwa później. Ich dzieci się ze sobą nie bawiły, on ich nie odwiedzał, a za Mariuszem nie przepada. To akurat prawda.

Jego żona, Aniela, choć wiele razy wzywała policję także do Mariusza, oficjalnie nigdy nie była w ich domu, z Ewą rozmawiała może kilka razy. Basia, jedyna córka Sapałów, wyprowadziła się, gdy miała lat szesnaście. Trochę wcześniej, za zgodą sądu, wzięła ślub i urodziła dziecko. Ludziom

we wsi opowie, że chciała uciec. Kiedy ja do niej zadzwonię – rzuci słuchawką, choć z Ewą rozmawia często i chętnie.

Anielę odwiedzam bez zapowiedzi, siadamy na murku przed domem, zbiera wokół siebie spódnicę. Przed nami stoi jej córka z małym dzieckiem na ręku.

– Niedobrze tam było, ciężko miałam z teściową – mówi, ale zaraz przerywa jej córka.

– Niedogadane tam było, problemy z prądem, ale ciepło. – Głaszcze dziecko po główce. – A tu? Trudniej nagrzać, za duże pomieszczenia. Może tam warunków takich nie było, ale ja wolałam tam. Wujek Mariusz czasem przyszedł, pogadał, pożartował. A jak zaczął wrzeszczeć, to już nie słuchałam. Ona chciała się zemścić. Zrobiła sobie siniaki i powiedziała, że to on. Bo alimentów nie płacił. Wszystko zmyślone. Ja tam kiedyś słyszałam, że oni się kłócili, że ona czegoś tam nie zrobiła, ale ja nie chcę nic mówić, żeby nie było, że coś powiedziałam.

– Zostaw nas, dziecko – proponuje nieśmiało Aniela.

– Dobra, idę. Miałam pojechać do wujka, ale nie pojechałam. W sumie po co? Jak to się mówi, w gównie się nie grzebie. Zapłaciła policji, mówię wam.

Aniela, spoglądając za oddalającą się córką: – Nie piję od października. Tam trzy lata nie byłam, od pogrzebu teścia. Jak Mariusza zamknęli, to matce gadali, że pojechał na wakacje. Kłócili się cały czas, ale w rodzinach tak jest, że jak inny ojciec, to się bracia nie lubią.

Córka po chwili jednak wraca, dynamicznie kołysze dzieckiem: – Nigdy nie widziałam, żeby wujek uderzył Ewę.

Pytam, czy ją kiedyś uderzył jakiś mężczyzna.

– No jo.

– Mariusz, wie pani, był trudny. – Aniela zawiesza głos. – Telefon mi kiedyś potłukł, nakopał na podwórku. Nikt go nie lubił, ale nikt nie chciał się mieszać. Bo i co mieli powiedzieć? Matka go tylko lubiła, aż za mocno.

Nie chciała, żebyśmy tam do niego chodzili. Nie wiedziałam o piwnicy. Ale coś być musiało.

Krewna: – Witek, mąż Marceli, przyszedł kiedyś do mnie i żalił się, że „Mariusz to wariat". Pije i bije. Myślał, co robić. Ale za dużo nie pytałam, bo tu każdy pani powie, że w małżeństwo wtrącać się nie wolno. Ewę widziałam raz, latem 2010, w sklepie wtedy pracowała. Przyszłam do Marceli na kawę, pilnowała dzieci, opowiedziała, jaki ten Mariusz zazdrosny. Wychodzi żonie naprzeciw, żeby nigdzie po pracy nie poszła. Już się zbierałam, gdy Ewa wróciła zmęczona. A ten pijany jeszcze na nią krzyczał. Ale że piwnica? My nie wiedzieliśmy. Zastanawiałam się potem, czy reszta wiedziała. Tam bez Marceli zgody nic nie mogło być. Niech pani dobrze popyta, ludzie dużo o Sapałach wiedzą.

W trakcie śledztwa i procesu Mariusza reprezentuje kilku prawników z urzędu, w zależności od tego, w którym areszcie przebywa. Jeden z nich: – Są sprawcy, którzy kombinują, jak z tego wyjść, i tacy, którzy wbijają sobie do głowy, że to ich nie dotyczy. On był tym drugim typem. Powtarzał w kółko, że chciałby się tylko dowiedzieć, dlaczego ona mu to robi. Bo on w życiu nikogo nawet nie uderzył. No może raz, Ewę, bo się zdenerwował.

*

Przesłuchanie Ewy, pierwsze w przyjaznym pokoju, nowym i ciepło urządzonym, odbywa się w czerwcu 2016 roku. Przed podróżą do Gdańska raz jeszcze czyta swoje notatki, bierze tabletkę na uspokojenie. W pociągowym korytarzu wpada na prokuratorkę Annę Szczepaniuk-Milewską.

– Proszę się nie denerwować i nie śpieszyć. – Prokuratorka ją pociesza. – Jesteśmy tu dla pani. Przykro mi, że znów musi pani do tego wracać.

W pokoju stoją dwa krzesła, kanapa oraz odsunięty pod ścianę fotel. To miejsce dla biegłej psycholożki. Ewa siada na krześle, miejsce po drugiej stronie stołu jest puste. Sędzia, informuje kobieta, zaraz przyjdzie.

– Mężczyzna? Będzie mnie przesłuchiwał mężczyzna? – Ubrana w granatową bluzę i jasne dżinsy Ewa czuje, jak jej ciało się napina.

– Wszystko będzie dobrze. – Kobieta przysuwa się z fotelem bliżej stołu. – To, że pan sędzia jest mężczyzną, to trudno, ale po to jestem ja, by pomóc pani wszystko opisać. Najważniejsza jest prawda.

– Tak…

Józef

Początkowo Ewa będzie zapewniać, że jej dom rodzinny był ciepły, radosny. Traumatyczne dzieciństwo nie skojarzy się z bieżącymi problemami również innym członkom rodziny. Tylko prababka dziewczynek wspomni raz, że córkę Barbarę, matkę Ewy, mąż źle traktował.

Z uzasadnienia wyroku, który zapadnie w sprawie Mariusza, można wywnioskować, że zaangażowany w śledztwo psycholog kliniczny opowieść Ewy przyjął bezkrytycznie. Stosunki emocjonalne w domu Hirszów zawsze były bardzo dobre, Ewa milczała, bo mąż separował ją od rodziny. Poza tym zawsze była skryta, małomówna. Mnie również Ewa opowie o ojcu tylko dobrze. Jeśli zdarzy się jej krytyka, będzie dotyczyć matki.

Rok po naszym pierwszym spotkaniu, dzięki uprzejmości Anny Hebenstreit-Maruszewskiej oraz Tomasza Maruszewskiego z Uniwersytetu SWPS, biorę udział w zajęciach studentów psychologii poświęconych przemocy w rodzinie. W ich trakcie oglądam amerykański film poglądowy, odzwierciedlający przebieg autentycznej psychoterapii bitej i izolowanej przez męża matki dwójki dzieci. Uczę się wtedy nie tylko, jak rozmawiać, ale też, o co pytać, by mieć pewność, że przemoc miała miejsce.

Rok po spotkaniu na gdyńskim dworcu rozmowę z Ewą przeprowadzam już właściwie. Słyszę: – Najgorzej zrobiło się po mojej wyprowadzce z domu.

Tego dnia kolejny raz sięgam do książki *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi* autorstwa Judith Lewis Herman. Dowiaduję się, że dziecko,

by zachować wiarę w rodziców, tworzy skrajnie wyidealizowany wizerunek jednego z nich. „Czasami próbuje zachować więź z tym, który nie jest agresywny. Usprawiedliwia lub racjonalizuje jego brak opiekuńczości, tłumacząc to własnym brakiem wartości. Częściej jednak idealizuje prześladowcę, a cały swój gniew przenosi na nieagresywnego rodzica" – pisze Herman.

Drugi aspekt wyjaśni mi profesor Maria Beisert. W 1973 roku skończyła prawo i poszła na psychologię. Wkrótce rzuciła zawód prawnika i skupiła się na seksuologii. Jej badania dowiodły, że relacja dziecka i rodzica to czynnik kluczowy dla przyszłego sprawcy przemocy.

Pierwszy raz rozmawiamy jesienią 2017. Konsultuję wtedy moją wiedzę, uświadamiając sobie, że niewiele wiem. Ale profesor Beisert mi tego nie okazuje. Mówi: – Pomogę pani, bo rozumiem, że ludzie uczą się dzięki reportażom. I że szybciej przeczytają pani tekst niż moją książkę.

Blisko rok później, w sierpniu 2018 roku, odwiedzam profesor w Poznaniu. Opowiadam o ostatnim spotkaniu z Ewą.

– Z punktu widzenia dziecka matka, która nie jest w stanie go ochronić, w najlepszym przypadku jest odbierana jako obojętna, w najgorszym jako zdrajczyni i osoba współodpowiedzialna. – Profesor tłumaczy mi niezrozumiałe zachowania. – Bo gdyby naprawdę kochała, choć przecież sama jest zastraszona, toby zawalczyła. Mechanizm ten skutkuje tym, że dziecko bywa bardziej związane z prześladowcą, także w życiu dorosłym.

Przeszłość ofiary, jak i sprawcy, jest kluczowa, bo może wpłynąć na uprawdopodobnienie ciągu zdarzeń. Tłumaczy, dlaczego ktoś tkwi w przemocowej relacji, a także, gdzie się nauczył, że w ten sposób rozwiązuje się problemy.

Zdarza się, że sprawca wypiera z podświadomości przeszłość, co uniemożliwia wyciągnięcie wniosków. Osoba doświadczona przemocą wstydzi się. Może mieć też w głowie dobry obraz rodziny, mimo obiektywnie złych doświadczeń. Jak dowiodła Alice Miller, polsko-szwajcarska psycholożka i filozofka, ten, kto doświadczał przemocy, nie zawsze ją stosuje, ale może (najczęściej kobiety) wchodzić w relacje jako

ofiara. Jednak ten, kto stosuje przemoc, zwykle był jej ofiarą. Przeszłość Hirszów była do znalezienia w prokuratorskim lub policyjnym archiwum.

Jest 12 listopada 2007 roku. Matka Ewy, niewysoka kobieta w okularach, po kolejnym pobiciu idzie na ten sam komisariat, na który trzy lata później przyjdzie jej córka. Zgłasza, że mąż bije pięścią w głowę, kopie po nogach. Szarpie i wyzywa dzieci.

„Nigdy nie doznałam poważnych obrażeń – mówi na przesłuchaniu. – Miałam tylko bóle głowy. Podczas tych awantur mąż niszczy sprzęt domowy, wyrywa klamki. Zdarzyło się, że rozbił mi okulary, chociaż niedowidzę. Mąż był wtedy zawsze pijany [...] Najczęściej znęca się nade mną i najstarszym synem Adamem [...] Wiedzą o tym moi bezpośredni sąsiedzi, inni boją się mojego męża. Myślałam, że się zmieni, a to się nasila. Ja już nie potrafię tak dłużej żyć. Mówi, że wyrzuci mnie z domu. Dwa dni temu wezwałam policję, przyjechali, porozmawiali z mężem. Nic to nie dało".

W trakcie kolejnego przesłuchania Barbara dodaje, że mąż znęca się od nad nią siedemnastu lat. Wyjaśnia jego motywację: ma prawo wszystkich bić, to normalne w rodzinie.

Nikomu się z tego nie zwierzała.

Adam, wtedy po dwudziestce, pamięta, że gdy miał siedem lat, oderwał guziki od munduru żołnierskiego, który tata przechowywał, i zaniósł do szkoły, żeby się pochwalić. Kiedy wrócił, Józef zaczął go bić z taką siłą, że – jak potem usłyszał od matki – o mało go nie zabił. Później bił już bez żadnej przyczyny. „Mama raz miała siniaki wokół oczu, guzy na głowie. Ojciec ciągle mówi nam, że jak nam się nie podoba, to możemy sobie pójść, ale my nie mamy gdzie iść – dodaje na przesłuchaniu. – Teraz on już mnie nie bije, bo jestem starszy, potrafię się przeciwstawić, ale wyzywa".

Trzy, może cztery lata przed tym przesłuchaniem Barbara wezwała policję. Józef trafił na izbę wytrzeźwień, a gdy wrócił, jego agresja tylko się wzmogła. Regularnie wyrzucał rodzinie, że stanęli przeciwko niemu. Mniej więcej wtedy Kinga, najmłodsza córka, coś zrobiła, Adam nie pamięta co, ale Józef zaczął ją bić tak, że musieli zawieźć dziewczynkę do

szpitala. Kiedy to mówi, łamie mu się głos, łzy napływają do oczu. Ale powstrzymuje się przed płaczem i dodaje: „Ojciec wiele razy zbił mamie okulary, celowo je niszczy, gdy się na niej wyżywa".

Robert opowiada, że ojciec znęca się nad nimi, odkąd pamięta. Gdy był mały, głównie pod wpływem alkoholu. Od pięciu lat także, gdy jest trzeźwy. Wielokrotnie Robert był pobity pięściami po całym ciele. Czasami ojciec także dusił.

Kiedy syn miał pięć, sześć lat, złamał mu lewą rękę. Robert trafił do szpitala, matka wytłumaczyła, że sam się przewrócił. – Ojciec matkę bije tak, żeby nie było śladów – mówi Robert. – Albo je obiad, coś mu się nie spodoba, uderza w nią talerzem.

Zeznaje: „Kiedyś mama była przestraszona, obecnie bardziej próbuje się postawić. Nie zgłaszaliśmy wcześniej, bo nie chciała. Były interwencje policji. Sąsiedzi musieli coś słyszeć, dalsza rodzina nie chce się wtrącać. Powiedzieli kiedyś, że to nasza sprawa".

Janek, najmłodszy z braci, pamięta, że mama mówiła, że gdy ojciec jest pijany, nie znosi odmowy. Ona się boi, że on kiedyś zrobi jej coś poważnego. Ojciec zawsze miał ciężką rękę, a po alkoholu to już w ogóle. Kilka lat temu chciał wyrzucić Janka z balkonu, ale bracia nie pozwolili. Odkąd stali się dorośli, są w stanie się przeciwstawić, wypchnąć ojca na klatkę schodową. On wmówił mamie, że ona nic nie potrafi. Raz zapisali ojca do Anonimowych Alkoholików. Nie poszedł.

– Kinga na wszystko patrzy – martwi się Janek. – I zamyka się w sobie.

Według dziesięcioletniej Kingi tata często krzyczy. A gdy krzyczy, to padają brzydkie słowa. Mama wtedy woła: „Puść, przestań!". Czasem tata uderzy mamę. Ostatnio krzyczał w niedzielę.

Bywa, że wypije, wtedy się chwieje, chwyta ściany, niewyraźnie mówi. I powtarza, że Adam nie jest jego synem. Wtedy Adam się złości i krzyczy na tatę. Ale Kingi tata nie bije, stwierdza dziewczynka, uczy ją za to grać w szachy, Kinga to lubi. Lubi też, gdy tata kupuje jej batoniki, chipsy. Ona także miała złamaną rękę. Spadła z drzewa, a potem popchnął ją kolega.

Do szpitala pojechała z mamą. Kiedyś tata chodził z nimi na spacery. Chciałaby, żeby znów tak było.

Sąsiad mieszkający piętro niżej twierdzi, że jest osobą starszą i ma problemy ze słuchem. Nigdy nie słyszał żadnej awantury. Drugi jest zaskoczony, bo nic mu nie wiadomo, by u Hirszów miały miejsce awantury. Sąsiadka z tego samego piętra już tam nie mieszka, lokal udostępniła teściowej, ale „ona nosi aparat słuchowy, na pewno nic nie wie".

Inna przesłuchiwana sąsiadka: „Raz doszły do mnie podniesione głosy dzieci i pani Basi. Pan Józef krzyczał: »Ja was pozabijam!«. Zadzwoniłam na policję, ale anonimowo. Za jakiś czas znów dotarły do mnie odgłosy awantury, zadzwoniłam do Hirszów i poprosiłam do telefonu pana Józefa. Powiedziałam, że jak się zaraz nie uspokoi, wezwę policję. Więcej z nikim o tym nie rozmawiałam. Z Hirszami też nie".

Józef, barczysty mężczyzna z wielkim nosem, tłumaczy, że to żona znęca się nad nim. „Aż w pracy się ze mnie śmieją – podkreśla w trakcie przesłuchania. – Zawsze ma pretensje, gdy wracam po piwie. Synowie jej pomagają. Raz zrzuciłem jej okulary, ale to był taki odruch. Musiałem się do cholery bronić! Oni wszyscy kłamią".

Ewa nie zeznaje. Od blisko dwóch lat jest w podobnym związku.

W marcu 2008 roku prokuratura oskarża Józefa o znęcanie się nad rodziną. Pierwsza rozprawa odbywa się trzy miesiące później. Po odczytaniu aktu oskarżenia Józef Hirsz przyznaje się do winy i za namową adwokata składa wniosek o wydanie wyroku bez przeprowadzenia rozprawy. Chce dziesięć miesięcy w zawieszeniu na trzy lata i tyle dostaje.

Wkrótce Barbara znów idzie na policję, zawiadomienie szybko jednak wycofuje. Więzienie dla męża oznacza brak pieniędzy dla niej i dzieci.

Przepisy umożliwiające zmuszenie sprawcy do natychmiastowego opuszczenia mieszkania Polska wprowadza w maju 2020 roku. Józef, wychowany na wsi syn surowego ojca, nieco wcześniej dostaje wylewu.

*

Według Judith Lewis Herman wielokrotne doświadczanie urazu u dorosłego niszczy jego ukształtowaną już osobowość. Uraz powtarzający się w dzieciństwie tę osobowość kształtuje i zniekształca. Dziecko uczy się wypaczonych relacji, wymuszania przemocą, narzucania zasad, sporadycznego nagradzania. Bliska staje się atmosfera skrytości i izolacji. Można się spodziewać, tłumaczy badaczka, że taka osoba po wejściu w dorosłe życie ponownie doświadczy przemocy lub będzie po nią sięgać, by odtworzyć przeszłość, lecz z innym zakończeniem – jako sprawca.

Realia takiego dzieciństwa sprawiają, że akceptuje się przemoc jako zwykłą cenę związku.

Nikt tego nie uczy

Proces Mariusza Sapały rozpoczyna się bez rozgłosu i jest jednym z najkrótszych z oskarżenia o zbrodnię we współczesnej historii gdańskiego sądu.

Ewa przed jego rozpoczęciem informuje, że nie chce w nim uczestniczyć. Lekarze potwierdzają, że konfrontacja z byłym mężem może być dla niej wtórną wiktymizacją. Zeznania jej oraz dzieci sąd odtworzy z płyt DVD. O interes córek, zgodnie z przepisami, zadba kurator procesowy.

Radca prawny Adam Krzyżanowski kuratorem Alicji i Wiktorii zostaje na początku śledztwa. Telefon z sądu pamięta jak dziś. Kobiecy głos z drugiej strony słuchawki: „Musisz to wziąć. Był jak Fritzl".

Trzeba było wyznaczyć pełnomocnika dzieci, bo jeśli jedno z rodziców jest w sporze z dzieckiem, drugie nie może go reprezentować. Przepis powstał, by opiekunowie nie wykorzystywali najmłodszych w konfliktach. Choć istnieje od 1964 roku, przez lata go nie stosowano – zwłaszcza w postępowaniach karnych. A jeśli już, to bywał źle interpretowany.

W konsekwencji nie było osoby, która chroniłaby prawa pokrzywdzonych dzieci. Aż w 2010 roku wypowiedział się na ten temat Sąd Najwyższy i przypomniał, że przepis jest jasny oraz obejmuje także przestępstwa ścigane z urzędu. Oznacza to, że obowiązkiem prokuratora prowadzącego śledztwo jest złożyć wniosek do sądu opiekuńczego o wyznaczenie kuratora procesowego.

Krzyżanowski zaczął reprezentować dzieci po orzeczeniu Sądu Najwyższego. W tym czasie odbywa aplikację radcowską i jest asystentem

w wejherowskim sądzie rodzinnym. Oprócz niego na funkcję kuratora zgłasza się jeszcze jedna osoba.

Pracy niemało, rocznie po kilkadziesiąt spraw z rejonu Pucka i Wejherowa, a z czasem i więcej. Najczęściej chodzi o znęcanie się psychiczne lub fizyczne. Dużo postępowań ma związek z molestowaniem lub wykorzystywaniem małoletnich.

– Sprawca? Dziadek, ojciec, wujek, brat – mówi Krzyżanowski, gdy rozmawiamy w gdańskiej restauracji położonej nieopodal sądu. – Najwięcej zgłoszeń z rejonu północnych Kaszub. Im bliżej morza i dalej od miasta, tym gorzej. Przemoc zwykle wychodzi po latach. Od matki, która nie wytrzymuje wieloletniego sadyzmu, czasem z opieki lub ze szkoły. Bo dziecko opowiedziało, co się dzieje w domu. Pojedynczo zgłoszenia składa ktoś z rodziny. Nigdy sąsiedzi.

Podczas śledztwa prowadzonego przez pucką prokuraturę w 2011 roku też wyznaczono dziewczynkom kuratora. Została nim asystentka sędziego, w sprawę się nie zaangażowała. Po latach wytłumaczy mi: „Po przeanalizowaniu akt doszłam do wniosku, że nie było podstaw do wniesienia skutecznego środka zaskarżenia".

A może było odwrotnie i do akt nawet nie zajrzała? Jeśli tak, to nie ona jedna.

*

Kuratorem procesowym mogła zostać asystentka, bo za orzeczeniem Sądu Najwyższego nie poszły zmiany w prawie określające, kto kuratorem być powinien. Adwokaci i radcy za stawki od dziewięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu złotych za sprawę pracować nie chcieli. Sędziowie powoływali więc pracowników prokuratur, asystentów, sekretarki.

– W efekcie dochodziło do sytuacji, w których asystentka miała zażalić do sądu wyższej instancji postanowienie szefa. To już wolała tego zaniechać. – Mecenas Monika Horna-Cieślak przez wiele lat

współpracowała z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę, największą w Polsce organizacją pozarządową wspierającą dzieci doświadczone przemocą. – Jednocześnie rodzice niekrzywdzący, nierzadko matki zawiadamiające o molestujących ojcach, nie mieli wpływu na kuratora.

W sądach można usłyszeć, że powodem były też pieniądze, co widać na przykładzie spraw cywilnych (spadkowych), gdzie sędziowie najchętniej zatrudniali swoje sekretarki (by dać im dorobić do mizernej pensji). Skoro wtedy płacono ledwie dziewięćdziesiąt złotych za prowadzenie całej sprawy, kurator musiał zakończyć dziesięć postępowań, by po miesiącu dostać tysiąc osiemset. Nie czytali więc akt i nie pisali zażaleń.

Wyobrażenie o tym, jak wyglądały początki, daje badanie Moniki Hornej-Cieślak z 2018 roku, kiedy to sytuacja powinna wyglądać już znacznie lepiej. Adwokatka przeanalizowała sto pięćdziesiąt jeden spraw z trzydziestu siedmiu sądów rejonowych. Okazało się, że 77,7 procenta kuratorów nie dokonało wglądu w akta postępowania sądowego, a 95,5 procenta nie złożyło choćby jednego wniosku dowodowego. Kuratorzy nie brali udziału w blisko co drugim terminie rozprawy i prawie trzy czwarte nie zadało pytania żadnemu z przesłuchiwanych przed sądem świadków. W przypadku 26,1 procenta spraw kuratorzy nie wzięli udziału w przesłuchaniu z udziałem swojego podopiecznego.

W roku 2019 uchwalono przepisy, zgodnie z którymi kuratorami procesowymi mogą być tylko adwokaci lub radcy prawni. W ślad za tym nie poszły jednak ani szkolenia, ani stosowne wynagrodzenie.

– Adwokaci i radcy prawni ustanowieni kuratorami procesowymi bardzo rzadko kontaktują się ze swoimi małoletnimi klientami – dodaje Horna-Cieślak. – Jedną z przyczyn takiego postępowania jest lęk przed rozmową ze skrzywdzonym dzieckiem. Nikt nas nie uczy, jak postępować z osobami w traumie.

*

W grudniu 2016 roku, kiedy rozpoczyna się proces, Mariusz od kilku tygodni przebywa w celi gdańskiego aresztu. Został tam przewieziony z Wejherowa, bo sąd chciał wyeliminować konieczność konwojowania oskarżonego na każdą rozprawę. Przeprowadzka wymusza zmianę pełnomocnika z urzędu. Zostaje nim gdyński mecenas Krzysztof Szachta, w zawodzie od 1991 roku. Kiedy proces się zakończy, powie, że gdyby mógł, toby Mariusza nie bronił. A ten to przeczyta i odwdzięczy się skargą do rady adwokackiej.

Rodzina nie wnioskuje o widzenia z Mariuszem, Mariusz nie zabiega o kontakt z rodziną. Chciałby móc telefonować jedynie do siostry, ale prokuratura nie wyraża na to zgody. Zapewne dlatego, że mógłby – za jej pośrednictwem – wpływać na świadków.

Sala sądowa, w której rozpoczyna się proces, znajduje się na pierwszym piętrze gmachu gdańskiego sądu i niczym nie przypomina wielkich, wyłożonych dębowym drewnem sal znanych z dramatów prawniczych. Burobiałe ściany, stary, obdrapany stół sędziowski, okno. Jedna ławka dla publiczności. Również po jednej dla oskarżenia oraz obrony.

Oskarżony zazwyczaj siedzi za swoim pełnomocnikiem po lewej stronie sali, ale w tym pomieszczeniu nie ma wystarczająco dużo miejsca. Adwokat Szachta i Mariusz Sapała, który na czas posiedzenia zostaje rozkuty, siadają razem. Po chwili muszą się jeszcze ścisnąć, by znalazło się miejsce dla strażnika.

Do prowadzenia sprawy zostaje wyznaczona Marta Urbańska. Z Sądem Okręgowym w Gdańsku związana od 2013 roku, poprzednio przez dziewięć lat sędzia w Gdyni. Niecały rok wcześniej, w lutym 2015, w głośnej sprawie o zabójstwo orzekła karę ledwie dziesięciu lat (osiem to minimum, maksimum – dwadzieścia pięć). Ma opinię spokojnej i wyważonej.

W rozprawach uczestniczy jeszcze pełnomocnik Animalsów, adwokat Piotr Piotrowski. Podobnie jak Krzyżanowski, zgłasza się do sprawy jako oskarżyciel posiłkowy, dzięki czemu może składać wnioski dowodowe, zadawać pytania, odwołać się od wyroku. Piotrowski poprawia dłuższe

włosy związane w kucyk, zerka na ciasną ławkę oskarżenia i siada na miejscu dla publiczności.

Jest środowy poranek 14 grudnia 2016 roku. Za chwilę na wniosek Krzyżanowskiego proces – z uwagi na dobro małoletnich oraz ich matki – zacznie się toczyć za zamkniętymi drzwiami. Wcześniej Mariusz zostanie poddany badaniu sądowo-psychiatrycznemu. Biegli stwierdzą, że jego poczytalność nie budzi wątpliwości, nawet jeśli był po alkoholu. Człowiek przecież wie, co się z nim stanie, gdy się upije.

Struktura genetyczna

Powiat pucki, rok 1970. Lekarze zaniepokojeni, bo z siedmiu i pół tysiąca dzieci w wieku szkolnym aż siedemset osiemdziesięcioro zakwalifikowano do szkoły specjalnej. Chcą poznać przyczynę, proszą o pomoc gdańską Akademię Medyczną.

W lipcu zostaje zorganizowany obóz naukowy z udziałem studentów, pediatrów, psychiatrów i psychologów. Teren badań: rejon Żelistrzewa, wsi oddalonej od Pucka o pięć kilometrów. Wybierają ten obszar, bo w pobliskich wsiach liczba dzieci określonych jako opóźnione jest szczególnie duża. Rok później obóz przemieszcza się bardziej na północ – do gminy Krokowa, w pobliże rodzinnej wioski Sapałów.

Badaniu zostaje poddanych ponad dwieście dzieci ze szkół specjalnych. O każdym zbierany jest wywiad, naukowcy starają się prześwietlić przebieg ciąży, stan po porodzie, przebyte choroby. A także ewentualne urazy głowy, obciążenia dziedziczne i więzy pokrewieństwa w bliższej lub dalszej rodzinie. Ustalają, że opóźnienie najczęściej występuje u dzieci, których rodzice pracują poza domem, ukończyli cztery lub mniej klas szkoły podstawowej, jedno lub dwoje jest analfabetami, a w domu mówi się „gwarą kaszubską". Przynajmniej jeden rodzic pije.

„Objęte badaniami wsie były na ogół zaniedbane pod względem kulturalnym. Nie docierały do nich (lub bardzo rzadko) kino, nie mówiąc o teatrze, ruch wczasowo-turystyczny był niewielki. Radio i telewizor były w wielu rodzinach rzeczą nieznaną" – pisze w 1973 roku pediatra Stanisław Sikorski w miesięczniku „Pomerania". Wymienia, co trzeba zrobić: lepsza profilaktyka, oświata sanitarna, higiena życia codziennego. Walka z nagminnym alkoholizmem, wzmożenie ruchu turystycznego. Napływ nowej ludności to szansa na zmianę modelu rodziny.

Doktor Sikorski pisze też, że w mniejszym stopniu można zapobiegać przyczynom genetycznym tam, gdzie widać znaczny stopień pokrewieństwa rodziców. I dodaje: „Poruszony problem wykracza daleko poza ramy powiatu puckiego i dotyczy z pewnością w tym samym stopniu niektórych rejonów powiatów wejherowskiego, kościerskiego, kartuskiego, a być może bytowskiego oraz lęborskiego".

Dziesięć lat później podstawówka w Krokowej nadal wyróżnia się na tle kraju. W latach osiemdziesiątych i kolejnej dekadzie każdy rocznik ma klasę specjalną – łącznie około setka dzieci z niepełnosprawnością intelektualną.

– Większość pochodziła z biednych rodzin, gdzie dzieci były zaniedbywane, nie otrzymywały odpowiedniej stymulacji poznawczej – mówi Andrzej Rożek, wieloletni dyrektor szkoły. – Zdarzały się też kazirodztwa. Dwie tego typu sprawy wyszły na jaw i trafiły na policję. O ilu się nie dowiedzieliśmy? Trudno powiedzieć. Ale widać było, że te niepełnosprawności przechodzą z pokolenia na pokolenie.

Pytani, skąd na Kaszubach więcej zaburzeń rozwojowych, psychiatrzy odsyłają do historii Półwyspu Helskiego.

*

Pierwsze wzmianki o Helu pochodzą z X wieku. Mieszkańcami byli wtedy Skandynawowie, ludność pochodzenia germańskiego i Słowianie. Swoje bazy mieli tam piraci, w 1396 roku w Helu stacjonowała flota krzyżacka.

– To było miasto uciekinierów, miejsce osób, które chciały się schować – mówi Mirosław Kuklik, rocznik 1961, wieloletni dyrektor Muzeum Ziemi Puckiej i znawca historii Helu. – Dużo mieszkańców stanowili wojskowi dezerterzy. Osadnicy przyjeżdżali też do pracy przy połowach.

Najbardziej intratnym zajęciem jest handel śledziami. Kto chce zarobić, a nie stać go na łódź, zatrudnia się u kupców, najczęściej pochodzących z Gdańska. Dostaje sprzęt i łowi cały rok. Gród, a następnie miasto Stary

Hel kwitnie dzięki śledziom do XIV wieku, w szczytowym momencie licząc tysiąc dwustu mieszkańców, aż ławica przesuwa się do Kołobrzegu i umożliwia rozwój kolejnego miasta. By wkrótce znowu się przesunąć – w stronę Morza Północnego.

Problemy gospodarcze i podmywająca budynki woda powodują, że większość rybaków opuszcza miasto (które spłonie w 1572 roku) i przemieszcza się półtora kilometra dalej, na dzisiejszą ulicę Wiejską. W ten sposób powstaje miasto Hel, które znamy, wówczas głównie niemieckie i protestanckie. Katolikom zabrania się osiedlać w Nowym Helu, dlatego Kaszubi, których helanie uważają za lud grzeszny i rozpustny, zaludniają półwysep. Rodzą się Jastarnia, Kuźnica i Chałupy. Mieszkańców każdej z wiosek charakteryzuje inny akcent.

Mirosław Kuklik prosi, żebym podeszła do komputera. Na ekranie czarno-biała rycina z 1804 roku. Rozmawiamy w jego gabinecie, okno wychodzi na pucki rynek.

– Widzi pani, kto wjeżdża do Helu? Dyliżans pocztowy. Półwysep, wskutek błędu jednego z geografów, powielonego potem na mapach, przez kilkaset lat funkcjonował jako łańcuch czterech wysp. A to były tylko miejsca, gdzie półwysep poprzerywała woda na tyle płytka, że mógł przejechać wóz. Te dziury zostały z czasem zasypane, ale komunikacja z dalszą częścią kraju wciąż była utrudniona. Widok konia był dla mieszkańców niemałym wydarzeniem. Nie ma drugiego miejsca w Polsce, które rozwijałoby się w takim odosobnieniu.

O ile komunikacja istniała, to podyktowana handlem. Albo koniecznością odwiedzenia lekarza. Wówczas podróżowano tylko łodzią, do Gdańska było trzydzieści kilometrów. Jeśli w domu mieszkała starsza osoba, rodzina na strychu trzymała trumnę.

Sytuacja zmienia się z początkiem XX wieku, odkąd na linii Gdańsk – Hel kursuje parowiec. Nieco wcześniej, bo w 1896 roku, powstaje pierwsze miejskie kąpielisko, a trzy lata później reprezentacyjny Kurhaus „Hela".

W latach 1872–1887 proboszczem parafii w Jastarni jest ksiądz i pisarz Hieronim Gołębiewski. W wydanych w 1888 roku *Obrazkach rybackich*

z półwyspy Helu pisze, że rybacy żon z daleka nie lubili szukać, a osoby siedemdziesięcio-, osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięcioletnie, które nigdy z wioski nie wyszły, to wcale nie taka rzadkość.

Szkoła przeważnie do czternastego roku życia, bo później idzie się w morze. Pierwszy ksiądz pochodzący z półwyspu przypadnie na okres międzywojenny. Lekarz – niewiele wcześniej.

Gołębiewski o Kuźnicy, liczącej wówczas około czterysta osób: „[Są] małżeństwa zawierane już od wieków tylko w pokrewieństwie [...] W Kusfeldzie [z niem. Kuźnicy] tylko pomiędzy sobą się żenią [...] Chłopak rybacki nie patrzy przy ożenku za pieniędzmi tylko za swoim upodobaniem, a to swego przedmiotu nie szuka za granicą, lecz zwykle blisko siebie. Lecz niestety stąd ludność w Kusfeldzie fizycznie słabieje, bo faktem jest, że kiedy w innych wioskach więcej się rodzi chłopców aniżeli dziewcząt, w Kusfeldzie przeciwnie się dzieje, a i ci chłopcy, którzy są [to] często mizerni". Jak pisze Gołębiewski: „Wszystkie przestrogi, że taki ożenek wpływa szkodliwie na zdrowie potomstwa, są bezskuteczne".

– To miało też związek z dziedziczeniem maszoperii[5] – dodaje Mirosław Kuklik. – Każda w obrębie Kuźnicy i Jastarni miała swój obszar wodny. Członkostwo było dziedziczne, podobnie z funkcją szypra. Dopuszczenie osób z zewnątrz wpływało na położenie swoich. Czytałem opisy jeszcze z początku XX wieku, kiedy ktoś wziął żonę z innej wsi. Miejscowi nie wyrazili na to zgody. Z takiej walki narodziła się Syberia.

Syberia, to dziś osiedle ulicówka, wcześniej była ziemniaczanym polem, a potem osadą znajdującą się kilometr za Kuźnicą. Założył ją rybak Paweł Budzisz, który w 1912 roku opatentował klatkę na foki. Owdowiał, a za drugą żonę wziął kobietę spod Władysławowa, tyle że bez rybackiej tradycji. Ludzie im dokuczali, więc wyprowadzili się poza wieś. Ale nie miało to związku wyłącznie z ewentualnym dziedziczeniem maszoperii – rybacy rzadko wchodzili w związki małżeńskie z kobietami z rodzin rolniczych, a ich córki nie wychodziły za chłopów. Bo społeczność rybacka uważała, że ich profesja wymaga większych umiejętności, wiedzy czy

odwagi niż praca w polu. To przekonanie sprawiało, że rolników traktowali z wyższością.

Alicja Budnik, antropolożka z poznańskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, przeanalizowała w 2016 roku „możliwości odtwarzania struktury genetycznej" na podstawie Kuźnicy i Jastarni. W tym celu zebrała informacje o małżeństwach zawartych tam w latach 1875–1919, obejmując badaniami czterysta jeden par. Okazało się, że większość – z kilkoma wyjątkami – była ze sobą spokrewniona. Na przykład w Jastarni sześć nazwisk wyczerpuje wówczas ponad połowę wszystkich nazwisk w mieście. W Kuźnicy zaledwie dwa, a sześć to trzy czwarte całej społeczności.

Śmierć, która wstrząsnęła Polską

Profesor Anna Kwaśniewska, autorka dwóch książek oraz kilkudziesięciu artykułów dotyczących Kaszub i Pomorza, tematem klątwy kaszubskiej zajęła się po tym, jak przez media przetoczył się cykl tekstów „ujawniających grupy niechętne Kaszubom". Miało to miejsce w latach 2008–2016 i pokazało jej zdaniem, że dziennikarze stosują przemoc symboliczną. Zaczęło się od artykułu w „Tygodniku Kartuzy", opisującego śmierć półrocznego Dawidka.

Dawid był wcześniakiem i od urodzenia pozostawał pod opieką pediatry z Sierakowic. W poniedziałek 3 marca 2008 roku nie chciał pić mleka, stał się markotny. Początkowo rodzice myśleli, że ząbkuje, ale dzień później jego stan się pogorszył. Matka dziecka pojechała z nim do ośrodka zdrowia w Kartuzach. Rodzina niedawno przeprowadziła się do pobliskiej wsi, skąd do Kartuz było bliżej niż do Sierakowic.

Lekarka z przychodni odsyła matkę do szpitala, nie dając jej skierowania, kobieta udaje się więc do oddalonej o trzysta metrów szpitalnej izby przyjęć. I słyszy tam, że musi iść z dzieckiem na SOR, gdzie z kolei pielęgniarka wysyła ich do pediatry w Sierakowicach. Bo Dawida powinien zbadać lekarz pierwszego kontaktu. Mówi tak na polecenie ordynatora, który zakazał przyjmowania w ciągu dnia osób bez skierowania.

W Gminnym Ośrodku Zdrowia w Sierakowicach są chwilę po godzinie dziewiątej. Dawid jeszcze żyje. Lekarka bada chłopca i od razu wzywa karetkę z Kartuz. O dziewiątej trzydzieści pięć, niedługo przed przyjazdem ratowników, jego serce się zatrzymuje.

Jak wykazuje późniejsza opinia biegłych, Dawid cierpiał na wadę genetyczną – deficyt enzymu LCHAD – i od urodzenia znajdował się w stanie zagrożenia. Dwa tygodnie później „Gazeta Wyborcza" publikuje tekst Alicji Katarzyńskiej zatytułowany *Klątwa Kaszubów*.

Artykuł do śmierci chłopca nie nawiązuje, ale opowiada o rozpoczętych na początku 2008 roku przez lekarzy z Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie i Akademickiego Centrum Klinicznego w Gdańsku badaniach nad LCHAD. Deficyt tego enzymu to choroba rzadka, która charakteryzuje się u dziecka obniżoną tolerancją na głód. Następuje wówczas gwałtowny spadek poziomu glukozy, a do osłabienia wystarczy nawet drobna infekcja czy stres. Niewykryta w porę choroba zabija co drugie niemowlę. By dziecko urodziło się chore, nosicielami zmutowanego genu muszą być oboje rodzice.

Gdy ruszają badania, na świecie deficyt enzymu ma ponad sto osób mieszkających w rejonie Morza Bałtyckiego. Najwięcej z nich, bo aż trzydzieści siedem, pochodzi z Kaszub. Po raz pierwszy chorobę zdiagnozowano na świecie w roku 1989, sześć lat później w Polsce – u trójki dzieci.

Termin LCHAD jest trudny do zapamiętania, więc w mediach szybko upowszechnia się potoczne wyrażenie „gen kaszubski". A to – według profesor Kwaśniewskiej – element przemocy symbolicznej. Traktowanie choroby jako klątwy to próba wyłączenia grupy ludzi ze wspólnoty.

„Takie dzieci trafiają do nas zwykle w bardzo złym stanie – mówi w marcu 2008 roku dziennikarce „Wyborczej" doktor Jolanta Wierzba, wówczas ordynatorka Oddziału Patologii Noworodka i Niemowlęcia w Akademickim Centrum Klinicznym w Gdańsku. – Często nieprzytomne, z wysoką gorączką, w śpiączce. Rodzice są przerażeni, bo stan zdrowia pogarsza się nagle, jakby bez powodu, a dzieci przecież rodzą się zdrowe".

„Przypuszczamy, że choroba ujawnia się na skutek tego, że jej nosiciele żyją w małej, zamkniętej populacji i łączą się ze sobą" – dodaje doktor Dorota Piekutowska-Abramczuk z Zakładu Genetyki Medycznej w Centrum Zdrowia Dziecka.

Lekarki podają przykład Żydów aszkenazyjskich, żyjących w Europie Środkowej, Wschodniej oraz Ameryce, zapadających na szereg chorób genetycznych, podobnie jak Finowie, Inuici i Beduini. Powód: ludy osiadłe od pokoleń, brak świeżej krwi.

W ramach badań testom poddaje się dwa tysiące trzysta noworodków, które przyszły na świat na dwunastu oddziałach położniczych: w Trójmieście, Kościerzynie, Kartuzach, Lęborku, Miastku, Bytowie, Pucku oraz Wejherowie. W trakcie wywiadów medycznych lekarze dowiadują się, że w wielu rodzinach zdarzały się niewyjaśnione zgony niemowlaków. A rodzice mówią o klątwie wśród Kaszubów.

Te i późniejsze badania dowodzą, że najwięcej nosicieli genu mieszka w centralnej części Kaszub – trójkąt Kartuzy, Kościerzyna i Sierakowice. Ta ostatnia gmina od lat słynie z największej dzietności w Polsce. Sporo nosicieli uszkodzonego genu żyje też w okolicach Wejherowa.

W 2010 roku test na enzym LCHAD dołączono do puli badań przesiewowych przeprowadzanych na oddziałach noworodkowych w całej Polsce. Pacjenci monitorowani są do ukończenia osiemnastego roku życia, lekarze i personel lokalnych szpitali zostali przeszkoleni. Chodzi o to, by w razie konieczności dzieci z LCHAD weszły do szpitala bez kolejki i natychmiast otrzymały glukozę.

W latach 2008–2016 ukazuje się ponad trzydzieści tekstów dotyczących deficytu enzymu. Z czasem medycy dystansują się od określeń używanych przez dziennikarzy i stosują wyłącznie terminologię medyczną. Działacz kaszubski i socjolog, Brunon Synak, mówi „Dziennikowi Bałtyckiemu": „Kto nie zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi, zapamięta tylko »kaszubski gen«. Taki stereotyp myślowy mógłby być niebezpieczny. Tu i ówdzie mówi się już przecież o klątwie kaszubskiej. O tym, że lepiej, by Kaszub nie żenił się z Kaszubką".

Profesor Anna Kwaśniewska pisze potem na łamach niszowego uniwersyteckiego czasopisma, że wskazanie miejscowości i okolicy, z której pochodzi najwięcej osób dotkniętych chorobą, jest w kontekście całego dyskursu pewnego rodzaju stygmatyzacją. Ale dostrzega też plusy –

nagłośnienie śmierci Dawida zmusiło kartuski szpital do zmian. Placówka zainwestowała w sprzęt, zatrudniono nowe osoby. Jednak w żadnej z publikacji relacjonujących zabiegi szpitala na rzecz poprawy wizerunku nie poruszono kwestii kluczowej – rygorystycznego przestrzegania procedur i potrzeby większej autonomii medyków. Bo gdyby lekarka z przychodni wypisała matce skierowanie do szpitala, tamtejsza pielęgniarka by ją przyjęła. A gdyby pielęgniarka miała swobodę działania, nie koncentrowałaby się na poleceniu ordynatora.

Zdaniem profesor Kwaśniewskiej to potwierdza teorię Michela Foucaulta, francuskiego filozofa i socjologa, który przekonywał, że „w każdym społeczeństwie wytwarzanie dyskursów jest jednocześnie kontrolowane, selekcjonowane, organizowane i poddane redystrybucji przez pewną liczbę procedur". Jedną z nich stanowi milcząco akceptowany zakaz poruszania pewnych tematów.

Kwaśniewska sięga w swojej publikacji także do dyskusji internautów pod analizowanymi tekstami. Jedna z wypowiedzi: „Święta prawda, że KASZUBI zawierają związki małżeńskie tylko w rodzinie. Tak jest w Sierakowicach. W taki sposób nie dopuszczają, żeby majątki przechodziły w obce ręce. Ludzie są bardzo bogaci i w taki sposób jedni przed drugimi powiększają swoje dobytki. Dla normalnego człowieka z zewnątrz to sprawy obrzydliwe. Kuzynostwo z pierwszej linii bierze ze sobą ślub".

Naukowczyni cytuje wypowiedź, bo chce pokazać, że hipoteza o endogamii (kulturowej regule nakazującej zawieranie małżeństw wewnątrz własnej grupy) wywołała lawinę oskarżeń i epitetów pod adresem Kaszubów.

– Po publikacji spotkałam się z krytyką środowiska kaszubskiego – opowiada, kiedy widzimy się w holu gdańskiego uniwersytetu. – Mocno mnie to zaskoczyło, bo nie był to tekst krytyczny wobec społeczności. A jednak zarzucono mi, że stworzyłam fikcję, i zasugerowano, że nie powinnam pisać o Kaszubach. Podnoszono, że nie jestem stąd, jedynie tu od ponad trzydziestu lat mieszkam. Pomyślałam wtedy, że to takie

podejście poskutkowało monopolizacją przekazu i obrazu. W większości publikacji, szczególnie książkowych, jest on taki, jakiego chcą lokalni działacze.

– Czyli jaki? – pytam.

– To obraz, który mówi o otwartej, wykształconej i bardzo religijnej społeczności dotkniętej wojną. Za mało polskiej dla Polaków, nie dość niemieckiej dla Niemców, to się powtarza, tworząc główną oś mitu. Realia są jednak bardziej złożone. Wystarczy przeanalizować poziom wykształcenia i porównać z Trójmiastem, by zobaczyć znaczny dystans, mimo intensywnego procesu przenoszenia się mieszkańców Gdańska, Gdyni oraz Sopotu na tereny sąsiednich gmin kaszubskich, którego skalę i wpływ w mojej ocenie się wyolbrzymia. Pokazują to między innymi rozmowy z nauczycielami czy studentami obserwującymi, że z ich otoczenia na studia najczęściej idą osoby napływowe. Oczywiście takiej analizy nie można przeprowadzać w oderwaniu od kompleksu zjawisk, w tym kultu pracy, i doświadczeń (zaborów, dwudziestolecia międzywojennego), a także różnych podejść do edukacji Kaszubów i drugiej wojny światowej, mordu inteligencji, wreszcie PRL-u, kiedy w szkołach odnoszono się niechętnie do wszelkich przejawów kaszubskości. Temu tematowi można się przyglądać z różnych stron i nie jest to wyrazem krytyki, ale próbą pokazania szerszej perspektywy. Tymczasem, gdy ktoś spróbuje się za to zabrać, od razu jest krytykowany.

Interesuje mnie, z czego to wynika.

– Kaszubi przez wiele lat byli obiektem żartów i kpin. Postrzegano ich jako grupę niższą kulturowo, zwłaszcza w czasie zaboru tak postrzegali ich Niemcy, a także w okresie powojennym. Nałożył się na to negatywny stereotyp Niemca i fakt zapisywania się na listy narodowościowe, a po przegranej Trzeciej Rzeszy zmuszanie do przejścia procesu rehabilitacji lub weryfikacji. W Generalnej Guberni tego nie było. Nowi mieszkańcy Pomorza nie wiedzieli, że terror i presja na podpisanie listy były tutaj nieporównywalnie większe, i po przeprowadzce do ludności autochtonicznej Pomorza odnosili się z wrogością. Kaszubów atakowała

prasa, pojawiały się apele, by ich nazwiska umieszczać na placach czy w kawiarniach. Wiązały się z tym ogromne emocje, a przede wszystkim lęk przed stygmatyzacją, który w ludziach został. W 2005 roku wykorzystał to pewien polityk, mówiąc o „dziadku z Wehrmachtu". By odreagować te ataki, ale też pokazać, że jest inaczej, zaczęto budować kaszubski mit. Zaowocowało to wewnętrzną grupową presją, by nie mówić o rzeczach trudnych. Często można odnieść wrażenie, że sobie nie ufają, ale gdy tylko poczują się zaatakowani, zwierają szeregi, i jest pani bez szans. Tę wewnętrzną presję odczuwałam zwłaszcza w trakcie badań prowadzonych po napisaniu artykułu o LCHAD. Jeśli rozmawiałam z regionalistą, wójtem czy sołtysem i dotknęłam tematu „genu", ucinano wątek. Nawet lokalni lekarze nie chcieli rozmawiać. Jakby pod spodem było coś jeszcze. Każdy regionalista zapytany przeze mnie o kaszubską zamkniętość, opowiadał o wojnie. Czy to jedyny powód? Mam wątpliwości. I świadomość, że jeśli mówimy o krzywdach, to najczęściej po to, by coś uzyskać. Na przykład w latach dziewięćdziesiątych podkreślanie zadanych Kaszubom ran było bardzo wyraźne i miało ułatwić dostęp do stanowisk.

– A dziś?

– Dobry wizerunek podnosi pozycję, ale podkreślanie wojennych doświadczeń to raczej usprawiedliwianie osobowości ukształtowanej kulturowo. Przecież nieufność to cecha, która pozwala Kaszubom dobrze funkcjonować, zwłaszcza gospodarczo. Pomogła przetrwać zarówno w czasie zaborów, jak i później, bo skutkowała wspieraniem swoich. Kaszubi byli oczywiście źle traktowani, ale nie zostali wysiedleni, w większości zachowali stan posiadania, a jeśli spojrzymy terytorialnie i będziemy analizować mapy pod kątem rozprzestrzeniania się języka kaszubskiego, nawet go powiększyli. To po prostu społeczność hermetyczna, co najbardziej czuć w głębi i na Północy. Gdyby było inaczej, szybciej ulegliby asymilacji.

– A religia?

– Według mnie to zjawisko bardziej socjologiczno-kulturowe niż religijne, podyktowane środowiskową presją. Jeżdżąc po Kaszubach,

słyszałam od młodych, że na chodzenie do kościoła naciskają rodzice, a powód podają jeden: co powie rodzina, sąsiedzi? W społecznościach tradycyjnych religijność jest bezrefleksyjna, nawykowa. Z tym może się łączyć kolejny mit, czyli rzekoma wysoka pozycja kobiety. Kobieta na Kaszubach ma wpływ i o wielu rzeczach decyduje, ale do czasu.

Tekst Kwaśniewskiej, analizujący publikacje na temat enzymu, ukazuje się w 2017 roku. W tym czasie profesor, zainspirowana krytyką, idzie już śladem hipotezy o endogamii. Wyniki pracy publikuje dwa lata później.

Badania prowadzi w środkowych, północnych i południowo-zachodnich rejonach Kaszub. Z rozmów z mieszkańcami i analizy archiwów wnioskuje, że centralny powiat kartuski „charakteryzuje się znaczną zasiedziałością, jednorodnością kulturową, silną kaszubską identyfikacją tożsamościową". Kaszubi, wraz z osobami pokrewnymi, stanowią tam 99 procent mieszkańców. W północnej gminie Puck jest to 94 procent.

Profesor przegląda też księgi parafialne, z których wynika, że nie tylko mieszkańcy Półwyspu Helskiego brali za żony mieszkanki swojej wsi. Od 1870 roku do końca XIX wieku robiła tak już większość sąsiedniego powiatu puckiego czy kartuskiego. Na przykład w odsuniętej na północ Karwi zawarto w tamtym okresie aż 85 procent tego typu małżeństw. Pozostali ograniczali swój wybór do terenu parafii czy granic mobilności. Podobne zjawiska występowały na przykład na Dolnym Śląsku, gdzie, jak pisał socjolog Edward Pietraszek, w rodzinach chłopskich do lat sześćdziesiątych XX wieku najważniejszym kryterium w doborze partnera życiowego było pochodzenie z tej samej grupy regionalnej. W 2017 roku stwierdzono na tym terenie wysoką częstotliwość występowania nosicieli genu odpowiedzialnego za deficyt LCHAD.

„Tu na Kaszubach był bardzo mały przepływ… my żyliśmy we własnym sosie – mówi profesor Kwaśniewskiej rozmówca pochodzący z zachodniej części Kaszub, wsi położonej w powiecie bytowskim, gdzie 70 procent mieszkańców w okresie międzywojennym nosiło to samo nazwisko. – Był taki ksiądz Grucza, to on kiedyś powiedział, że do szóstego pokolenia patrząc, to my jesteśmy jedną wielką rodziną. I ja w moich opracowaniach

genealogicznych potwierdzam to w całej rozciągłości. Kiedyś to były takie zasady tych małżeństw, że w zasadzie w najbliższym okręgu się żenili".

Inny rozmówca z powiatu kartuskiego, od zachodu sąsiadującego z Trójmiastem: „Mojego taty brat też ożenił się ze swoją kuzynką". Albo: „Brat męża ma za żonę moją kuzynkę i drugi ma moją kuzynkę. Poznali się na naszym weselu". Kolejny: „Między kuzynami? To w mojej rodzinie raczej coś takiego nie było. Ale pamiętam, mówili, że były takie tu we wsi, ale nie mieli dzieci. A teraz dzieci mojego kuzyna i kuzynki się ożenili. Mają dwoje dzieci, ale… adoptowane". I na koniec: „Mam takiego kuzyna, którego dzieci wszystkie są skoligacone ze wszystkimi rodzinami. Tak że to jeszcze jest. Ja nie wiem, czy można dyktować ludziom, żeby się nie żenili, żeby zmieniali".

Autorka cytuje także Izydora Gulgowskiego, poetę i nauczyciela, współzałożyciela Kaszubskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Kartuzach, który w 1892 roku pisał: „Nie ma zwyczaju szukania daleko, zostaje się w miejscowości. Często wsie tworzą jedną wielką wspólnotę. Niechętnie patrzy się na przybyszy z zewnątrz".

– Badałam także małżeństwa zawierane w XIX wieku w Karwieńskich Błotach, kiedy tereny te zamieszkiwali głównie Niemcy, a właściwie Holendrzy wyznania ewangelickiego uważający się za Niemców. Zaskoczeniem było dla mnie, że także oni dość często wiązali się tylko wewnątrz grupy. Czyli Polacy, Kaszubi i Holendrzy żyli obok siebie, ale nie zakładali rodzin. A jeśli już, to dotyczyło to pracowników rolnych, ale nigdy samodzielnych gospodarzy. Myślę, że powody były kulturowe, geograficzne oraz klasowe: Niemcy czuli się lepsi od Kaszubów i Polaków, nie było możliwości łatwego przemieszczania się, a te tereny długo, właśnie ze względu na oddalenie, nie były uznawane za atrakcyjne. Na to wszystko nałożył się aspekt religijny. Małżeństwa zawierano w obrębie tego samego wyznania.

Do powstania kulturowej reguły, obowiązującej nie tylko na Kaszubach, nakazującej zawieranie małżeństw w ramach tej samej grupy, według Kwaśniewskiej przyczynił się system pańszczyźniany, który zamknął

chłopów w obrębie jednej wsi. To właściciel majątku wydawał zgodę na ślub, a jeśli wybranka pochodziła z dóbr należących do kogoś innego, często odmawiał, nie chcąc tracić pracownika i jego przyszłych dzieci.

– Wpływ miało też prawo zwyczajowe. Pierwszeństwo wyboru partnerek życiowych z danej miejscowości mieli miejscowi, co kobiety interpretowały jako wyraz troski i poważania. Z czasem osoby spokrewnione na zawarcie małżeństwa musiały dostać zgodę władz kościelnych, które w ten sposób chciały zwyczaj uregulować. O dyspensę najczęściej występowali mieszkańcy północnych Kaszub. Ale jedna z moich studentek pochodzi z centralnej części i zdecydowała się przeprowadzić badania we własnej parafii. Okazało się, że jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wielu mieszkańców wsi brało ślub z sąsiadami. Zapytałam ją dlaczego. Odpowiedziała, że trzeba wiedzieć, z kim się założy rodzinę. A trudno cokolwiek ustalić o ludziach z daleka.

– Kobieta ma być przede wszystkim Kaszubką – powie mi podczas jednej z rozmów krewny Marceli Sapały. – A rodzina być przy sobie. Studia? Dziecko pójdzie, już nie wróci. I co my z tego będziem mieć? Teraz młodzi czasem już tak nie chcą, wyprowadzają się do Trójmiasta, turystki poznają. Albo do Anglii pojadą. Potem wracają i budują dom na działce rodziców.

Dom zły

Proces Mariusza trwa od listopada 2016 do czerwca 2017 roku. Ostatnie zdanie należy do niego: prosi o łagodny wymiar kary. Jak zrelacjonuje dziennikarzom jego adwokat, do końca utrzymywał, że materiał dowodowy, zgromadzony po tylu latach, nie oddaje rzeczywistego przebiegu zdarzeń w jego rodzinie. Kwestionował dowody z zeznań dzieci, przekonywał, że mogły być sporządzone pod wpływem osób starszych. Upierał się do tego stopnia, że zażądał badania wariografem. Jedyne, do czego się przyznał, to zagłodzenie psa. Trudno, popełnił błąd, trzeba za to zapłacić. Mało kiedy był w domu.

Jego rodzina, co dla uczestników procesu będzie najbardziej zaskakujące, zdawała się odbierać sytuację bez zdziwienia. Nie okazywali emocji, nie potępiali. Sam Mariusz często się uśmiechał i komentował: „bzdury", „kłamstwo". Spuścił głowę jedynie podczas zeznań dzieci.

Nie zdradzę tajemnicy, jeśli napiszę, że jednym ze świadków była pracownica socjalna, której zeznania stały się podstawą do umorzenia dwóch wcześniejszych śledztw. Pojadę do niej latem 2018 roku. Wciąż pracuje w tym samym ośrodku pomocy, gdzie zostanie do emerytury. Jest też w składzie zespołu interdyscyplinarnego, który zajmuje się koordynowaniem systemu przeciwdziałania przemocy na terenie gminy.

Jej szefowa twierdzi, że nie było „żadnych przesłanek" do wykluczenia kobiety z prac zespołu, choć w jednym z artykułów pojawi się sformułowanie, że pracownica ta „kłamała w śledztwie". Ale według jej kierowniczki „informacje opisane przez media nie stanowią rzetelnego źródła wiadomości". Pytana, czy po ujawnieniu sprawy Sapałów zbadała ewentualne błędy w trakcie wieloletniego nadzoru i opieki, najpierw odpowiedziała, że „nie pamięta", a następnie wysłała maila z informacją,

że przecież „prokuratura niczego im nie zarzuciła". Gdy dociekam, dlaczego nie przyjrzała się pracy swojego zespołu, odpisuje, że „udzieliła już wyczerpującej odpowiedzi".

Pracownica opieki podchodzi do furtki, ale jej nie otwiera. Pyta, czy nagrywam, wolałaby nie rozmawiać. Po krótkiej wymianie zdań przyznaje, że była zaskoczona, bo Mariusz był „najporządniejszy z nich wszystkich". Przeczy, by upierała się, że widywała Ewę. Policja, jak teraz przekonuje, źle ją zrozumiała. Nie wie, że czytałam jej wywiady środowiskowe sporządzane rzekomo w domu Ewy i Mariusza. I że widać po nich, iż pisane były zza biurka.

– Opiekowałam się tylko Anielą i Stachem. Wie pani, to jest straszny dramat z tą przemocą domową. Bo my tu wszyscy mieszkamy – mówi i zaraz znika za drzwiami domu.

Gdy Sapała prosi o łagodny wymiar kary, sędzia Marta Urbańska zamyka posiedzenie i informuje, że wyrok ogłosi za osiem dni.

Pierwszy raz od rozpoczęcia procesu sala sądowa została wypełniona po brzegi. Ścisk i duchota, w komplecie prasa, radio, telewizja. Trzask migawek, szmer notesów. Wozy transmisyjne zajmują uliczki przyległe do sądu. Od wczesnego poranka wejścia na żywo i odliczanie do wyroku. Urbańska wygląda, jakby tej nocy nie zmrużyła oka. Gdy odczytuje wysokość kary i przechodzi do uzasadnienia, jej słowa słuchane są w głębokim milczeniu.

Miesiąc wcześniej po raz pierwszy staję na podwórku Sapałów. Gorąco jak w piekarniku, auto zostawiam kilkanaście metrów od bramy. Kiedy się zbliżam powolnym krokiem, o mojej obecności alarmują psy. Staję pośrodku obejścia i ze zdziwieniem rejestruję lekkie drżenie w całym ciele. Patrzę na piętrowy budynek i piwniczne okno, które dziennikarze po ogłoszeniu wyroku potraktują błędnie jako to, za którym znajdowała się Ewa.

– Tam teraz nikt nie mieszka. – Z drewnianej chaty wychodzi siedemdziesięciosiedmioletnia wówczas Marcela. Biała koszulka, wełniany

beżowy bezrękawnik, włosy niedbale upięte. Oba domy dzieli może trzydzieści kroków.

– A dlaczego nikt tu już nie mieszka? – pytam. Przez drzwi przeciska się Marian. Kilkudniowy zarost, karłowata postura, zaczyna wokół nas krążyć.

– A po co ktoś miałby tu być? Musiałabym pilnować, czy znów nie ma kłótni. – Mowa Marceli przez brak zębów jest trochę niewyraźna. – Sama jestem, znaczy ja i syn na rencie. Reszta się wyprowadziła.

Nie ruszając się z progu, powtarza to, co wszystkim: że synowa nigdy nie skarżyła się na męża, dobrze opiekowali się dziećmi, a jeśli się kłócili, to z powodu pieniędzy. Bo ich brakowało.

– Codziennie chodzilim do piwnicy i nikogo tam nie było. A ona nic nie mówiła. Dopiero jak się wyprowadziła, dowiedzielim się, że miała pretensje.

– Prosiła panią o pomoc.

– Nie prosiła. Ona trudna była, pyskata. On tego nie lubił.

– Czemu się pani od niej odwróciła?

– Gdyby pracowała, byłoby inaczej. A ona nic nie robiła, nie pomagała nam. To się kłócili.

– Jak mogła pani pozwolić na przyprowadzanie innych?

– Tu nikt nie przychodził. O, widzi pani? To moje pieski. Cztery, żaden nie jest głodzony. Mariusz też był dobry dla psów.

– Jednego zagłodził.

– Mariuszek?

– Dlaczego nie poszła pani na policję?

Patrzymy sobie w oczy jak dobrze się znający aktorzy na scenie.

– Tu się nie dzwoni na policję – odpowiada. – Co w domu, to w domu. A ja nic nie widziała. Mariusz to był mój najlepszy chłopak. Jak im powiem, żeby go wypuścili, to wypuszczą?

W środę 21 czerwca 2017 roku okaże się, że nie wypuszczą. Dwa dni wcześniej w „Dużym Formacie" – tygodniku reporterów „Gazety

Wyborczej" – publikuję reportaż *Dom zły*. Tekst otwiera pamiętnik Alicji i moje zdanie, że gdyby nie ona, tekstu by nie było. Potem opowiadam, jak Ewa poznała męża. Mowa też o pierwszych odwiedzinach matki, kiedy przyszła teściowa Mariusza pyta o rodzinę Sapałów i dowiaduje się, że może już jechać. Jest także o ślubie i narodzinach córki. Pierwszym uderzeniu, piwnicy.

„Był zły, że urodziłam drugie dziecko – tłumaczy w reportażu Ewa. – Uważałam, że jeżeli będę blisko, nic Wiktorii nie zrobi. A jeśli ucieknę, zabije ją, żeby mnie ukarać. Nie miałam pieniędzy, byłam przekonana, że sobie nie poradzę. Ciągły głód spowodował, że wszystko stało się obojętne. A on wciąż powtarzał, że jak pójdę na policję, nikt mi nie uwierzy. Ale też wstydziłam się mówić".

Wyjawiam wtedy, że latem 2010 roku do piwnicy zaprosił „kolegów", choć mogę być bardziej konkretna. Ale powstrzymuję się w obawie, że mogłoby to zaszkodzić śledczej kontynuacji. Piszę za to o błędach i zaniedbaniach w poprzednich postępowaniach. A także o byłym szefie puckiej prokuratury, który odpowiadał za nadzór i potem – zamiast ponieść konsekwencje – awansował do Prokuratury Regionalnej w Gdańsku.

Reportaż kończy się wypowiedzią Ewy: „Wciąż wraca do mnie sen, w którym budzę się związana w piwnicy, jest przeraźliwie ciemno i już wiem, że on zaraz do mnie zejdzie".

Ledwie kilka godzin po publikacji pod tekstem na portalu Wyborcza.pl blisko sto komentarzy i tylko ich przybywa. Nowe wpisy będą się pojawiać nawet rok później.

„Paweldeeee" pisze, że w Szwecji pracownicy opieki społecznej przerwaliby tę sytuację już po pierwszych aktach przemocy:

A u nas wszyscy przymykają oczy i zatykają uszy...

„Starka" coś tak makabrycznego i dziejącego się w dzisiejszych czasach czyta po raz pierwszy. Ale jeśli chodzi o postępowanie prokuratury, to – jej zdaniem – standardowe zachowania:

Mam przykład w najbliższej rodzinie. Umorzono sprawę o przemoc, bo jak stwierdzono, męża i żonę cechowała agresja, bo oboje dzwonili po policję. Nie pomogły obdukcje ani zeznania świadków, że żona przychodziła do pracy posiniaczona. Mąż stwierdził, że żona ma delikatną skórę i siniaków nabawiła się przy jeździe konnej. Przysiągł żonie, że zabierze dziecko i owszem słowa dotrzymał. Przy pomocy organizacji wojujących tatusiów i łaskawej dla oprawcy sędzi otrzymał dziecko, które porwał ze szkoły. Biegli uznali, że mąż nie może zajmować się dzieckiem, ale sędzia uznała, że wie lepiej. Niestety w naszym kraju kobieta z roku na rok znaczy coraz mniej i jest sprowadzana do roli inkubatora i służącej w majestacie prawa. Bardzo współczuję Pani Ewie i życzę jej, by udało jej się wyprzeć tę traumę i ułożyła sobie radosne życie.

„Exxx" zastanawia się:

A co by było, gdyby redakcja „GW" nie opisała tej sprawy?

Inni dociekają:

A co z kolegami? Będą oskarżeni o gwałt zbiorowy?

Większość komentatorów chwali, że podałam nazwiska winnych prokuratorów oraz ówczesnych asesorki i kuratorki. Obie będą musiały zlikwidować swoje strony internetowe, a pod kancelarią jednej z nich staną protestujący ludzie. Były wiceszef puckiej jednostki, który ostatecznie śledztwo umorzył, jak relacjonuje jego kolega: lewituje z przerażenia w swoim domu. Odtąd dużo uważniej podchodzę do podawania personaliów, ale nie bez znaczenia pozostają opinie domagające się rzetelnej oceny. Spore grono zwraca uwagę, że błędy śledczych są ewidentne i jeżeli nie dojdzie do rozliczenia, sytuacja się powtórzy.

„Uniwr":

Taak... i to podobno z sędziami trzeba robić porządek? Panie Ziobro, jest pan tam?

Dzień po publikacji reportażu na polecenie Ministra Sprawiedliwości Prokuratora Generalnego Zbigniewa Ziobry Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej wszczyna postępowanie w sprawie zaniedbań śledczych Prokuratury Rejonowej w Pucku.

– W prokuraturze nie ma miejsca na znieczulicę – mówi dziennikarzom Zbigniew Ziobro. – Prokurator ma chronić ofiary, a nie ich oprawców. Jeśli tego nie rozumie, nie jest godzien sprawować swojego urzędu. Zapewniam, że każdy objaw lekceważenia elementarnych obowiązków przez prokuratorów zawsze będzie spotykał się z moją zdecydowaną reakcją.

Rozliczenia leniwych policjantów nikt nie proponuje, a ich szef także jest już po awansie do nadrzędnej jednostki.

– Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało – stwierdzi, gdy do niego zadzwonię. –Problem polegał na tym, że pokrzywdzona zataiła ważne informacje.

Dostaję również dziesiątki maili. Wiele z nich zawiera pytanie, jak pomóc Ewie i dziewczynkom. Padają propozycje przesłania ubrań lub zabawek, pomocy prawnej, wakacji w Bieszczadach. Dzięki tej presji odnajduję lokalną fundację, na której konto zbierane są odtąd pieniądze na wsparcie Ewy oraz córek. Finalna kwota: ponad czterdzieści tysięcy złotych. Pieniądze umożliwią terapię, zakup podręczników czy komputerów, wyjazd na pierwsze wakacje.

Za sprawą maili zaczyna się też dyskusja.

Katarina Smejda:

Widzę to w szerszej perspektywie – partii rządzącej, polskiego Kościoła, kultury milczenia. Mieszkam w Norwegii, gdzie działa Barnevernet. To urząd zajmujący się ochroną praw dzieci, znienawidzony przez mieszkających tu Polaków. Powstał jako reakcja na takie właśnie patologie – aby chronić dzieci w sposób bezwarunkowy. Wyobrażam sobie, że w Norwegii matka z dziećmi zostałaby odizolowana już przy pierwszych sygnałach o przemocy. Właściwie już po narodzeniu pierwszego dziecka nie pozwolono by mu mieszkać w takich warunkach. Tutaj nie daje się

szans sprawcom przemocy, dlatego wielu Polaków narzeka na odebranie dzieci „bez powodu” (czyli po jednym uderzeniu, które ujrzy światło dzienne). Wszyscy – nauczyciele, lekarze, pielęgniarki, są przeszkoleni do wychwytywania sygnałów o przemocy. Tak działa ten system i jestem szczęśliwa, że go mamy. Sama jestem psychologiem i pracuję na Uniwersytecie w Tromsø, w instytucie zajmującym się zdrowiem psychicznym dzieci oraz ich ochroną. Pani, jako dziennikarka, w ogóle wielu dziennikarzy, robi świetną robotę informacyjną. Szkoda tylko, że te informacje docierają głównie do tzw. „wykształciuchów”. Musimy wyjść do ludzi. Czy ma Pani jakiś pomysł, co można zrobić? Według mnie można działać dwupoziomowo: praca środowiskowa, ale także praca na poziomie politycznym, co jest teraz utrudnione…

Joanna Zakrzewska:

Jestem wstrząśnięta gehenną pani Ewy, ale najbardziej uderza mnie jednak obojętność otoczenia. Zmowa milczenia rodziny oprawcy, brak sygnałów ze strony szkoły/przedszkola dzieci, brak zauważenia oznak dziejącej się tragedii przez pracownika socjalnego, znieczulica lekarza, bo przecież musiała chodzić z dziećmi na szczepienia. To straszne. W dalszej kolejności policja, prokuratura. Rozumiem, że być może wyznania pani Ewy były nieskładne, chaotyczne, pewnie naznaczone niesamowitymi emocjami, ale zignorowanie jej i niezbadanie dalszych śladów, nieprzesłuchanie świadków, brak wizji lokalnej i końcowe umorzenie w 2013 roku poważnie podważa zaufanie (także moje) do kompetencji i profesjonalizmu organów ścigania.

Paulina Bieniek:

Nie mogę uwierzyć, że można tak bestialsko potraktować rodzinę, ale i w te wszystkie zaniedbania. Kolega asesor opowiadał mi kiedyś, jak wygląda jego praca, ale może on akurat się przejmuje i wszystko dogłębnie sprawdza. Nie wiem, ile razy się popłakałam, czytając Pani reportaż. Ale dziękuję za Pani odwagę i determinację. Inaczej żylibyśmy w poczuciu

jednego koszmaru mniej, może byłoby nam łatwiej, przyjemniej, ale nie można przymykać oczu na zło, wymawiać się brakiem świadomości.

Ewa Balak:

Mam nadzieję na dalsze relacje ze śledztwa w sprawie prokuratorskich błędów. Pomogła Pani tej kobiecie jak nikt inny.

Edward Jankowski:

Tak rozumiem dziennikarstwo: odkrywanie przemocy, gwałtu, poniżenia, podłości, wściekłości, hańby i bezbronności.

Elżbieta Jurkowska:

Nie łudzę się, że to odosobniony przypadek. Przyjęło się mówić o takich rodzinach: patologia. I to wystarczy, żeby poczuć się lepiej – nie mieć złego zdania o Polakach i o Polsce. A co, jeśli ta „patologia" jest wszędzie? Nie uwierzymy, zamkniemy oczy i będziemy czekać, aż problem sam zniknie? Zastanawiam się, co w tej wsi robił katolicki ksiądz. Gdzie był? Pytam retorycznie, bo sama znam historię, w której proboszcz powiedział bitej przez męża kobiecie, że powinna to wytrzymać dla dobra małżeństwa.

Pan Tomasz:

Takiej sprawy nie wolno zakończyć na jednym reportażu!

Są też inne wiadomości. Na przykład: „Nigdy nie dałabym się trzymać w piwnicy". Aby zrozumieć te reakcje, rozmawiam z Wandą Paszkiewicz, psycholożką i wiceprezeską stowarzyszenia Niebieska Linia, wywiad zostaje opublikowany na portalu Wyborcza.pl.

– Pierwszym odruchem, gdy dowiadujemy się o takiej skali okrucieństwa, jest obrona – wyjaśnia. – Bo rodzina jest postrzegana jako miejsce, w którym należy otrzymywać wsparcie i miłość. Ale zapewniam, że nikt z nas nie jest w stanie powiedzieć, jak zareaguje na rany zadawane przez najbliższą osobę. A dzieci w takich rodzinach zawsze są ofiarami

przemocy, instynktownie trzymają z silniejszym. Boją się, że wypowiedzenie posłuszeństwa zaboli. Samo molestowanie seksualne poprzedza zaś uwiedzenie. Spotykałam dzieci, które myślały, że tata czy mama w każdej rodzinie molestują, dopóki nie zobaczyły, że w innych rodzinach jest inaczej.

Paszkiewicz tłumaczy wtedy, że każdy kolejny akt przemocy osłabia. Nazywamy to wtórnym zranieniem: skoro żadne podejmowane działania nie przyniosły efektu, osoba krzywdzona przestaje siebie szanować i dołącza do myślenia sprawcy: „Na nic lepszego nie zasługuję". Zwykle upływa kilka lat, zanim ofiara przemocy domowej wprost poprosi o pomoc.

– Dzieje się tak, bo jednym ze skutków doświadczania przemocy jest zespół stresu pourazowego, który powoduje postrzeganie sprawcy jak omnipotenta, osobę, od której wszystko zależy. Ofiara uważa, że jest zdana na swojego kata.

Do tego dochodzi sygnalizowanie złej sytuacji otoczeniu, które przez brak reakcji wzmacnia sprawcę, a w przypadku Ewy był jeszcze głód. Prowadzi on do zmian w psychice i strukturze osobowości. Osoba głodzona traci kontrolę, pojawia się spadek chęci do życia, obojętność.

– To, co Ewa opowiedziała śledczym, wymykało się wszelkim schematom – doda Paszkiewicz. – Łatwiej było nie uwierzyć. Tymczasem praktyka pokazuje, że jeżeli ktoś opowiada o wyjątkowym okrucieństwie, mówi prawdę. Bo jak zmyślamy, to dość banalnie.

Fikcyjne umorzenia

Ponad cztery lata później, w roku 2022, śledztwo w sprawie niedopełnienia prokuratorskich obowiązków służbowych nadal trwa. Jedynym, którego się ściga, jest ówczesny wiceszef puckiej prokuratury, dziś w stanie spoczynku. Nie chce rozmawiać, czuje się skrzywdzony. Nie wyklucza, że mnie pozwie. Rozumiem ten żal. Stał się zwierzyną łowną, jak kiedyś jego asesor wyjaśniający śmierć dziecka w rodzinie zastępczej.

Były pucki śledczy: – Śledztwa na wsi prowadzi się ciężko. Wszyscy się znają i boją mówić. Opieka, urząd, policja, do niedawna także pucka prokuratura – tylko ludzie stąd. W jednej bardzo popularnej miejscowości turystycznej ojciec przez lata więził i gwałcił córkę. Sprawa wyszła, gdy wpadł pod samochód i zmarł. Potem się okazało, że sąsiedzi coś tam wiedzieli. W wiosce mieszka prokurator. Nikt do niego z tym nie przyszedł.

Dalej: – Wielu idzie na skróty. Był taki prokurator, co umarzał jak leci. Zrobiono mu dyscyplinarkę, do ukarania nie doszło. Kiedy brakuje naocznych świadków, trzeba poszukać mocnych poszlak, które będą stanowić logiczną całość. A później wykazać winę. Proces poszlakowy wymaga fachowości i zwykle dochodzi do niego, gdy wyjaśnienia sprawy domaga się opinia publiczna. Prokuraturą rządzi statystyka. Wszyscy zwalczają zaległości i podkręcają wyniki.

Najwięcej spraw załatwia się w czerwcu i w grudniu, najmniej w styczniu i lipcu. Bywa, że dotyczy to prawie połowy spraw kończonych w całym roku. W niektórych prokuraturach jest sugerowany konkretny wskaźnik procentowy pokazujący, ile spraw powinno być załatwionych,

a przełożeni już od marca chodzą z karteczkami i pytaniem: zejdzie, nie zejdzie?

„Podobnie jest we wrześniu – powiedzą w lipcu 2013 roku „Dziennikowi Gazecie Prawnej" prokuratorzy z niezależnych stowarzyszeń. – Im bliżej końca tych okresów, presja narasta, robi się coraz bardziej nerwowo. Niektórzy tracą poczucie rzeczywistości, co może skutkować błędnymi decyzjami".

W 2013 roku okazją do komentarzy staje się badanie przeprowadzone przez naukowców Uniwersytetu Wrocławskiego. Powstaje na zlecenie resortu sprawiedliwości i ma być przyczynkiem do reformy procesu karnego. Prowadzone jest w czasie, kiedy w puckiej prokuraturze toczy się śledztwo z zawiadomienia Ewy.

Analizie poddano osiemnaście prokuratur – od rejonowych po apelacyjne. Okazało się, że w czerwcu i grudniu w Prokuraturze Apelacyjnej w Gdańsku zamknięto 53 procent spraw. Podobnie w Krakowie – 42 procent. Nie lepiej dzieje się w prokuraturach okręgowych: w czerwcu i grudniu śledczy zakończyli od 29 do 47 procent postępowań. W innych miesiącach dotyczyło to zaledwie trzech spraw. Widać przeciążenie pracą: śledczy w rejonie prowadzi średnio trzysta spraw rocznie. Siedem lat później nic się nie zmieni. W 2020 roku aż 98,9 procenta wszystkich zgłoszonych spraw zarejestrowano w prokuraturach rejonowych.

Analiza naukowców z Uniwersytetu Wrocławskiego potwierdza wieloletnie przypuszczenia, że prawie 40 procent prokuratorów z wyższych jednostek zamiast śledztwami zajmuje się biurokracją. W Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku na osiemdziesięciu trzech zatrudnionych w 2011 roku postępowaniami przygotowawczymi zajmuje się jedynie dwudziestu dziewięciu śledczych. Reszta ma za zadanie nadzór lub prowadzenie statystyk. Albo okupuje stanowiska tak zwanych wiecznych funkcyjnych. Publikacja badań sprawia, że o terrorze statystyki zaczyna się mówić również w kontekście sądów.

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości (państwowa placówka naukowa podlegająca ministrowi) w 2017 roku przeprowadza własną analizę.

Odpowiedzi udziela dziewięciuset dziewięćdziesięciu jeden prokuratorów. Wytykają dochodzeniówce brak systematyczności, inicjatywy oraz planu, bezczynność, opieszałość, przewlekłość. A także błędy w sporządzaniu decyzji i wadliwe ich uzasadnianie.

Badanie pokazuje, że największe trudności sprawiają policji sprawy wielowątkowe i gospodarcze, w tym te obejmujące licznych podejrzanych i świadków. Aż jedna trzecia ankietowanych prokuratorów twierdzi, że występowanie niedociągnięć nie zależy od rodzaju sprawy. Zaskoczy to nawet autorów raportu – sądzili, że największe ryzyko błędu występuje w sprawach o najpoważniejsze przestępstwa. Zaledwie 2 procent prokuratorów przyzna, że nie ma takich spraw, w których policja pracuje dobrze. Raport zawiera opis prawie stu postępowań. Jeden z wniosków: „Policja w przypadku czynów z art. 207 kodeksu karnego (znęcanie się) stosuje rozumowanie, że brak zeznań pokrzywdzonego równa się brakowi czynu".

Po prześwietleniu przez wrocławskich naukowców osiemnastu prokuratur swoją kontrolę przeprowadza Prokuratura Generalna. Ujawnia ona retuszowanie statystyk za pomocą „fikcyjnych umorzeń". Badanie obejmuje wszystkie prokuratury szczebla okręgowego oraz rejonowego i koncentruje się na tych sprawach z roku 2012, w których pomimo powołania biegłych zdecydowano o umorzeniu lub zawieszeniu postępowania przygotowawczego bez oczekiwania na opinię. Choć ma to być zapowiedź zmian, nic takiego nie następuje.

– Jest jak było – przyznaje krakowski prokurator Mariusz Krasoń ze Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem. – Postępowanie się umarza, a gdy opinia przychodzi, na nowo się je podejmuje. Po co? Wtedy śledztwo ma nowy numerek i zalicza się do nowego okresu rozliczeniowego. Żadne kontrole nie zmienią systemu, jeśli polska prokuratura nie będzie lepiej zorganizowana: 98 procent pracy wykonują rejony, a dziś ludzi jest mniej, niż było wcześniej. Łatwo o błąd, rutynę.

Prokurator Paweł Pik pokazuje, jak to wygląda wyżej, rozmawiamy wiosną 2021:

– W Prokuratorze Regionalnej w Gdańsku dwa wydziały śledcze liczą obecnie mniej osób niż sądowy i organizacyjny, które nie zajmują się śledztwami. W największych pomorskich prokuraturach rejonowych, czyli w Gdyni, Gdańsku oraz w Wejherowie, przypada po tysiąc spraw rocznie na osobę. Oczywiście stopień skomplikowania różny, ale to wykracza poza możliwości jakiegokolwiek człowieka.

Jak informuje Prokuratura Krajowa, od chwili wszczęcia postępowania w sprawie zaniedbań puckich śledczych, którzy trzykrotnie umorzyli sprawę Ewy, przeanalizowano dostępne akta, przesłuchano świadków, w tym społecznego kuratora sądowego i pracowników socjalnych. Następnie prokuratorów mających wiedzę o śledztwie, pracowników administracyjnych i sędziów wejherowskiego sądu rejonowego. A także Ewę – miało to miejsce w Gdańsku w Dzień Kobiet roku 2018.

W kwietniu 2019 rzeczniczka prasowa prokuratury napisała do mnie w mailu, że materiał dowodowy jest teraz poddawany analizie prawnokarnej. W listopadzie roku następnego, że planowane jest postawienie zarzutów ówczesnemu wiceszefowi puckiej jednostki. Potem 21 grudnia 2021 roku dowiaduję się, że Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej na początku miesiąca skierował przeciwko niemu akt oskarżenia do sądu.

Nieco wcześniej ustalam nieoficjalnie, że w aktach podręcznych postępowania w sprawie Mariusza znajduje się adnotacja, że prokurator ten umorzył postępowanie na polecenie swojego szefa, ówczesnego prokuratora rejonowego, bądź uzgodnił z nim decyzję. Ostatnie umorzenie było efektem analizy akt sprawy przez nadzór w prokuraturze okręgowej, można by więc szukać dalej – przynajmniej dyscyplinarnie. „Krajówka", pytana, dlaczego poluje wyłącznie na tego jednego prokuratora, odpowiada, że na inne kroki nie pozwolił materiał dowodowy zgromadzony w śledztwie.

Wyrok

Sapała jest zaskoczony, że na korytarzu gdańskiego sądu wita go tłum reporterów. Na tle policjantów prezentuje się jako drobny mężczyzna o nieśmiałych ruchach. Ma na sobie zielone dresowe spodnie i bordową koszulkę polo w białe pasy. W oczy rzuca się plama po ketchupie i niedopięty guzik.

Gdy sędzia opowiada o wykorzystywaniu dzieci, Mariusz przecząco kiwa głową. Kiedy mowa jest o gwałceniu Ewy, głośno prycha. Po informacji, ile lat spędzi w więzieniu, spogląda na sąd z niedowierzaniem.

Marta Urbańska prosi, by wszyscy wstali. Zaczyna od odczytania zarzutów. Opis jest zwięzły, ale szczegółowy, dotyczy siedmiu przestępstw i obejmuje późniejszą konkubinę Mariusza oraz jej syna. W momencie, kiedy mowa o trzymaniu Ewy w piwnicy, na sali robi się ciszej. Gdy sędzia czyta o zmuszaniu Ewy do jedzenia na czworakach chleba zalanego wodą i spermą, a następnie gwałtach, fotoreporterzy przestają robić zdjęcia i odkładają aparaty. Jeden z nich, ojciec dwójki dzieci, mówi po wyjściu z sali Katarzynie Paluch, wtedy dziennikarce „Faktu", że powstrzymywał się, by nie podbiec do Mariusza i mu nie przyłożyć.

Ustne uzasadnienie wyroku powinno być – jak proces – niejawne. Ale sędzia Urbańska decyduje się zrobić wyjątek ze względu na poruszenie społeczne.

– Oskarżony miał świadomość, że rodzina to miłość, szacunek, godność – mówi pewnym głosem. – Miał tę świadomość, bo taką miłość okazywał swojej żonie przed ślubem. Ale od chwili zawarcia związku małżeńskiego radykalnie zmienił swoje zachowanie. I choć pokrzywdzona po opuszczeniu domu, w którym doznała tylu krzywd, nie miała na ciele wielu

widocznych obrażeń, do dziś odczuwa okrucieństwo zadane przez oskarżonego. To rany o wiele bardziej trwałe niż te, które mogli zobaczyć bliscy Ewy przez cały okres trwania małżeństwa. Nieodwracalne zmiany psychiczne spowodował oskarżony również u swoich córek. To w rodzinie dzieci uczą się, jakie wartości są w życiu ważne. Dziewczynki były pozbawione tej nauki i dziś bardzo z tego powodu cierpią. Nie wiedzą, czym jest człowieczeństwo.

Wyrok bez precedensu: dwadzieścia pięć lat. O warunkowe zwolnienie Mariusz może się ubiegać po odbyciu trzech czwartych kary. Cel: wyeliminowanie go ze społeczeństwa. Z niedowierzaniem patrzy teraz na Urbańską także mecenas Szachta.

– Sąd zastosował przepisy pozwalające na zaostrzenie kary, choć żaden z wyroków jednostkowych nie przekroczył piętnastu lat. – Po wyjściu z sali tłumaczy mediom swoje zaskoczenie. – Dla obrony logiczne było, że kara łączna może wynosić piętnaście lat.

Tak wysoki wyrok był możliwy, bo niedawno zmieniło się prawo. Odtąd, jeżeli suma kar jednostkowych przekracza dwadzieścia pięć lat, a przynajmniej jedna z nich to lat dziesięć, łączna może być maksymalna. I z tej możliwości skorzystała Urbańska.

Ewa nie wiedziała, czego się spodziewać, więc oczekiwała najgorszego. Uniewinnienia i wiecznego strachu, do którego się już przyzwyczaiła. Dzwonię zaraz po ogłoszeniu orzeczenia. Jest sama w domu – Krzysiek w pracy, dziewczynki w szkole.

– Nawet nie umiem opisać, jak bardzo się cieszę. Czuję ulgę, wielką ulgę. Już mnie nie dopadnie.

Po chwili: – Jednak jest w Polsce sprawiedliwość. Mogę spokojnie chodzić po ulicy.

Czterdziestoośmioletni Mariusz ma ponadto zakaz zbliżania się do byłej żony i dzieci, powinien też zapłacić znaczne odszkodowanie. Ale jest bez pieniędzy. Posiada tylko kawałek ziemi po zmarłym ojcu, którego nikt nie zabezpiecza, a on po wyroku przepisuje grunt na siostrę.

O sprawie mówią wszystkie media polskie i niektóre zagraniczne – głównie brytyjskie i irlandzkie. Pół roku później, w grudniu 2017 roku, gdański sąd apelacyjny karę podtrzymuje.

– Oskarżony urządził tej rodzinie piekło na ziemi – stwierdza sędzia Dariusz Malak, przewodniczący trzyosobowego składu orzekającego. – Wydaje się, że w XXI wieku przynajmniej w tej części świata takie rzeczy się nie zdarzają. Nie ma żadnych powodów, by dokonywać korekty zaskarżonego wyroku. Dzieci, które skrzywdził, jeszcze długo będą odczuwać skutki tych działań.

Obrońca Mariusza podkreślał w apelacji poszlakowy charakter procesu. Sąd uznał jednak, że nie można mówić o poszlakach i dowodach pośrednich, gdy orzeczenie oparte jest na zeznaniach członków rodziny.

Jestem ofiarą

O spotkanie proszę Mariusza listownie. Za pierwszym razem dzwoni i niemal wykrzykuje, żebym dała spokój i już nie pisała. Zanim napiszę drugi raz, przekaże za pośrednictwem brata, że jednak chciałby się spotkać. Mam przyjechać do Starogardu Gdańskiego, gdzie przebywa od połowy 2018 roku.

Centrum miasta, ceglany mur i trzysta sześćdziesiąt pięć łóżek dla tymczasowo zatrzymanych, recydywistów i mężczyzn odbywających kary w systemie terapeutycznym, czyli sprawców z zaburzeniami niepsychotycznymi, takimi jak niepełnosprawność intelektualna, nerwice, uzależnienia, oraz przestępców seksualnych.

Podczas drugiej wojny światowej mieścił się tu punkt zbiorczy dla uwięzionych Polaków i Żydów. W latach Polski Ludowej miejsce dla najgroźniejszych przestępców. Karę dwudziestu pięciu lat odbywał tam seryjny gwałciciel i zabójca Leszek Pękalski.

W Starogardzie został on poddany leczeniu zmierzającemu do korekty zaburzeń, by zapobiec pogłębianiu się patologicznych cech osobowości. Opracowano w tym celu indywidualny program terapeutyczny obejmujący między innymi treningi empatii. W ich trakcie skazany pisze listy do swoich ofiar. Ważnym elementem jest też praca nad przekonaniami i zaburzonymi schematami. Terapia ma je zmienić na bezpieczniejsze dla otoczenia, tak by na przykład mężczyzna nie uważał, że kobiety lubią przemoc i kiedy mówią „nie", to myślą „tak". W przypadku Pękalskiego resocjalizację uznano za nieskuteczną. Zamiast wypuścić na wolność, przewieziono go do ośrodka w Gostyninie.

Placówka działa od stycznia 2014 roku. Miała się stać miejscem dla przestępców mogących stwarzać na wolności zagrożenie. Powstała, bo niecały rok wcześniej gruchnęło, że zbliża się data wyjścia na wolność mordercy dzieci Mariusza Trynkiewicza. Ośrodek zaprojektowano dla dziesięciu osób, w ciągu pierwszych pięciu lat trafiło tam sześćdziesiąt pięć. Odtąd trwa dyskusja, co robić z osobami, których nie da się zresocjalizować.

Długo przygotowuję się do rozmowy z Mariuszem. Z psychologiem znającym sprawę ustalam jej scenariusz. Zastanawiam się, czy skazany dopuścił do siebie choć ułamek refleksji. Wiem już, że w trakcie jednej z rodzinnych rozmów Marcela przyznała: „Moja wina, nauczyłam ich pić". Mniej więcej w tym czasie dowiaduję się, że Mariusz jest ojcem jeszcze dwójki innych dzieci: matkami są partnerki braci. Marcela – do śmierci w 2020 roku – nigdy syna nie odwiedzi. A on śle jej kwiaty – tulipany wykonane z kolorowej bibuły.

– Nawet jeśli zaprosił panią, żeby wydać oświadczenie, będzie chciał wrócić z czymś do celi – słyszę od psychologa. – Współosadzeni wiedzą, z kim się spotyka, czekają na relację.

*

Już po mojej wizycie, we wrześniu 2021 roku, w starogardzkim areszcie, który pełni też funkcję zwykłego zakładu karnego, odbywa się wizytacja zespołu Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, działającego przy Rzeczniku Praw Obywatelskich i zajmującego się wizytowaniem miejsc, w których przebywają osoby pozbawione wolności.

W tym czasie przebywa tam trzystu dwudziestu pięciu osadzonych, w tym pięćdziesięciu jeden tymczasowo aresztowanych, dwustu siedemdziesięciu jeden skazanych i trzech młodocianych. Na oddziale terapeutycznym znajduje się pięćdziesięciu dziewięciu więźniów. Dwóch mężczyzn odbywa areszt w warunkach szpitala psychiatrycznego. Jeden to więzień niebezpieczny.

Kontrolerzy KMPT ustalają, że od stycznia do czasu ich przyjazdu cztery osoby próbowały popełnić samobójstwo, dwukrotnie napadnięto na strażników. W latach 2020 i 2021 dwadzieścia cztery razy zastosowano środki przymusu bezpośredniego wobec szesnastu więźniów. Monitoring z wybranych przypadków nie wykazał nieprawidłowości.

W najgorszej sytuacji znajdują się tymczasowo zatrzymani, bo większość czasu spędzają w celach (aż dwadzieścia trzy godziny dziennie). Oglądają telewizję, czytają książki wypożyczone z biblioteki, grają w gry planszowe. Przez godzinę dziennie mogą korzystać ze spaceru, a także ze świetlicy, w której znajdują się telewizor, ping-pong i piłkarzyki. Poza tym żadnych innych zajęć.

We wszystkich celach jest ciepła i zimna woda. Prysznice wygrodzone. Można się wykąpać dwa razy w tygodniu.

Areszt składa się z dwóch budynków – pawilonów A i B. Na terenie pierwszego mieści się sześć placów spacerowych z zadaszeniem, ławka, urządzenie do ćwiczeń. Osadzeni w pawilonie B mają do dyspozycji boisko do gry w piłkę siatkową i koszykową oraz zewnętrzną siłownię. Mogą z nich korzystać wyłącznie ci z karą w systemie półotwartym, czyli skazani za przestępstwo nieumyślne albo karę aresztu.

Spotkania z bliskimi odbywają się w sali widzeń w poniedziałki, niedziele oraz drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w godzinach ósma–szesnasta. Tuż obok znajduje się kantyna, to okazja, by wspomóc osadzonego kawą, owocami lub papierosami. Zadbano też o kącik dla dzieci i pokój widzeń intymnych.

Skazani mogą rozmawiać przez Skype'a. Ale tylko, jeśli zgodę wyrazi dyrekcja, i nie dłużej niż piętnaście minut. Najczęściej taką możliwość dostają ojcowie lub cudzoziemcy. W areszcie znajduje się też jedenaście samoinkasujących aparatów telefonicznych (po dwie, trzy sztuki na oddział). Rozmowa może trwać maksymalnie pięć minut.

Mocną stroną zakładu jest liczba osób pracujących – we wrześniu 2021 zatrudnionych było stu dwudziestu siedmiu więźniów (osiemnastu poza jednostką, reszta na jej terenie). Słabą, że na jednego psychologa przypada

aż stu pięćdziesięciu osadzonych. Ci ostatni najczęściej skarżą się na wyżywienie i przeludnienie. Mariusz nie skarży się na nic.

*

W kwietniu 2018 roku jest jeszcze w Gdańsku, a tamtejszy areszt chce go poddać terapii. Ale on „zdecydowanie odmawia i okazuje bardzo silny opór". Administracja wnioskuje więc do sądu, by ten Mariusza do leczenia przymusił. Wkrótce Sapała jest już w Starogardzie. Wcześniej bada go biegły seksuolog kliniczny, psycholog i zarazem psychoterapeuta.

Z akt penitencjarnych, do których otrzymam dostęp, dowiaduję się, że pytany o sprawę mówi, iż żona wszystkich okłamała. Dzieci nie molestował, sam też nigdy nie został skrzywdzony. Pies by przeżył, gdyby matka nie zapominała go nakarmić.

Małżeństwo rodziców ocenia jako dobre. Ona pilnowała dzieci w kwestii nauki, on najczęściej był w polu. Hodowali żywiec, sprzedawali mleko. Po śmierci ojca matka zaczęła się zachowywać dziwnie. Nie pamiętała wielu rzeczy. Na przykład nakarmić psa.

Pierwszą dziewczynę miał w wieku dwudziestu lat. Poznali się na dyskotece. W wojsku nie był, bo w roku 2013 wjechał w niego rowerzysta „i ślepa kiszka mu się rozlała" (prawda jest taka, że pokłócił się z bratem, a ten dźgnął go nożem za to, że Mariusz nazwał jego dziecko bękartem).

O seksie w domu się nie rozmawiało. Masturbacji nie zna. Pornografię pierwszy raz zobaczył w wieku dziewiętnastu, dwudziestu lat. Ale „nie rusza go to, bo bezwstydne". Seks z żoną tylko po bożemu.

Nikt mu nigdy nie mówił, że pije za dużo. Znów pali, zaczął w areszcie. Relacje z rodzeństwem ocenia dobrze.

Swoje porażki i problemy przypisuje innym. O dzieciach mówi instrumentalnie – bez troski czy obawy o nie. Emocje reguluje alkoholem. Cechuje go wyparcie i zaprzeczenie.

To typowe dla osobowości nieprawidłowej z cechami sadystyczno-dyssocjalnymi z niskim poczuciem własnej wartości. Takie cechy powodują, że agresywnie reaguje się na jakikolwiek sprzeciw czy krytykę i ma się potrzebę zdominowania bliskich sobie osób – poprzez zastraszanie czy manipulowanie poczuciem zależności oraz lękiem. Taki człowiek zna normy społeczne, rozumie, co robi, ale tego nie analizuje. Bo nie zna poczucia winy. Jego zachowanie jest typowe dla sprawców w związkach przemocowych z daleko posuniętą kontrolą.

Gwałty dawały mu poczucie władzy. Chciał też poniżyć, ukarać. Działał schematycznie, powtarzalnie, wiedział, że nie może zostawiać śladów. Wszystko planował, zachowania celowo rozkładał w czasie. I nie można wykluczyć, że była to z premedytacją toczona gra, bo kiedy zamykał żonę w piwnicy, przyprowadzał konkubinę, najpewniej przygotowując ją do przyszłej roli stałej partnerki.

Nie jest pedofilem, dzieci stanowiły raczej obiekt zastępczy w sytuacji, gdy nie miał dostępu do osoby dorosłej. Na skłonność do przekraczania granic na pewno miała wpływ osobowość nieprawidłowa, życie w zamkniętym kręgu i okoliczności środowiskowe – jak złe warunki mieszkaniowe w dzieciństwie, które zmuszały do sypiania razem lub brania udziału w życiu intymnym członków rodziny. Pewną rolę musiały też odegrać czynniki społeczne.

Badanie przed wyjazdem do Starogardu wskazuje na coś jeszcze: seksualny sadyzm.

„Dokonywanie systematycznych zgwałceń miało charakter sadystyczny – czytam w jego aktach. – A zmuszanie żony czy też udostępnianie jej innym mężczyznom masochistyczny, bo zazwyczaj jest to przeżywane ambiwalentnie. Skazany podczas badania podał, że stosunkowo późno podjął aktywność seksualną. Jego przemoc seksualna narastała stopniowo, prawdopodobnie w miarę „odhamowywania" oraz doświadczania przyjemności seksualnej płynącej z eskalacji przemocy wobec żony. Typowa aktywność mogła wcześniej nie być wystarczająco interesująca i podniecająca. Mając na uwadze progresywny typ zachowań, zachodziło

ryzyko, że przy szczególnie silnym podnieceniu, a co za tym idzie, odhamowaniu działania, mógł on dokonać sadystycznego zabójstwa seksualnego żony – gdyby pozostawała w jego mocy jeszcze przez jakiś czas".

Biegły rysuje obraz człowieka o głęboko zaburzonej osobowości uwikłanej w uzależnienie od alkoholu. Choć Sapała niewiele mówi o swojej przeszłości, można wywnioskować, że szkodliwy wpływ na niego wywarły doświadczenia wyniesione z domu: problem alkoholowy matki i niskie kompetencje społeczne rodziców.

Jego dyssocjalne cechy osobowości są mało podatne na oddziaływania resocjalizacyjne. Dlatego przed ukończeniem odbywania kary powinien zostać przebadany raz jeszcze, by „określić stan jego zdrowia psychicznego i skuteczność oddziaływań penitencjarnych i terapeutycznych".

Do Starogardu Gdańskiego jadę w grudniu 2018 roku. Przy wejściu do aresztu ze ściany wysuwa się stalowa szuflada, w środku kartka na dane osobowe. Wypełniam, szuflada znika i wraca z drewnianym żetonem i wyrzeźbioną dwudziestką siódemką.

Poczekalnia znajduje się po drugiej stronie ulicy. Jest mała, ma brudne, pomalowane na beżowo ściany i szarą posadzkę z lastryko. Ciepła mają dodać cztery tanie obrazy przedstawiające przyrodę. Na korkowej tablicy folder kampanii „Stop dopalaczom". Dwie kobiety, wydaje się, że matka i córka, wspominają długą podróż pociągiem. Kolejne cztery oczekują w milczeniu.

Jest godzina jedenasta czterdzieści, głos z głośnika wyczytuje numery, które mogą wejść: od dwudziestego trzeciego do dwudziestego szóstego. Idę do dyżurki, pytam, czy wszystko w porządku. Strażnik zza weneckiego lustra:

– Osadzony nie wpisał pani na listę gości.

Niecały rok później przekazuje mi, że chwilowo znajduje się w gdańskim areszcie i już jest gotowy na spotkanie. Został przewieziony, bo ma zeznawać w innym procesie. Ustalam datę i zjawiam się pod salą. Drepcze prowadzony w pomarańczowym więziennym drelichu, uśmiecha się na

mój widok. Potwierdza, że chce porozmawiać, mam złożyć wniosek o widzenie. Jest łagodny, łagodniejszy, niż się spodziewałam. Wniosek składam i dowiaduję się, że jednak nie wyraża zgody. Podobno siostra poczytała o mnie w internecie i mu odradziła. Dwa miesiące później odbieram telefon:

– Dzień dobry, pani Włodkowska? Chciała pani rozmawiać. – Jego głos jest bardzo podobny do głosu braci.

– Dzień dobry… pan Mariusz?

– Tak.

– Ile mamy czasu?

– Pięć minut.

– Kiedy możemy się spotkać?

– Ja z panią porozmawiam, jak pani mi powie, kto pani naopowiadał tych głupot.

– W sensie?

– Na przykład opis piwnicy. Pani podaje zły.

– Nie rozumiem.

– Napisała pani, że to piwnica na wprost schodów. To była inna, jeśli pani chce wiedzieć.

Wtedy po raz trzeci umawiamy się na spotkanie, ale scenariusz się powtarza. Po dwóch miesiącach, w styczniu 2020 roku, ponownie wykręca mój numer: – Przez to pani pisanie mam tylko kłopoty. Wszędzie. Napisałem w tej sprawie do Rzecznika Praw Obywatelskich. Gdzie to cholerne RODO?!

– Porozmawiamy?

– Prawda sama wyjdzie na jaw. Już mi na niczym nie zależy. Proszę więcej o mnie nie pisać, bo to się może źle dla kogoś skończyć.

– Dla kogo?

– No chyba nie dla mnie.

– Dla mnie?

– No ja nie wiem.

– Grozi mi pan?

– Nie, tylko mówię, żeby pani lepiej nie pisała.

– Dlaczego?

– Pani pisze, co chce. Albo co tam ludzie pierniczą.

– To spotkajmy się.

– Niech pani najpierw poszuka prawdy.

– Jest coś, czego pan żałuje?

– A czego mam żałować?

– To dlaczego znalazł się pan w więzieniu?

– Jestem ofiarą.

*

Z jego akt dowiem się jeszcze, że po przyjeździe do Starogardu z zakwaterowania jest zadowolony, ze współosadzonymi przeważnie się dogaduje. Potrafi zadbać o swoje granice i być przesadnie grzeczny. W trakcie rozmów z psychologami żali się na długą odsiadkę. Deklaruje, że chciałby ten czas wypełnić pracą. Czy tak zrobił? Nie wiem, nie pozwala na udzielanie mi bieżących informacji. Nie był nagradzany ani karany. O nic nie zabiega. Zgodził się pojechać na odwyk do zakładu w Iławie.

Czytam także, że u Mariusza na pierwszy plan wysuwają się takie cechy, jak obniżona pewność siebie, obawa przed porzuceniem, niestabilność emocjonalna. Łatwo wybucha gniewem. Chce dominować i kontrolować, ale z reguły podporządkowuje się poleceniom przełożonego. Ma świadomość, że z powodu przestępstw, za które został skazany, może budzić w więzieniu złość, prosi o celę z osobami spokojnymi. Z czasem może się stać roszczeniowy, do ludzi podchodzi z rezerwą. Jego największym zmartwieniem jest, że „siedzi w więzieniu niesłusznie".

– Nie mogę znieść kłamstwa mojej byłej żony – mówi psychologowi.

Unika mówienia wprost o sobie, w teście psychologicznym pomija zadania zmuszające do autorefleksji. Drażni go obłuda innych, a „większość kobiet powinna uważać na to, co powie". Nienawidzi kłamstwa. Narzeka na brak spokoju, nie czuje, że gdziekolwiek przynależy. O domu rodzinnym wypowiada się w czasie przeszłym, o rodzeństwie nic nie mówi. Jedno ze wspomnień: „W szkole trudności sprawiał mi język rosyjski i matematyka, której nauczycielka stosowała kary cielesne. W łeb się dostawało albo linijką po rękach. I nie było można o tym mówić. Lepiej było siedzieć cicho, bo w domu była poprawka".

– Moje nerwy są u kresu wytrzymałości – stwierdza jeszcze. – Przyszłość? Nie widzę jej przed sobą, czuję się zmęczony. Nie udało mi się przeżyć życia spokojnie. Najbardziej boję się lotu samolotem i samotności.

CZĘŚĆ DRUGA

Ja w to nie wierzę

Wieś Sapałów oraz sąsiadujące z nią miejscowości odwiedzam, pracując nad książką, w latach 2018–2022. Jeden z pierwszych kontaktów zdobywam w gminnej bibliotece.

– Trzydzieści lat tu mieszkam, w życiu tego Fritzla nie widziałam. – Kobieta dopytuje, dlaczego interesuję się publikacjami o gminie. Dodaje: – Sąsiedzi też nic nie wiedzieli.

– Skąd ta pewność?

– Moja rodzina tam mieszka.

Bibliotekarka obiecuje umówić mnie na spotkanie, ale już się nie odzywa. Tydzień później jadę pod adres, który podała.

Niedawno odnowiony dom z przybudówką. Z jednej strony nieruchomość sąsiada, z drugiej puste pole. Dość blisko do drogi i lasu. Miejsce nie odbiega od reszty wsi – luźno zabudowanej i z zarzuconym rolnictwem. Bez sklepu i usług, nie licząc przydrożnej restauracji, za to z pokojami do wynajęcia i agroturystyką.

– Nic nie wiem, mieszkam tu dopiero dwadzieścia sześć lat. – Kobieta w zielonym kapeluszu i z reklamówką grzybów do środka nie zaprasza. – Co we wsi, nigdy mnie nie interesowało. Pracowałam, wracałam do domu, sprzątałam. Miałam dwójkę dzieci i chorych rodziców. Toż to wystarczy. Teraz jestem na emeryturze i sama pani widzi: chodzę na grzyby. Nie piję kawki z sąsiadkami, nie plotkuję. Zresztą takie czasy, że każdy siedzi u siebie.

– Sapałów pani zna?

– Przychodzili mi pomagać.

– Pomagać?

– No oczywiście! – Rozmówczyni wzrusza ramionami, stoimy przed furtką. – Jeździli po polach i zbierali kamienie, żeby wykończyć moje oczko wodne. Jak trzeba było, zwieźli drzewo do porąbania, a gdy Witold Sapała żył, z koniem zaszedł, w polu pomógł. Kiedy się dowiedziałam, że Mariusza zamknęli – wszyscy o tym mówili – nie wierzyłam. Dopiero, jak syn powiedział, że w telewizji było, pomyślałam, że to może być prawda. Mariusz? W życiu bym nie powiedziała!

Powiedziałaby, że czasem wypili. Albo że mieli zagracone obejście. Ale to tyle, inaczej byłaby nieuczciwa.

– Prawda taka, że ja tam nie chodziłam. Byłam raz, gdy zmarł Witold. Wszyscy wtedy przyszli, zgodnie z lokalnym zwyczajem, czuwać w ostatni wieczór przed pogrzebem. Policję też widziałam raz. To było sześć, może siedem lat temu. Sąsiad zadzwonił, że chcę mu kaczki wytruć. Znalazł chleb spleśniały i stwierdził, że to nasze. Sprawę z Mariuszem prasa nakręciła. Skąd wiem? Bo go znam, to niemożliwe. Dobra, nie znam za bardzo, ale ja w to nie wierzę. Może wziął jakieś narkotyki i mu palma odbiła, ale więcej nie kupuję. Pewnie czasem zamknął, może bił, ale więził? Przecież on chodził do pracy! Mogła wybić okienko i uciec. Nie wierzę, że dziś można kogoś uwięzić. I to jeszcze na wiosce. Kajdanki czy łańcuch miał?

– Sznurek.

– A, sznurkiem… Ludzie tam chodzili, dzieci Stacha się kręciły. Ileż to osób?! Nikt nie widział? Prasa nakręciła. Skrzywdzić jest łatwo, rana zostaje. Niech pani powie: jak człowiek idzie do więzienia, to lepszy wraca? Nie, on jest gorszy.

W gwałty też nie wierzy. Uwierzyłaby, gdyby Mariusz się przyznał.

– Do mnie to nie dociera, on taki nie jest. Gdy jechał rowerem, zawsze się ukłonił, no naprawdę, trudno coś powiedzieć. Każdy, kto zrobił coś złego, musi za to odpowiedzieć. Ale Mariusz jest częściowo skrzywdzony. Więzienie zniszczy mu psychikę. On powinien iść do psychologa. Ogląda pani Jaworowicz?

– Rzadko.

– Wczoraj jedna pani się wypowiadała: matka nakręci, rodzina nakręci, dziecko głowę ma już napełnioną i potakuje. Tu też tak było. Zresztą ja nic powiedzieć nie mogę, Ewę widziałam raz, jak przechodziła z Mariuszem i córką. Przywitała się, pochwaliła podwórko, że czyste, w sam raz dla dzieci. Myślę sobie: też macie podwórko, wystarczy sprzątnąć.

*

Czerwiec 2019 roku, ciepło, przebywam w sąsiedniej miejscowości. Pokój wynajmuję u Ukrainki. Kilka lat temu zatrudniła się u wdowca wynajmującego pokoje letnikom, wkrótce się w nim zakochała, tak już zostało.

– Dla nikogo nie jestem tu swoja, ale mi to nie przeszkadza – informuje, kiedy wychodzę na kolejny wywiad. – Nic pani nie powiedzą.

Z początku wydaje mi się, że ma rację. Rozmowy są głównie o snuciu planów, turystach i pięćset plus, przez które brakuje sprzedawczyń i opiekunek do dzieci. Przyjęło się mówić, że rozmowę kontroluje ten, kto zadaje pytania. Tu jest inaczej – nieznacznie się zbliżę, dotknę trudniejszego tematu, napotykam ścianę. Albo rozmówca przechodzi na kaszubski i mówi coś, czego nie rozumiem. Zdarzy się, że kontakt, bez słowa wytłumaczenia, nagle się urywa.

– Kaszuba, człowiek małomówny i pamiętliwy, z korzeniami zapuszczonymi pięćdziesiąt metrów w głąb, wie, że jeśli chce mieć spokój, wystarczy o innych nie mówić. – Roman Kościelniak, były już lokalny dziennikarz, zaprasza do siebie, częstuje obiadem. – Jesteś obca i będziesz, choćbyś – jak ja – przeżyła tu prawie czterdzieści lat. Kiedy Kaszuba objął jakiś urząd? Dopiero w 1991 roku Józef Borzyszkowski został wicewojewodą. Naczelników, odpowiedników dzisiejszych wójtów, przywożono w teczkach. Przez lata pomijani przy obsadzaniu stanowisk, nie ufają instytucjom, bo instytucje przez lata nie ufały im. Tutaj prawie każdy wszystko o wszystkich wie, ale nie znaczy to, że będzie o tym opowiadać.

– Ty też?

– Ja też.

Tego lata znajoma przedstawia mnie grupie przypadkiem spotkanych miejscowych, wśród których jest wójt. Mówię, że zbieram materiał o lokalnej społeczności. Na te słowa jeden z mężczyzn robi krok w moją stronę i niemalże wykrzykuje, że się nie zgadza, by „ktoś z zewnątrz" wtrącał się w ich sprawy. Dwa miesiące później przesiaduję w uczelnianej czytelni. Kiedy wracam po kolejną książkę, gdańska bibliotekarka pyta, dlaczego sięgam po pozycje o Kaszubach. Szukam prawdy społecznej, odpowiadam. Kobieta wybucha śmiechem.

– Tu jej pani nie znajdzie.

– A gdzie?

– Na przykład u mnie.

Zanim zdążę o cokolwiek zapytać, opowiada, że pochodzi spod Sierakowic. Dziadek był w Wehrmachcie, babka nie doczekała końca drugiej wojny z powodu zapalenia płuc. Zostawiła kilkoro potomstwa, w tym matkę bibliotekarki. Dzieci wzięli pod dach okoliczni gospodarze i wysłali do pracy. Bite i głodzone przetrwały, ale rany, które pozostały, okazały się nie do zaleczenia.

– Wujek, brat matki, wziął za żonę kobietę, która też się nad nim znęcała i morzyła głodem – mówi szybko, wręcz pośpiesznie. – Ciotkę mąż bił tak, aż połamał jej żebra. Gdy powiedziałam, że powinna od niego odejść, spojrzała zaskoczona: „Odejść? Przecież przysięgałam w kościele". Z tego samego powodu moja matka nigdy nie rozwiodła się z ojcem. Dopiero ja się wyłamałam, po trzydziestu latach trudnego małżeństwa. Wszystkie kobiety w rodzinie uważają, że popełniłam błąd. Ale „co ludzie powiedzą", to już nie mój problem, wyprowadziłam się do miasta. Spotkajmy się, opowiem pani, jak u nas traktowano samotne kobiety czy te z dziećmi pochodzącymi z wojennych gwałtów.

Umawiamy się na kolejny weekend. Trzy dni wcześniej telefon:

– Nie mogę, za wcześnie. Tak, wiem, że anonimowo. Moja matka się temu sprzeciwia. O rodzinie i sąsiadach się nie rozmawia.

Nikt nie powinien być sam

Do szkoły i ze szkoły chodziło się na piechotę, dokładnie sześć kilometrów. A po szkole na pole, dlatego Bogumiła Maciszka, rocznik 1938, postanowiła, że zostanie sołtyską.

– Denerwowało mnie, że z innych wsi dzieci pekaesem jeżdżą. – Maciszka, kobieta o całkowicie białych włosach, przyjmuje mnie w przedsionku, w którym stoją dwa fotele i stolik do kawy. – Moi synowie na piechotę kończyli podstawówkę i szkołę średnią. Gdy przyszły wnuki, poszłam do gminy. Powiedzieli, że jeśli chcemy przystanek, musimy założyć sołectwo. Zebrałam podpisy, zrobiliśmy zebranie. Ludzie wybrali Maciszkę, a za godzinę było powtórne głosowanie. Szło o to, że nie wygrał chłop. Bo „kobieta to kobieta" – gadali – a to nie jest prawda. Charakter i obrotność mają znaczenie. Znów dostałam najwięcej głosów.

Zebranie, w którym udział wziął także Witold Sapała, odbyło się w styczniu 1990 roku. I dało początek nie tylko przystankowi, ale i kanalizacji, telefonom, oświetleniu oraz łataniu dziur w mostach, przez które konie łamały sobie nogi. Bogumiła Maciszka była drugą sołtyską w gminie[6] i pierwszą z prawem jazdy. Na kurs zapisała się już w 1972 roku. Ludzie pytali: „Baby będą teraz samochodami jeździć?".

– Kupiliśmy z mężem dużego fiata. Jak ja się cieszyłam! – Aż jej się oczy świecą. – Nic nie stukało, nic nie pukało, ładny taki. Siadałam za kierownicą i wracałam rozładowana, taka odpoczęta. To były ciężkie czasy, pole, nie pole, kobieta wszędzie robiła. A do tego dom i dzieci. Teraz kombajn wjedzie, a ludzie i tak narzekają. Czasem kobiety przychodziły i się skarżyły, że ciężko mają. Tylko co ja mogłam? To nie były łatwe czasy. Młoda dziewczyna dostawała miesiączkę i od matki w twarz, bo od teraz ma sobie radzić. Jak kobiety miały dni płodne, a na dzieci już nie mogły

sobie pozwolić, na noc szły do sąsiadki. Myśmy wiedziały tyle, ile żeśmy ze sobą porozmawiały. Dzisiaj młodzi po nowemu się układają, z turystkami się spotykają, jedynie nadal nie wypada się wtrącać. Bo później kłótnie są albo cokolwiek.

Rodzice Maciszki na tereny nadmorskie przenieśli się z Nadola, małej wsi położonej na zachodnim brzegu Jeziora Żarnowieckiego. Miejscowość przed pierwszą wojną należała do państwa pruskiego. Po jej zakończeniu, gdy Polska odzyskała niepodległość, miała wrócić do Rzeczypospolitej. Ale nową granicę przeprowadzono przez środek jeziora i Nadole ponownie trafiło do Niemiec. Mieszkańcy decyzję oprotestowali, Żarnowieckie wraz z pięćdziesięciometrowym brzegiem i wsią przypadło Polsce, a to, co naokoło wsi, pozostało niemieckie. Połączenie z krajem? Przez wodę lub eksterytorialną drogę.

Gdy rozeszło się, że kilkanaście kilometrów dalej można wziąć ziemię po niemieckim rodzie von Krockow, rodzice Maciszki wynieśli się z Nadola. Była połowa lat trzydziestych, przyszli też inni osadnicy, w tym Jamrozowie spod Kielc. Domy stawiali wzdłuż piaszczystych dróg albo tam, gdzie jeszcze niedawno stały szopy i pasały się owce.

Maciszka: – Płasko czy górzyście, ludzie brali ziemię i budowali gospodarstwa. Dlatego ta wieś taka roztrzęsiona. Po latach każdy dokupywał grunt i dawał dzieciom. Tu, jakby się dobrze przyjrzeć, prawie wszystko rodzina.

Męża (kuzyn szwagra) poznała na weselu siostry.

– Pięć lat na mnie czekał, bo skoro siostra wyszła za mąż, ja musiałam zostać na gospodarstwie. Po pięciu latach, gdy następna siostra podrosła i mogła pracować, mama pozwoliła na wesele. Najmłodsza zawsze opiekowała się niemowlętami. Męża miałam dobrego, nie musiałam wokół niego robić. Wyprałam, wyprasowałam, jemu i synom, ale to tyle. Mąż lepiej dbał o swoje rzeczy niż ja.

Oszczędny i skromny, opowiada Maciszka, tylko nad wyraz wrażliwy.

– Szybko się obrażał. Doświadczenia miał niełatwe. Ósemka czy dziewiątka rodzeństwa ich była, wszyscy w trakcie wojny zostali

wywiezieni do obozu w Potulicach.

Mąż Maciszki wspominał potem głód, przez który wyrwał siostrze kawałek chleba i pośpiesznie wcisnął do ust. Gestapowcy podeszli i zlali chłopca pasem na oczach dziewczynki. Płakała podwójnie: bo głodna i brat bity.

– Ja mu tłumaczyłam: „Co ty się martwisz, wybij to sobie z głowy. Co było, nie wróci". Ale on nie umiał. Cała rodzina wróciła taka podenerwowana.

Maciszka, która ugości mnie jeszcze nie raz, o Sapałach rozmawiać nie chce. Sołtysce po nazwiskach nie wypada. Tylko jedno powie:

– Nie wiedzieliśmy, że tam się takie rzeczy działy. My nie.

Wychodzę od niej, idę do zaparkowanego niedaleko auta. Słońce pali, mrużę oczy. Sąsiad Maciszki gładzi dłonią lakier, na policzkach wypieki. Krok chwiejny, pierś odsłonięta. Zaprasza na podwórko, po około dziesięciu minutach rozmawiamy o Sapałach.

– Oczywiście, że ich znam, już mówię, o co chodzi. – Ręce wkłada w kieszenie dżinsów, odchyla się lekko do tyłu, lustruje mnie wzrokiem od góry do dołu. – Ona się zmówiła z policjantem. Zmyślili i wsadzili Mariusza. Po co? Dla pieniędzy. Każdy pani to powie.

*

Także w 1990 roku sołtyską zostaje mieszkająca kilka kilometrów dalej Bronisława Roeske. Rocznik 1943, jasne włosy upięte w luźny kok, łagodne rysy, beżowa spódnica.

Matka Roeske urodziła się pod Rzeszowem i miała dwadzieścia osiem lat, gdy wyjechała na służbę pod Gdynię. I może dwa więcej, kiedy poznała męża. W 1949 roku wynajęli pokoje blisko morza, niedługo potem dostali łąkę po niemieckim gospodarzu. Do pierwszej pracy – w zakładzie torfowym – Bronisława Roeske poszła w wieku lat dziewięciu.

– To od matki nauczyłam się, by nie narzekać. – Rozmawiamy w małym pokoju za kuchnią, gdzie jej syn skrobie ryby w głębokim szarym zlewie. –

Miała nas szóstkę i masę roboty. Nikogo nie zdołała poznać. Po kaszubsku mówiła tylko trochę, plątała, nie umiała jak ojciec. Nie wiem, dlaczego nie miała koleżanek, nie powiedziała. W 1990 roku sołtys zrezygnował, ludzie przyszli zapytać, czy chcę. Rozmyślałam, wzięłam. Potrzebowaliśmy chodnika do Karwi. Bo idąc do kościoła czy szkoły, szło się bokiem ulicy. Sołtysowałam przez dwadzieścia pięć lat, choć to całodobowa praca społeczna. Ale wtedy inaczej to wyglądało. Co zarządziłam, było. Teraz każdy testy chce robić, a jak powiesz: „Do roboty", nikt nie przyjdzie. Czy byłam kiedyś na wczasach? Nie mam chęci wcale. Syn z żoną czasem pojedzie wypocząć, pięć dni i wracają. Moi mężczyźni robią w domu. Najmłodszy wypierze i ugotuje, kiedy jestem chora. Skoro u mnie jest dobrze, wszędzie być powinno. Inne czasy, pani kochana. Kobiety nie chcą już same wszystkiego robić. Chodzić do obory czy w pole też nie. Kiedyś bardziej mężczyźni rządzili, a dzisiaj wspólnie.

Roeske mówi, że sąsiadki nigdy się nie skarżyły. Ale przyznaje też, że „na takie tematy się nie gada".

– Może która by powiedziała, gdyby mocno było. Wtedy by ode mnie usłyszała, że ma iść na policję. Tylko czy by poszła? I co ta policja by zrobiła? Ale też nie słyszałam, żeby tu ktoś taki był. Każdy ma swoje zajęcia, nikt nie przyjdzie powiedzieć, że sąsiad się kłóci. Kto pić chce, pił będzie. Ja się nie wtrącam. Nawet bym nie miała śmiałości pytać.

Następczynią Roeske została krewna Sapałów. Jej mąż u nich bywał, pomagał Witoldowi, brat dzierżawił od niego ziemię. Mężczyza zatrudniał Mariusza, a po wyroku za bezcen kupił kawałek ziemi należący do Stacha i Ryśka. Syn pracuje w policji. Nie chcieli rozmawiać. We wsi mówią, że bronią Mariusza, nie chcą uwierzyć.

W drodze między jednym domem a drugim spotykam kobietę. Na oko po trzydziestce, czarne spodnie, szara bluza z kapturem. Zamiata przed domem, w oddali mąż zajęty krzątaniną. Zagaduję o jednego z Sapałów. Od razu podpowiada, gdzie go znajdę, i dodaje, że są daleko spokrewnieni. Ale nie powinno mnie to dziwić, w okolicy znajdzie się ze trzydzieści rodzin o tym nazwisku. Z Mariuszem i jego bliskimi kontaktów nie

utrzymują. Proponuję kawę, kobieta uśmiecha się porozumiewawczo i tłumaczy, że mąż by się raczej nie zgodził.

Niemała część osób, z którymi rozmawiam, rzeczywiście niewiele o nich wie. Ludzie trzymają się pokoleniowo, o czym niedługo się dowiem, i klanowo. Jednak z każdym kolejnym przyjazdem wszystko zaczyna się układać coraz ściślej, rysuję mapę powiązań, buduję relacje. Z wielu rozmów wyciągnę do tekstu jedno, dwa zdania. Większość pierwszych spotkań jest o niczym, dopiero w trakcie kolejnych dowiaduję się więcej i więcej.

Siedzimy w salonie, moja rozmówczyni, jak niemal każdy, prosi o anonimowość. Mieszka tu od urodzenia, blisko sześćdziesiąt lat. Męża poznała na dyskotece, pierwsze dziecko urodziła pod koniec lat osiemdziesiątych. Po porodzie do pracy nie wróciła. Gdy syn poszedł do szkoły, autobus, o który wystarała się Maciszka, już jeździł. Wsiadało sześcioro dzieci.

– A teraz pełny jedzie – mówi, podsuwając w moją stronę talerz z ciastkami. – Więcej młodych mieszka, nie to, co wtedy. Skąd młodzi? Głównie ze wsi lub niedalekiej okolicy. Jest też paru letników. Pole kupili, domki postawili. Teraz trudno o wieś, w której nie mieszka nikt nowy, a im bliżej Gdańska, tym więcej przyjezdnych. Z nikim się nie kłócimy, a jak inni się kłócą, to się nie mieszamy. Zresztą ludzie dziś nie mają o co: kiedyś spierali się o gospodarstwa, złościli, że ktoś za drogo zboże sprzedał. Dziś tego nie ma. Wszyscy się znamy, ewentualnie może być tak, że najstarsi nie będą znali młodych, bo dziewczyna wyszła za mąż i ma obce nazwisko.

Można by zatem pomyśleć, zauważam, że wszyscy wszystko o sobie wiedzą.

– Wszystko to nie – wtrąca mąż, który przed chwilą przyniósł nam kawę, a jego żona dodaje, że tyle, co na radzie sołeckiej się porozmawia albo na dorocznym ognisku.

Ich dzieci wyprowadziły się do miasta i namawiają: „Chodźcie do nas". Ale oni nie chcą. Od ponad czterdziestu lat żyją w cichym, spokojnym

miejscu z widokiem na las. W mieście dwie, trzy godziny i od razu pulsujący ból głowy.

Mąż: – Na plażę też rzadko jeździmy. Ostatni raz, gdy rodzina z daleka nas odwiedziła. Nigdy morza nie widzieli, żeśmy im pokazali. Na wakacje też nie jeździmy, wczasy mamy w domu. Ciągle jest co robić: remont domu, warzywniak, nalewka. Dobrze nam się żyje. Dzieci podrosły, wyluzowaliśmy.

Żona: – A pamiętasz, jak przyjechali znajomi ze Śląska i zdaliśmy sobie sprawę, że Helu nie znamy?

Mąż: – Ale sąsiedzi, młodsi od nas, pokoje wynajmują, po każdym sezonie jadą gdzieś odpocząć. Teraz kolejni, też młodzi, wybierają się w Bieszczady. Nie pamiętam, żeby wcześniej ktokolwiek tak daleko jechał.

Pytam o Sapałów.

Mąż: – Pójdę zadzwonić.

Żona: – Państwo na uboczu, specyficzni. Wypić lubili, patologia trochę, ale inni tacy też by się znaleźli. Chociaż ostatnio mocno się pozmieniało. Niebieska Karta jest, można iść i powiedzieć, że ma się dosyć. Nie to, co kiedyś, że trzeba było znosić i cicho siedzieć. Moi rodzice przez lata ratowali sąsiadkę. Bieda okropna, mąż bez przerwy pijany. Do tego mieli problemy z krwią – dzieci się rodziły i zaraz umierały. Dziewięcioro urodziła, trójka przeżyła. Kiedy mąż szalał, uciekała do moich rodziców, potem wracała, bo przepraszał, ale też nie miała dokąd pójść. Ich synowie to już nowe pokolenie, nie to, co ojciec. Nie powiem, że nie wypiją, ale pozakładali firmy, rozwijają się. Inny żonę co jakiś czas widłami ganiał, po trzeźwemu przemiły człowiek. U nas we wsi złe czasy minęły. Część kobiet nawet pracuje, chociaż widać, że jak ludzie mają ograniczony budżet, to wolą zainwestować w wykształcenie synów.

I dalej: – Mariusza znałam z widzenia. Swego czasu pracował w pobliżu, dach wymieniali. Na rowerze przyjeżdżał, „dzień dobry" powiedział. Później policzyliśmy i wyszło, że to wtedy musiało się dziać. Taka historia, jakby człowiek z bajki słyszał. Policja nie raz u nich była, rodzina wzywała, kiedy narozrabiał. Mariusz wtedy do lasu uciekał, a policjanci machali

ręką. My z policją raz mieliśmy do czynienia. Zadzwoniliśmy powiedzieć, że na poboczu leży kobieta i płacze. Nie mogliśmy się z nią dogadać. Zanim się ruszyli, zdążyła się ogarnąć i odejść. Do Sapałów nikt nie chodził, najwyżej z prezentami od rady sołeckiej. W każde święta wspieramy najuboższe rodziny. Kiedy wszystko wyszło na jaw, poszliśmy, żeby Marcela sama nie została. Aż się popłakała. Chyba myślała, że wieś się od niej odwróci. A tak nie można, nikt nie powinien być sam.

– Myśli pani, że wiedziała?

– Musiała wiedzieć, co nie wiedziała?

*

Udokumentowany przypadek ostrej reakcji mieszkańców znajduję w badaniu *Kapitał społeczny wsi pomorskiej* z 2013 roku. Dotyczy Angowic, niewielkiej społeczności spod Chojnic (nieco ponad dwieście osób, południowa część Kaszub). Małe gospodarstwa, poniemieckie zabudowania. Sąsiednia wieś była siedzibą PGR-u. Choć do początku lat dziewięćdziesiątych część Angowic tam pracowała, wieś nigdy nie zaakceptowała „pegerusów": ponieważ nie pracują i kradną indyki lub granitowe nagrobki z zabytkowego cmentarza. A młodzież jest agresywna i przeklina.

Ale Angowice – jak określą mieszkańcy w rozmowach z badaczami – też kiedyś były toczone przez alkohol, biedę i konflikty. Zmianę zapoczątkowało Stowarzyszenie Rozwoju Wsi, założone w 2002 roku przez sołtyskę. I bazujący na środkach unijnych plan odnowy miejscowości (staw z karasiami, karpiami, linami, nowa ulica, chodnik). Dzięki stowarzyszeniu zaczęło też działać kółko seniora oraz różańcowe.

O aktywności wyremontowanej świetlicy w grudniu 2012 roku opowiedziała TVP. Dziennikarzy zachwyciły jasełka przygotowane przez dzieci w formie *Teleexpressu*. Sukces docenił wójt: animatorka świetlicy, urzędniczka z Chojnic, została przeniesiona do placówki w jego rodzinnej wsi.

Z fragmentu opracowania poświęconego lokalnym konfliktom wynika, że są one nieliczne, a ostracyzmu doświadczyła tylko jedna rodzina. Ludzie przestali z nimi rozmawiać, po tym jak wypędzili bociany – symbol macierzyństwa, opiekuńczości i błogosławieństwa – ze znajdującego się na ich budynku gniazda.

*

Przewodnicząca zespołu interdyscyplinarnego do spraw przeciwdziałania przemocy w rodzinie, który ma pod sobą wieś Sapałów, najpierw godzi się na spotkanie, a potem przestaje odbierać telefon. Była kierowniczka gminnego ośrodka pomocy społecznej zaprasza do swojego ogrodu i opowiada o wciąż sporej biedzie i niechęci szkół do identyfikacji problemów w rodzinach. W opiece przepracowała przeszło dwadzieścia lat, ale przez ten czas nie zauważyła, by przemoc domowa była dużym problemem. Może w latach dziewięćdziesiątych, kiedy największą bolączkę stanowiło bezrobocie. Przemoc seksualną – za jej kadencji – zgłoszono raz. Było podejrzenie, że ojciec gwałci córkę.

Sapałom próbowano pomóc, ale oni tej pomocy nie chcieli. O lejącym się alkoholu nikt nie wiedział. Mariusz? „W życiu nie uwierzę, że tam się działy takie rzeczy". Żadnej rodzinie nigdy nie zabrali dzieci i jest to powód do dumy. Ewa? Najdziwniejsze, że z Sapałami w ogóle zamieszkała. Kazirodztwo na wsi? A czy to normalne, że gej tam, gej tu?

*

Doktor Wojciech Targowski na Kaszuby sprowadził się zaraz po studiach. Żona, stomatolożka, dostała pracę w puckiej szkole, on został ginekologiem w miejskim szpitalu. Kilka lat później, w roku 1983, ściągnęła ich do siebie Krokowa. Targowski rozpoczął pracę w lokalnej przychodni, żona otworzyła prywatny gabinet.

– Słowo „gabinet” jest mocno na wyrost. – Wojciech Targowski, szpakowaty mężczyzna w letniej marynarce, poprawia na nosie okulary w cienkich metalowych oprawkach. Rozmawiamy w restauracji niedaleko domu Sapałów. – To była lepianka w sąsiedniej wsi. Porozwieszałem plakaty, po dwóch tygodniach je zdejmowałem. Tylu było chętnych.

Wkrótce został szefem przychodni, a po reformie służby zdrowia w 1997 roku jej właścicielem.

– Szło bardzo dobrze, przychodnia zaczęła się rozrastać, aż po kilku latach przestałem nad tym panować. Nie będę ukrywał: miałem problem z alkoholem. Przyjaciel zapakował mnie do samochodu i zawiózł na odwyk. Siedziałem sześć tygodni, od tamtej pory jestem czysty. Dzisiaj, jak ktoś przychodzi, od razu wiem. Czy wielu przychodzi? Nie więcej niż przeciętnie w Polsce. Gdy zacząłem prowadzić przychodnię, byłem ledwie po trzydziestce. Teraz może tego nie widać, ale mam opinię wesołka. Pacjentów traktuję bez dystansu, szybko nawiązuję kontakt. Nie wszyscy to trawią, były pacjentki, które wolały kogoś starszego. Zrobiłem specjalizację z medycyny rodzinnej, zacząłem wyrabiać sobie markę. W latach dziewięćdziesiątych było bardzo dużo tradycyjnych kaszubskich rodzin, takich z dziada pradziada. W tej chwili to się niemal zatarło – za sprawą ludności napływowej, przede wszystkim inteligencji. I jest to zasługa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Proszę się nie dziwić, zaraz wytłumaczę.

Wieś polska po wojnie to była bida z nędzą. Krokowa miała szczęście, bo ten PGR, który tu powstał, ściągnął absolwentów szkół rolniczych. Dano im mieszkania, zbudowano ośrodek zdrowia, szkołę, sprowadzono nauczycieli, bo wśród lokalnej społeczności osób w wyższym wykształceniem praktycznie nie było. Większość została stracona w Piaśnicy w latach 1939–1940. Zaczęło się coś dziać, kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych nowi mieszkańcy kupili ziemię, pobudowali domy. Tylko we wsiach dookoła nadal był niski poziom cywilizacyjny. Duże gospodarstwa, alkohol, dzieci w klasach specjalnych. Może przypadek, ale tutaj było kiepsko. A dzisiaj? Siedzę tu już ponad czterdzieści lat, od

piętnastu czuję się jak u siebie i mogę powiedzieć, że to już nie to samo. Coraz więcej ludzi chce się kształcić, studiować. Wielu mężów pracuje za granicą i przysyła pieniądze. Te nowe domy to nie tylko warszawiaków czy gdańszczan. Kto chce dobrze żyć, żyje. Wystarczy nastawić się na turystów. Albo założyć plantację owoców. Pracowników nie brakuje, przyjeżdżają z Ukrainy, Bangladeszu, Nepalu, Mołdawii. A Sapałowie, bo o nich chce pani rozmawiać, nigdy dobrze żyć nie chcieli. Można powiedzieć, że od czterech pokoleń funkcjonują dzięki opiece społecznej. Do tego trudności w szkole, niepełnosprawności intelektualne. Mariusz był u mnie chyba raz, po jakieś zaświadczenie. Pani Ewa przychodziła tylko z dziećmi: na szczepienia, raz czy dwa rozchorowała się córka. Myśmy nic nie wiedzieli. Czy wiedzieć powinniśmy? Takich rodzin, o których się różnie mówi, nie zawsze prawdziwie, jest sporo. Tylko co z taką plotką zrobić? Gdy oficjalnie pani zapyta, nikt niczego nie potwierdza. I to jest atmosfera, która znieczula.

– To znaczy? – pytam.

– Uczy udawania, że się nic nie widzi. Dlatego ja to przyznam: powinienem mieć wyrzuty sumienia. Widziałem w gospodarstwie Sapałów biedę i nic konkretnego nie zrobiłem. Tylko jak pomóc ludziom, którzy pomoc odrzucają? Przeżyliśmy w gminie kilka akcji z odbieraniem dzieci. W jednej rodzinie warunki były gorsze niż u Sapałów. Dzieci trafiły pod Koszalin. A potem były kontrole, komisje i pytania: „Dlaczego wyście te dzieci zabrali?". Choć to była decyzja sądu. Na wniosek, ale sądu.

Osoba z zewnątrz

Kilka osób radzi, bym zwróciła się do jednego z nielicznych w tej części regionu Centrów Interwencji Kryzysowej. Podczas rozmowy telefonicznej dowiaduję się, że problem „zawsze był spory" i zwykle występuje tam, gdzie przeważa patriarchalny model rodziny, a przemoc i agresja stanowią atrybuty męskości. Wiek różny, nie ma reguły. Zwykle dotyczy domów, gdzie przemoc występowała od lat, ale nigdy nie została zgłoszona.

Dotyka kobiet i dzieci, czasem osób starszych lub z niepełnosprawnościami, pojedynczo mężczyzn. Odpowiedzialność za zaniedbania zrzuca się na opiekę społeczną, a ta jest niedofinansowana i cierpi na braki kadrowe. Jednocześnie kierowniczka przyznaje, że u pracowników brakuje świadomości wartości szkoleń i przygotowania do współpracy z trudnymi rodzinami. Ale co robić? Zespoły się starzeją, a studenci do pracy socjalnej się nie garną.

– W małych miejscowościach ludzie zaczynają pracę i zostają na stanowisku w opiece do emerytury – uzupełni później Renata Durda, certyfikowana superwizorka i specjalistka do spraw przeciwdziałania przemocy w rodzinie. – W efekcie sąsiadka zagląda do domu sąsiada albo koleżanki ze szkoły. To budzi różne uczucia, trudno zachować obiektywizm. Nie są to też osoby wolne od własnych problemów, o czym środowisko, małe i zamknięte, wie. Do tego każdy ma swój próg wytrzymałości. Pracownicom i pracownikom socjalnym nie zapewnia się ustawowo superwizji, żadnej możliwości profesjonalnego przepracowania traum podopiecznych. Chyba że kierownictwo będzie mieć świadomość takiej potrzeby. Nasze oczekiwania w stosunku do tej instytucji są nierealistyczne.

Inne problemy, jakie nakreśla moja rozmówczyni z CIK-u: nie wszystkie gminy stać na mieszkania i punkty interwencyjne, jest kłopot ze stałą (częściej niż raz w miesiącu) darmową opieką psychologiczną dla osób doświadczonych przemocą. Nikt też nie dostrzega trudności z dojazdem z obszarów wiejskich do psychoterapeuty lub radcy prawnego. Prawo się zmienia, policja może już wydać nakaz natychmiastowego opuszczenia lokalu przez sprawcę przemocy, ale – zauważa – w małych miejscowościach bywa to problematyczne. Kobiety żyją na ojcowiźnie męża, z teściami i dziećmi. A mieszkań socjalnych brak. Jednak samoświadomość wzrasta, z interwencyjnego hostelu skorzystała ostatnio matka z bardzo małej miejscowości. Rośnie społeczna presja, więc ludzie stają się bardziej uważni. Zaczynamy zdawać sobie sprawę, że na przemoc, szczególnie fizyczną, nie ma przyzwolenia. Być może z tego powodu w statystykach zaczyna dominować ta psychiczna.

Proszę urzędniczkę o spotkanie i możliwość zacytowania. Słyszę: „Lubię zajmować się przemocą, ale nie lubię o niej informować". Dostaję jeszcze mail, że według gminnego prawnika „osobiste opinie" urzędniczki to nie są dane, które można publikować w reportażach. Dowiaduję się też, że byłoby łatwiej, gdybym była reporterką lokalną.

Swoje trudności relacjonuję Cezaremu Obrachtowi-Prondzyńskiemu, socjologowi i antropologowi z Kaszub. Profesor tłumaczy: – Bardzo wiele osób zajmujących się, i to często skutecznie, różnymi obszarami patologii nie chce o tym opowiadać. Uruchamia się wstyd, obawa przed stygmatyzacją społeczności, ale też niepokój o reakcję zwierzchników i samej wspólnoty. Stwierdzenie „osoba z zewnątrz" oznacza brak pewności, co pani z tą wiedzą zrobi. Rodzi to określone konsekwencje: jeśli danego zjawiska nie nazwiemy, to go nie ma.

Od 2005 roku istnieje Krajowy Program Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie. W regionach koordynują go wojewodowie, pomorskie raporty od lat pilotuje ta sama urzędniczka. Ma wiedzę i doświadczenie, co słychać, kiedy dzwonię zapytać o statystyki. Ustalamy, że zapytam biuro prasowe

wojewody (z PiS-u) o możliwość spotkania. Po przeszło miesiącu otrzymuję odpowiedź, że nie wyrazili zgody. Mogę pytać tylko mailowo.

Wpadam na pomysł, by przeprowadzić badania w kaszubskich prokuraturach. I występuję o zgodę do prokuratora okręgowego. Wcześniej sonduję, czy to dobry pomysł. Na wysokich stanowiskach głównie kobiety.

– Miałam ostatnio spotkanie z sołtysami i wójtami z obszaru naszego działania – mówi jedna z nich. – „Panowie, zauważam, mamy problem. Nie ma tygodnia bez sprawy o znęcanie i molestowanie dzieci. To nie jest normalne". Zaczynają wodzić wzrokiem po suficie, temat się urywa.

Kolejna: – Wcześniej pracowałam w Trójmieście. Byłam przekonana, że między tymi światami nie ma różnicy. I się zdziwiłam. Przemocą seksualną i pedofilią zastępczą. Dziewięćdziesiąt procent przypadków wykorzystania dzieci to sytuacje, gdy mężczyzna nie ma możliwości współżyć, bo na przykład żona odmawia, i on wybiera dzieci. Do tego wysoki poziom alkoholizmu, rosnąca liczba samobójstw. To w tych rodzinach najczęściej dochodzi do nadużyć. Czy te kobiety wiedzą? Muszą wiedzieć, choćby podświadomie. Bierne, niesamodzielne, wymęczone, przychodzą w ostateczności i po wielu latach. A później nierzadko sprawę wycofują, bo dociera do nich, że nie mają za co żyć. By tego tak nie zostawiać, zawiadamiam sąd rodzinny. Kiedyś w obronie ojca krzywdziciela przyszło do prokuratury pół wsi. Żądali uwolnienia, został niesłusznie oskarżony. Pomyślałam wtedy, że przyprowadziły ich wyrzuty sumienia. Mówi się wśród prokuratorów o małej wsi, enklawie, gdzie od pokoleń dochodzi do kazirodztwa. O tym trzeba pisać, mówić. Na Śląsku czy Podhalu, wszędzie tam, gdzie potworzyły się grupy zamknięte, bywa podobnie.

Prokurator okręgowy Michał Kierski najpierw reaguje pozytywnie na moją prośbę, a potem dostaje odgórny prikaz i pisze za pośrednictwem rzeczniczki, że prokuratorzy rejonowi z terenu Kaszub nie mogą się ze mną spotkać: mają za dużo obowiązków.

– To może były szef Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wieżycy? – proponuje znajoma spod Kartuz. – Kierował nim przez trzydzieści pięć lat, odważny i ma rozeznanie w kaszubskiej społeczności.

Fundacja Kaszubski Uniwersytet Ludowy koncentruje się na projektach edukacyjnych, warsztatach, aktywizacji zawodowej kobiet. Zwykle zaprasza uczestniczki do siebie, ale bywa, że pracownicy tej instytucji sami do nich jadą. Kobiety z Sierakowic, do których KUL kiedyś się zwrócił, nigdy nie wyjechały poza swoją miejscowość. Dlatego przedstawiciele fundacji pojechali do nich. Zdarzyło się też, był to rok 2010 lub 2011, że uniwersytet zaprosił księdza. Jego rolą było wytłumaczenie uczestniczkom, że w Biblii nie jest napisane, że zawsze trzeba spełniać potrzeby seksualne męża.

– Przepraszam, zbyt trudny temat. Nie czuję się gotowy – odpowiada były prezes uniwersytetu na moją propozycję rozmowy o problemach społeczności kaszubskiej.

Zaproszonym wówczas duchownym był wyświęcony w 1983 roku ksiądz prałat Bogusław Głodowski. Kapelan pomorskiej policji, wieloletni duszpasterz uzależnionych. Historyk i regionalista, w 2013 roku obronił pracę doktorską na gdańskim uniwersytecie. Bardzo wysoki, skupione spojrzenie, ciemne gęste brwi. Pochodzi z Sulęczyna, półtoratysięcznej i popularnej wśród turystów kaszubskiej miejscowości położonej nad rzeką i między jeziorami. Co roku odbywa się tam międzynarodowy festiwal jazzowy.

Spotykamy się w salce parafialnej gdańskiego kościoła, który ksiądz wybudował i gdzie teraz (w roku 2021) rezyduje. Po przedstawieniu tematu rozmowy wzdycha.

Przyznaje, że społeczność jest zamknięta i nadal znajdą się przedsiębiorcy, którzy nie będą chcieli współpracować z nie-Kaszubą. Albo nie-Kaszubie sprzedać ziemi. Także w Sulęczynie widzi, że tych kilkanaście rodzin, które wprowadziły się dziesięć, piętnaście lat temu (najpierw sezonowo, a po przejściu na emeryturę na stałe), nie skleiło się

ze społecznością. A ich ewentualne pomysły wzięte z miasta (na przykład dotyczące szkoły) przyjmowane są z rezerwą.

I on kilka lat temu, gdy opisywał losy tamtejszej parafii, został przez mieszkańców pouczony. Ponieważ – cytując dokumenty pochodzące z międzywojnia – zdradził nazwisko mieszkańca znajdującego się na liście dłużników właściciela ziemskiego. Pytali: „Po co inni mają wiedzieć, że byliśmy winni kilka jajek?".

– Ich zdaniem naruszyłem dobre imię – tłumaczy duchowny. – A przecież moja babcia nie zapłaciła za dzierżawę ziemi, bo wolała nakarmić rodzinę. Dla mnie bohaterka.

Jeśli ma powiedzieć, co odgrywa kluczową rolę w życiu religijnym i społecznym Kaszubów, odpowiedź brzmi: Kościół katolicki. Bo to Kościół pomógł Kaszubom w przeszłości podtrzymać polską tożsamość i jedność, między innymi dzięki dobrze zorganizowanej sieci parafii. A Pismo Święte do dziś jest ważnym źródłem zasad i obowiązków. Szczególne miejsce w kulturze kaszubskiej zajmuje kobieta. Wystarczy spojrzeć na cześć oddawaną Matce Boskiej i wysoką pozycję kobiet w domach, szczególnie babć.

– Najstarsza kobieta w rodzinie zawsze miała dużo do powiedzenia i jeszcze nie tak dawno, w domach wielopokoleniowych, gdy wchodziła do pokoju, z szacunku mężczyźni wstawali od stołu – opowiada ksiądz Głodowski. – Rodzina to fundament trwania wspólnoty kaszubskiej.

Kiedyś kobiety dzwoniły po dwudziestu latach, dziś proszą o wsparcie już po kilku. Jedna odezwała się dzień po ślubie. Pomoc: grupowe spotkania w salce parafialnej, nauka, że uczucia to nie słabość, praca nad dystansem emocjonalnym, obozy letnie dla dzieci.

– To, co się nie zmienia na polskiej wsi, to lęk przed oceną – mówi duchowny. – Ludzie się porównują. Na północy Kaszub czuć to najbardziej. Do dziś osoby, które zgłaszają się do AA, wożę do innej gminy. Bywa, że pierwsze nasze spotkanie odbywa się na środku pola. Żeby nikt nie usłyszał. W Sztutowie mężczyzna popełnił samobójstwo. Przyczyną był alkohol. Zorganizowałem nabożeństwo w intencji rodzin, pomodlimy się

o trzeźwość, zapowiedziałem. Dodałem, że kto ma problem, może się do mnie zgłosić. Pół wsi usiadło w oknach i obserwowało, kto idzie. Już tak nie robię. Organizuję spotkanie i podrzucam ulotki.

Opowiada o Donacie (imię zmienione): choć na wsi o terapii nikt nie chce słyszeć, Donatę udało się namówić. Poszły też jej dzieci, dziś już pełnoletnie. Nabrała siły i zaczęła od tego, że przestała pijącemu mężowi gotować obiady. Wieś się dowiedziała i przestała z Donatą rozmawiać. A gdy poszła do gminy, żeby skierowali męża na leczenie, usłyszała, że nie ma co sprawy nagłaśniać. Wytrzymała, wyremontowała dom, wyprowadziła męża do osobnej części. Cztery lata później zadzwoniła do księdza kolejna kobieta z tej miejscowości.

Ksiądz Głodowski przyznaje, że choć następuje wymiana pokoleniowa, przybywa ludności napływowej, a wieś wsi nierówna (niektóre biedne, zaniedbane, inne przedsiębiorcze, rozwojowe), to przemocy domowej wciąż jest dużo. Zdążę go jeszcze zapytać o przyczyny tej przemocy. Usłyszę, że problem tkwi w powielaniu wzorców z dzieciństwa – szczególnie przez kobiety.

*

Lato 2019 roku, skraj powiatu wejherowskiego. Krystyna Lewna (rocznik 1977), spokojna, pewna siebie blondynka, siedzi na tarasie i zaciąga się cienkim papierosem. W oddali stado krów na rozległym pastwisku, wieje przyjemny zachodni wiatr. Widzi mnie i od razu prowadzi do kuchni. Gdy kończę jeść, rzuca:

– Mów, co chcesz wiedzieć.

Przyjechałam, bo jest nauczycielką języka polskiego i wielokrotnie nagradzaną pisarką. Pierwsze opowiadanie napisała przed ponad dwudziestu laty, wyróżnia się, bo jedyna ujawnia w literaturze kaszubskiej sytuacje będące dotąd tabu. Publikuje wyłącznie w języku regionu, bo ten „najlepiej oddaje zobojętnienie".

Początkiem wszystkiego był dla Lewny Jan Drzeżdżon (1937–1992), pisarz z jej rodzinnego Domatowa w gminie Puck, który także dotykał tabu. Pokazywał, że osoby nieheteroseksualne, posądzane o roznoszenie różnych chorób, musiały odchodzić ze społeczności, a nawet traciły życie. Obrazował psychozę wyrzucania poza nawias kobiet posądzanych o czary. Pisał, że podobny los spotykał niezamężne ciężarne. W powieści *Okrucieństwo czasu* dotknął tabu kazirodztwa. Nie wszyscy mu wierzyli.

Opowiadania Lewny są równie realistyczne, a kobiety w nich występujące podporządkowane mężczyznom. Teściowe niesolidarne, matki uległe. Jeśli jej bohaterki próbują się przeciwstawiać, otoczenie wymusza na nich odgrywanie przyjętych w społeczności postaw. Pisarka krytykuje patriarchat, zarzuca dyskryminację, zmowę milczenia. Nie ogranicza się do opisywania tylko złego losu kobiet. W *Snienim* niepełnosprawnym mężem pogardza żona Grażyna.

W *Péda* śledzimy życie Stazji i lubianego we wsi Macka. Symbolem jego władzy jest tytułowy i stojący w kuchni woli ogon. Gdy żony w pobliżu nie ma, Mack zabija kota.

– Opowiadanie napisałam na podstawie relacji pani M. – mówi Krystyna Lewna. – Przestał bić, gdy odszedł do młodszej. Tą młodszą była jego córka. Zamieszkali kilka domów dalej. Dziewczyna rodziła kolejne dzieci, nikt nie reagował. Na faktach oparłam też między innymi *Zëdzier*, gdzie bohaterka latem nocuje w zbożu. W ten sposób pani A. chroniła ciążę przed ciosami w brzuch. Moje opowiadania to nie reportaże, ubarwiam je, ale inspiracją jest codzienność, także współczesna, choć to głównie historie zapamiętane z rozmów matki i babki. Chodziły na różaniec, a po powrocie dzieliły się opowieściami. Zaczęłam o tym pisać, bo zmęczył mnie mit silnej pozycji kobiety na Kaszubach. Oczywiście ten obraz, szczególnie obecnie, jest dużo bardziej zniuansowany, wiele rodzin w ryzach trzymały i trzymają kobiety. Ale czy ich zaradność i chęć przetrwania świadczą o silniejszej pozycji? Wiedziałam, że za swoje teksty w końcu zostanę skrytykowana. Zaskoczyło mnie, gdy zrobiła to kobieta.

W marcu 2019 roku w „Stegnie", literackim dodatku do miesięcznika „Pomerania" wydawanym przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, pojawił się tekst pod tytułem *Krystyna Lewna jako kaszubska feministka*. Autorka analizuje w nim opowiadania Lewny. I uznaje, że pisarka przesadza, a może nawet zmyśla, choć słowo to nie pada wprost.

Według Aleksandry Majkowskiej u Lewny jest tego za dużo: kobiety nie wykonują pracy zarobkowej, przemoc to codzienność (wyrażana choćby poprzez ciągłe zaniżanie samooceny), nie brakuje okrucieństwa. Jakby według pisarki – argumentuje Majkowska – cały świat przesycony był cierpieniem, a kobiety odchodziły od mężów tylko w ostateczności. A skoro taki obraz kaszubskich kobiet przewija się w niemal wszystkich tekstach, rodzi się pytanie o to, w jakim stopniu literatura Krystyny Lewny ukazuje rzeczywistość. Część opowiadań toczy się przecież współcześnie.

„Czy jest to tylko fikcja, czy rzeczywiście na Kaszubach jeszcze w dzisiejszych czasach powszechny jest tak bardzo patriarchalny model rodziny i przemoc wobec kobiet? – pyta Aleksandra Majkowska. – Bez wątpienia udałoby się znaleźć patologiczne przykłady, ale badania socjologiczne przeprowadzone w XXI wieku przeczą obrazowi kaszubskiej rodziny prezentowanemu w opowiadaniach Lewny [...] istnieje wciąż problem zdecydowanie większego wkładu kobiet w prace domowe i wychowywanie dzieci, ale ta sytuacja w szybkim tempie się zmienia [...] te obowiązki cieszą się coraz większym społecznym prestiżem. [...] kobiety coraz powszechniej przejmują władzę w swoich wioskach i zostają sołtyskami, poza tym zmonopolizowały życie społeczne za sprawą niezwykłego wzrostu popularności Kół Gospodyń Wiejskich lub Miejskich, jakie pozwalają na realizację pasji kulturalnych, np. teatralnych, malarskich, literackich itp.". Majkowska dodaje jeszcze, że także w rolnictwie wiele kobiet ma poczucie równorzędności.

Lewna: – Gdy Drzeżdżon, a także pisarz Artur Jabłoński zaczęli łamać tabu dotyczące seksualności na Kaszubach, które obowiązuje do dziś – bo żaden słownik kaszubski nie zawiera jednoznacznej definicji słowa „seks" – oskarżani byli o szerzenie pornografii. Kaszuby, jak i Polska, ulegają

przekształceniom. Słabnie pozycja Kościoła, rośnie finansowa niezależność kobiet. Ale nadal tkwimy w wielu krzywdzących poglądach, godzimy się na dominację. W radzie gminy Lipnica (powiat bytowski) zasiadają sami mężczyźni. Garstka kobiet pełni funkcje wójtów czy burmistrzów. Jeszcze nie tak dawno domy pełne przemocy istniały w każdej polskiej wsi, a bicie było środkiem wychowawczym. Sprowadzanie zjawiska wyłącznie do patologii pozwala się tym nie zajmować.

*

> Szacuje się, że w 40 procentach rodzin wiejskich regularnie dochodzi do różnych aktów przemocy i może ona przybierać okrutne formy, trudno jednak o konkrety. Nie ma badania, które by scharakteryzowało zjawisko oraz jego skalę na tych obszarach. W 2015 roku Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi zaoferowało grant na jego realizację, ale nikt się nie podjął. Jedno z nielicznych badań przeprowadziło Szczecińskie Towarzystwo Psychologiczne. W raporcie opublikowanym w roku 2018 czytam, że według respondentów przemoc w rodzinach mieszkających na wsi zachodniopomorskiej jest powszechna i z całą pewnością wzrost ujawnianych przypadków nie oddaje natężenia zjawiska.

Luka badawcza bierze się z trudności – na wsi ciężej dociera się do ofiar i panuje większy lęk przed stygmatyzacją. Wpływ ma też kwestia upolitycznienia przemocy domowej jako zjawiska burzącego wyidealizowany obraz rodziny, dlatego badacze podkreślają, że wszelkie szacunki z pewnością nie odzwierciedlają skali problemu. I uczulają, by programy mające powstrzymać przemoc na wsi uwzględniały specyficzne cechy struktur społecznych i stylu życia, a zatem izolację, większy konserwatyzm i tendencję do podporządkowywania interesów jednostki interesom grupy.

Ze statystyk za rok 2019[7] wynika, że na Pomorzu – liczącym dwa miliony trzysta tysięcy mieszkańców – procedurę Niebieskiej Karty, uruchamianą, gdy zachodzi podejrzenie, że w rodzinie dzieje się źle,

przeprowadzono cztery tysiące siedemdziesiąt sześć razy (kraj: ponad dziewięćdziesiąt tysięcy). Dominuje przemoc psychiczna i fizyczna, obecna jest też ekonomiczna, zaniedbywanie dzieci i przemoc seksualna. Sprawcy: głównie mężczyźni. Najwięcej kart zakłada policja, najmniej nauczyciele, sporadycznie lekarze. Czasem opieka.

– Niektórzy nauczyciele z małych miejscowości tłumaczą to wprost: bo musieliby zgłosić rodzinę znajomych, a szybko się rozejdzie, kto zawiadomił. – Renata Szredzińska pracuje w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. – Z kolei lekarze twierdzą, że nie mają czasu, bo wszczęcie procedury oznacza zeznania. W dokumentacji zapisują charakter urazu, a nie jego przyczynę. Brakuje świadomości, że dziecko czy bita matka są ważne. Opieramy się też wprowadzeniu systemowej analizy przypadków, wzorem Wielkiej Brytanii, która pomaga szybko diagnozować, aby dana instytucja mogła wyłapać nieprawidłowości. Żyjemy w kulturze nieprzyznawania się do błędu, co uniemożliwia nam realne przeciwdziałanie.

Według krajowych danych więcej kart zakładanych jest w miastach (różnica wynosi jedenaście tysięcy egzemplarzy), ale lokalnie wygląda to inaczej: na przykład w powiecie kartuskim, od stycznia do października 2016 roku założono ich sto trzydzieści, z czego sto cztery na terenach wiejskich. Dwa lata później – tym razem według statystyk tamtejszej policji – pokrzywdzone w wyniku przemocy domowej były tam sto sześćdziesiąt dwie osoby dorosłe (w tym dwudziestu jeden mężczyzn i piętnaście osób starszych) oraz ośmioro dzieci. Z kolei ze wsparcia kartuskiego CIK-u skorzystało trzysta sześć osób, w tym sześćdziesięcioro ośmioro dzieci, a prokuratura zarejestrowała sto dwadzieścia dziewięć spraw o znęcanie się (w roku 2021 o piętnaście więcej). Wyroki Sądu Rejonowego w Kartuzach z roku 2020: dwudziestu dziewięciu skazanych za przemoc w rodzinie, trzy wyroki za obcowanie seksualne z nieletnim. W tym czasie sporządzono sto osiemdziesiąt Niebieskich Kart. Na Pomorzu jest jedno Centrum Praw Kobiet, znajduje się w Gdańsku.

W 2020 roku w polskich zakładach karnych i aresztach przebywało niewiele ponad siedem tysięcy osób skazanych za znęcanie się. Rok

wcześniej zaledwie dwustu dziewiętnastu sprawców sądy skierowały na obowiązkową terapię. Rzecznik Praw Obywatelskich wielokrotnie apelował, by sądy częściej korzystały z tego uprawnienia.

Jak niewiele wiemy, pokazuje badanie z 2019 roku, przeprowadzone na zlecenie Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej: 30 procent dorosłych Polaków, czyli ponad dziewięć milionów, przyznało, że było sprawcami przemocy w rodzinie. Około sześć milionów występowało w tej roli kilka lub wiele razy. Dla ponad trzech milionów różne zachowania przemocowe są normalne. Niemal co trzeci badany doświadczył bicia lub obrażania w dzieciństwie.

Nie ma ujednoliconego banku danych dostępnego dla wszystkich instytucji antyprzemocowych, który umożliwiałby szybki przepływ informacji. Każda z nich (PCPR-y, GOPS-y, policja, prokuratura, sądy, kuratorzy) dokumentuje zjawisko na swój sposób. Nie wszyscy mają obowiązek je monitorować. W jednym z pomorskich ośrodków pomocy społecznej dowiaduję się, że nigdy nie przeanalizowano, czy Niebieskich Kart przybywa (pięćdziesiąt zgłoszeń w roku 2020 na blisko czterdzieści wsi, razem dwadzieścia siedem tysięcy mieszkańców).

– W Polsce wchodzi się do rodziny, gdy sytuacja jest już bardzo poważna – dodaje Renata Szredzińska. – Profilaktycznie nie wykorzystujemy nawet tych elementów, które już w systemie są, jak wizyty patronażowe po narodzinach dziecka. Dobrze przeszkolona położna może pokazać, jak przewijać i pudrować pupę, ale też nawiązać dobry kontakt, zwrócić uwagę na więzi w rodzinie, zaobserwować, że czegoś brakuje. Patronaż to jeden z najbardziej skutecznych programów profilaktyki na świecie. W Polsce mamy zagwarantowane cztery wizyty położnej i co najmniej jedną lekarską, co prawie nigdzie się nie dzieje. Przychodnie często nie dostają informacji od szpitali, że będą miały małe dziecko pod opieką, i czekają, aż rodzic sam się zgłosi. A wiedza o tym uprawnieniu nie jest powszechna. Część rodzin może nie chcieć wizyty patronażowej, co znaczy, że tym bardziej taka wizyta powinna się odbyć.

Ewa Kempska mieszka w Gdańsku, od 2001 roku jest psychoterapeutką i terapeutką traumy. Pracowała w zespołach do przeciwdziałania przemocy w rodzinie.

– Gdy przychodzi do gabinetu mieszkanka terenów wiejskich, opowiada o przemocy. Wychodzą problemy z empatią, emocjonalny chłód, silna presja, by nic nie wydostało się na zewnątrz. Nierzadko bagatelizowane przez otoczenie kazirodztwo. Wszystko opowiedziane po latach, po odejściu ze społeczności, przeprowadzce. Zadawałam sobie pytania o to, co podtrzymuje w małych społecznościach podobny sposób myślenia, sprzyja powielaniu określonych wzorców postępowania. Aż pojechałam na ślub syna znajomych, i to rzuciło nieco światła na organizację życia w takiej społeczności. Rok 2019, mała miejscowość pod Gdańskiem, parafia pana młodego. W trakcie kazania ksiądz zaczął od tego, że mężczyzna był ministrantem, a Bóg w domu tej rodziny gości codziennie. I wyjaśnił, że Boga podejmujemy wtedy, kiedy udzielamy gościny księdzu. Później zapytał: „Jeśli dzieje się coś dobrego, kto powinien o tym pierwszy wiedzieć? Ksiądz proboszcz. Jeśli będziesz miał kłopot z żoną, to gdzie masz iść? Najpierw do księdza. A jeśli żona szczęśliwie zajdzie w ciążę, kto będzie pierwszy wiedział? Też ksiądz". Rozejrzałam się, ludzie kiwali głowami. Po chwili duchowny zwrócił się do panny młodej: „A co, jeżeli mąż żonę przypadkiem uderzy? Idziesz do księdza, by ksiądz z mężem porozmawiał. Bo żony bić nie wolno".

Kempska opowiada jeszcze jedną historię:

– Bita kobieta o pomoc zwróciła się do teściowej. Ta powiedziała: „OK, chodźmy na spacer". Poszły, okazało się, że punktem docelowym jest cmentarz. Teściowa wysłuchała jej opowieści i powiedziała: „Zobacz, widzisz te groby? Czymże jest to, o czym mówisz, wobec wieczności?". To pokazuje, kto jest strażnikiem tych traum. Kobiety.

Ja ich dopadnę

> Kiedy Mariusz stwierdza, że nie udało mu się przeżyć życia spokojnie, jest kwiecień 2018, od przeszło dwóch lat żyje w więziennej celi. Pisze do brata: „Postaraj się nagłośnić sprawę, napisz do pani Jaworowicz. Ja będę próbował pisać do sądu [najwyższego] o weryfikację, a jeśli to nie pomoże, to do ministerstwa sprawiedliwości. Wiem, że do Mariana jeździł jakiś prokurator i próbował go nastraszyć. Wiesz, jaki on jest, co mu powiedzą, to ze strachu będzie gadał. [...] Odpisz jak najszybciej, a najlepiej przyjedź".

Sapała jest niespokojny, bo w marcu 2018 roku dochodzi do kolejnych zatrzymań. Trzy miesiące wcześniej prokuratura pojawia się w końcu w piwnicy jego domu. Na zebranie materiału genetycznego jest za późno, ale robią zdjęcia, przyglądają się temu, co zostało, dzięki czemu mogą lepiej przygotować się do przesłuchań. Następnie jadą do kilku dobrze znanych Mariuszowi mężczyzn i pobierają od nich próbki głosów. Sapała dzwoni z więzienia do domu: „Niczego nie mówcie. Macie prawo się nie przyznawać".

Jedna z kobiet Sapałów idzie w tym czasie do przychodni.

– Zamknęli kolejnych – mówi z satysfakcją w trakcie badania. – I dobrze.

Osoba, która to od niej usłyszała: – Wtedy stało się dla mnie jasne, że najbliższa rodzina wiedziała.

Dochodzi do nowych zatrzymań, bo po reportażu *Dom zły* z czerwca 2017 roku wydarza się coś jeszcze: prokuratura okręgowa każe odnaleźć pozostałych gwałcicieli Ewy.

Pucką jednostką kieruje wówczas czterdziestoletnia Anna Braun. Polecenie wszczęcia śledztwa otrzymuje faksem.

– Ja ich dopadnę – mówi do współpracowników i ściąga akta.

Prokuratura zleca śledztwo, bo po moim reportażu opinia publiczna domaga się ukarania pozostałych sprawców. I wiadomo już wtedy, że w trakcie rozprawy sądowej Mariusza pojawiły się zeznania, które mogą być wskazówką. Śladów jest więcej.

Tabu

31 stycznia 2012 roku, Puck

Ewa zakłada białą koszulę, przygotowuje dziewczynkom śniadanie. Odprowadza je do dziadka i – z matką oraz Robertem – wsiada do samochodu. Jadą do Gdańska, gdzie o dziewiątej zaczyna się jej rozprawa rozwodowa.

Pozew złożyła pół roku wcześniej. Napisała: *Zamykał mnie w piwnicy, wypuszczał tylko wtedy, gdy byłam potrzebna. Trwało to od 2009 roku do grudnia 2010. Pozwany zabraniał też jeść. Dla powódki należał się tylko chleb i woda*.

Pierwsza za drewnianą barierką staje Barbara. Opowiada, że zięć pił, bił, wszczynał awantury. Przy niej nigdy nie uderzył, ale raz zauważyła u Ewy siniaka pod okiem. Później zabrał jej telefon, a rodzina o wizytach musiała uprzedzać. Raz, latem 2010, Barbara pojechała bez zapowiedzi. Mariusz powiedział, że Ewa poszła na zakupy, ale po chwili – gdy Barbara stała jeszcze na podwórku – córka wybiegła z piwnicy. Była brudna, wychudzona. Nic nie powiedziała. A matka nie zapytała. Kiedy w końcu przyjechali ją zabrać (w grudniu 2010), była tak słaba, że obijała się o meble. Wtedy powiedziała, że zamknął ją w piwnicy, wiązał ręce, nogi, krzywdził. I że bracia pozwanego też przychodzili.

Robert: „Pojechałem z mamą, szwagier był podpity. Miał pretensje, że zadzwoniła po matkę. Zabraliśmy ją i dzieci. Pojechał za nami, walił w drzwi, wyzywał. Zadzwoniliśmy po policję, ale uciekł, zanim przyjechali. Później kilka razy przyjeżdżał i kręcił się wokół domu. Siostra zaczęła mówić, że ją bił, głodził i zmuszał w piwnicy do stosunków. I że brat pozwanego też. Szwagier miał też coś robić dzieciom”.

Cztery lata później doda:

– Nie wiem, czy ona ich widziała, ale powiedziała, że to musiał być ten niski, nazwała go „Taboret". Możliwe, że nie wymieniała innych imion i nazwisk, bo się bała.

Ewa, płacząc: „Wprowadziłam się zaraz po ślubie. Tam były dwa domy. W jednym my, w drugim teściowie i jego bracia. Po raz pierwszy zamknął mnie w piwnicy, gdy młodsza córka miała roczek. Przychodził i... Prokuratura śledztwo umorzyła, zostałam pouczona, że mogę wnieść prywatny akt oskarżenia. A ja po głosach poznawałam, że to byli też jego bracia. To zaczęło się jakieś pół roku przed rozstaniem".

Sędzia nie pyta, którzy bracia. Nie przekazuje też zeznania prokuraturze, a to wówczas pierwsze i jedyne złożone przez Ewę pod przysięgą. Orzeka za to rozwód i jeszcze tego samego dnia odbiera Sapale prawa rodzicielskie. Ewa słów o braciach więcej nie powtarza.

– Trudno wyjaśnić dlaczego – powie mi potem psychotraumatolożka, której przedstawię szczegóły. – Może to kwestia specyfiki procesu rozwodowego? Zbiegł się z umorzeniem śledztwa, to mogła być zatem także złość, chęć bycia usłyszaną, malejąca wraz ze świadomością, że organa ścigania nie wierzą. Do tego rosnący, dojmujący wstyd, lęk przed stygmatyzacją. To, kim byli sprawcy, było dramatycznym tabu.

Mariusz na żadnej rozprawie rozwodowej się nie pojawia, wysyła tylko do sądu oświadczenie. Staranny charakter pisma: „Moja była żona okłamała mnie i wysoki sąd. Proszę zapytać, kto prał rzeczy i opiekował się dziećmi, gdy ona pracowała w sklepie lub jak jeździła zbierać jagody. [...] Wnoszę o ponowne zbadanie sprawy w celu ustalenia prawdy i jeżeli to możliwe[8] o przydzielenie adwokata z urzędu, ponieważ przez oszczerstwa mojej byłej żony i jej matki ludzie wytykają mnie palcami i nikt nie chce mnie przyjąć do pracy".

Jego były pracodawca: – W pracy nie pił, po pracy owszem. Aż białych oczu dostawał. Przeżywał rozwód, twierdził, że żona chce mu odebrać dzieci. Nie przypominam sobie, żebym nie chciał go przyjąć, to raczej on przestał się pojawiać.

Ewa słów o braciach więcej nie powtarza, ale daje wskazówki. W czerwcu 2016 roku, cztery miesiące po zatrzymaniu Mariusza, mówi w trakcie przesłuchania, że gdyby ich usłyszała, to może by powiedziała, kim byli.

– A co to były za głosy? Męskie, żeńskie? – pyta sędzia.

– Grube, męskie.

Prowadzący przesłuchanie ma dostęp do akt rozprawy rozwodowej, ale o to nie pyta. Dociska tylko podirytowany: „Proszę nie myśleć, jak coś powiedzieć, tylko mówić"; „Ale jak krzyczał, co krzyczał? No poda pani jakiś przykład"; „Rozumie pani, czego dotyczy sprawa? Miało być znęcanie, miały być inne czynności…".

– Moim zdaniem oprócz nieprzygotowania tam pojawił się lęk – mówi osoba zaangażowana w sprawę. – Oboje, sędzia i psycholog, zachowywali się tak, jakby bali się pytać. A Ewę paraliżowało, że przesłuchujący to mężczyzna. Niewiele zdań wypowiedziała spontanicznie. Nie da się w ten sposób zebrać wielu informacji, zabrakło empatii, której nie można się nauczyć. I świadomości, że osoba po tak dużej traumie ma zaburzoną pamięć narracyjną, przez co nie jest w stanie linearnie opowiedzieć, co jej się przydarzyło.

Dociekam, dlaczego bali się pytać.

– Zadając pytania ofierze drastycznej przemocy, możesz usłyszeć coś, co cię przerośnie. To są podświadome odruchy. Takich przesłuchań nie mogą prowadzić przypadkowe osoby.

*

Kolejną podpowiedź podrzuciła była sąsiadka Ewy. Zrelacjonowała, że po dwóch, trzech miesiącach znajomości usłyszała od niej, że była wykorzystywana przez męża i „jakiegoś brata czy szwagra". Kierunek wskazała też Alicja. Po zatrzymaniu ojca opowiedziała o „jakichś panach". Widziała ich w piwnicy, nazwisk nie pamięta, ale zapytana

o to, kto mieszkał na gospodarstwie, odpowiada: „Babcia, dziadek, którego już nie ma, chrzestny, tata i te panowie".

Dwa domy Sapałów to wtedy ponad dwadzieścia osób. Alicja i Wiktoria do drewnianego domu nie chodzą, dzieci z drewnianego domu też ich nie odwiedzają. Do Sapałów zagląda tylko rodzina – bracia, kuzynowie, szwagrowie, czasem z żonami. Nikt obcy.

„Te panowie”

To było najpewniej lato 2016 roku, kiedy Alicja znów zaczęła pisać. Duża kartka w kratkę, na środku wielki krzyż. Na nim postać kobiety: *Mama leżała w piwnicy na ziemi i miała związane ręce jak Pan Jezus na krzyżu. Na głowie worek. Tak robili obrzydliwe rzeczy, ja Alicja byłam przy tym. A tata na to pozwalał. Stał, patrzał i brał za to pieniądze. Potem pili piwo i wudke, ja razem z nimi.*

Obok cztery męskie imiona.

– Siedziałam z babcią przy stole – wspomni po latach Ewa. – Denerwowała się, że pozostali nie odpowiedzą za to, co zrobili. Dopytywała, kto to mógł być. Byłam pewna, że Alicja, która odrabiała lekcje w pokoju obok, nas nie słyszy. A ona krzyknęła: „Mamo, przecież ty wiesz, kim byli ci panowie”. Wtedy do mnie dotarło, że ona wszystko widziała.

Wiele osób będzie się później zastanawiać, dlaczego nie wskazała sprawców wcześniej. Odpowiedzi mogą być różne: nieumiejętnie poprowadzone przesłuchania, brak słów do opisania emocji, stan długotrwałej traumy, który utrudnia wydobywanie z pamięci informacji. Znaczenie miało też poczucie bycia współwinną i świadomość kary.

Dziecko zamieszane w potworności wierzy, że nadużycie nie miało miejsca, albo bierze na siebie odpowiedzialność. Robi tak, bo chce ocalić pierwotne przywiązanie do rodziców, z którego nie jest w stanie zrezygnować. Dodatkowo u dzieci wzrastających w takiej dominacji rozwija się chorobliwe przywiązanie do tych, którzy je krzywdzą lub zaniedbują. Przyjęcie na siebie winy stanowi też próbę kontroli. Sytuacja jest nie do zniesienia, a jedyne, na co dziecko ma wpływ, to ono samo.

Nie bez znaczenia pozostaje patologiczne środowisko przemocy oraz tajemnica. Takie uwikłanie i podporządkowanie doprowadza do myślenia o sobie w kategoriach grzechu, wstrętu. Spowodowane tym głębokie poczucie bycia złym ciąży w życiu dorosłym. Jedną ze strategii radzenia sobie z tym obciążeniem jest porównywanie siebie potem do czarownic, dziwek czy psów. Takie osoby gardzą sobą, odczuwają męczący wstyd. Aby ukoić ból, niekiedy dokonują samookaleczeń lub popadają w uzależnienia. Rozpaczliwie pragną troski i opieki, przez co najczęściej doznają ponownych urazów.

Biegłe, które wypowiedzą się na temat Alicji, potwierdzą, że pamięć osób z zespołem stresu pourazowego funkcjonuje zupełnie inaczej. Wspomnienia to najpierw rozrzucone na stole puzzle, w których mieszają się różne obrazki. By ułożyły się w spójny krajobraz, potrzeba czasu. Na brakujący, ale kluczowy fragment można czekać kilka lat. Dlatego było potrzebne aż siedem, żeby Alicja ułożyła elementy w całość i żeby te związane z tożsamością pozostałych sprawców mogły wskoczyć na swoje miejsce.

Konieczne było także wyciszenie emocji i uregulowanie pracy organizmu za pomocą leków i terapii. Ostatnim czynnikiem niezbędnym do tego, by Ewa i jej córka zaczęły mówić, było poczucie bezpieczeństwa.

– Zaraz po ucieczce groziło im, że znajdzie je Mariusz Sapała, który wiedział, gdzie mieszkają, i który je nachodził – nakreśli sytuację trzy lata później gdańska sędzia Maria Julita Hartuna. – Dopiero po przeprowadzce mogły mniej więcej odetchnąć. Po drugie, tego poczucia bezpieczeństwa nie dawały im organy ścigania krzywdzące je po raz kolejny swoimi decyzjami. Dopiero kiedy Mariusz Sapała został aresztowany, a otoczenie – kuratorzy, psycholodzy, pracownicy szkoły – zaczęło okazywać wsparcie i ruszył proces sądowy, mogły odetchnąć i pomyśleć: „Teraz zostaniemy wysłuchane. Teraz warto mówić".

„Pani pamięta, co pani robiła, gdy miała cztery lata? Nikt nie pamięta" – będzie się upierać rodzina Mariusza, i to najczęstsze podejście tych, którzy wolą nie wierzyć. Podejście mylne.

*

Amnezja dziecięca, którą jako pierwszy opisał Freud, rzeczywiście stanowi jedną z niewyjaśnionych zagadek w funkcjonowaniu pamięci. Dotyczy ona każdej i każdego z nas, ale nie istnieje jedno wyjaśnienie, dlaczego nas dotyka. Wiadomo tylko, że próbując cofnąć się do pierwszych lat życia, napotykamy barierę i nie jest to zwykłe zapominanie: mając lat czterdzieści, pamiętamy wydarzenia sprzed dwudziestu lat. Ale dwudziestolatek nie cofnie się już do tych najwcześniejszych.

W Polsce psychologią pamięci zajęła się Maria Jagodzińska, dziś emerytowana profesor z Warszawy. W 2008 roku wydała prawdziwą encyklopedię wiedzy na ten temat, uwzględniającą teorię, pionierów badań czy specyfikę pamięci autobiograficznej.

Najwcześniejsze wspomnienia odnoszą się zazwyczaj do wieku około trzech i pół roku, ale granica ta nie jest stała. Bywało, że zajście ze swojego życia pamiętała dwuletnia dziewczynka, uczestniczka katastrofy lotniczej, która po upływie dziesięciu miesięcy odtworzyła wydarzenie przy użyciu zabawek. W latach 1979–1983 badano z kolei grupę dzieci, które w wieku od pięciu do czternastu lat przeżyły zbiorowe porwanie. Zarówno po upływie roku, jak i pięciu lat ich wspomnienia były szczegółowe. Jeśli pojawiały się nieścisłości, to wynikały z nieprawidłowego postrzegania niektórych aspektów historii.

Mamy takie możliwości, bo nasze ciało migdałowate, niewielka struktura mózgu, mająca średnio około piętnastu milimetrów, pomaga zapamiętywać przeżycia o silnym wysyceniu emocjonalnym: narodziny rodzeństwa (najniższy wiek wynosił dwa lata), hospitalizacja czy kary cielesne (dzieci kodują sytuacje związane ze swoim ciałem). Na trzecim miejscu najlepiej zapamiętywanych zdarzeń znajduje się śmierć, na czwartym przeprowadzka. Świadectwo dobrej pamięci stanowi też syndrom stresu pourazowego. Znany jest przypadek dzieci, jak podaje w jednym ze swoich opracowań profesor Jagodzińska, które były świadkami morderstwa bliskiej osoby i nie tylko zapamiętały to przeżycie,

ale cierpiały też na natrętne wspomnienia. Amnezja dziecięca nie musi więc oznaczać całkowitego zapominania, choć paradoksalnie zdarzenia traumatyczne pamiętane są gorzej. Za taki stan odpowiadają mechanizmy obronne, które pozwalają obniżyć niepokój, ale sprawiają jednocześnie, że pamięć staje się fragmentaryczna.

Istnieje oczywiście poważny problem wiarygodności wczesnych wspomnień. W przypadku dzieciństwa łatwo pomylić fakty, źródła informacji: własne przeżycie lub fantazje z czyimś opowiadaniem. Najgłośniejszym przypadkiem jest Jean Piaget, uznany szwajcarski badacz psychologii dziecka, który zachował w pamięci taką scenę: ma roczek, a dzielna niania ratuje go przed porwaniem, zagradzając porywaczowi drogę. Kobieta po kilkunastu latach wyznała, że zmyśliła opowieść, żeby dostać od rodziny nagrodę. Wyszło na to, że historia została Piagetowi tyle razy opowiedziana, że uznał ją za część własnej wiedzy.

*

W prowadzonych na świecie badaniach przypominane relacje najczęściej weryfikowano dzięki matkom. Relacje Ewy i jej córki są zbieżne, obie były także naocznymi świadkami. Alicja mogła różne rzeczy podsłuchać, ale nie sposób było wdrukować jej objawy traumy, poczucia winy i wstydu, a także twarzy tych osób, których zdjęć rodzina nie miała.

Jeden z pamiętników: *Jestem wspułwinna tego znęcania nad mamą i siostrą*.

Kiedy dziecko ponownie zaczyna pisać, proces Mariusza już trwa. Dziewczynka potrzebuje terapii, leczeniem powinny zostać objęte także Wiktoria i Ewa. Potrzeba placówki z trzema psychotraumatolożkami. Pieniądze na ich opłacenie pojawią się dopiero po publikacji reportażu *Dom zły*. Do tego czasu dziecko zapełnia strony kolejnego zeszytu lub pojedyncze kartki. Jedną z nich Ewa przywozi na nasze spotkanie w wejherowskiej kawiarni. Wyjmuje z torebki, podaje bez słowa. Jakby zakładała, że będę wiedziała, co zrobić.

W trakcie terapii, którą Ewa wtedy rozpoczyna, mówi:

– Oprócz męża było ich dwóch, trzech. Pewności nie mam. Po zapachu czułam, że to nie tylko Mariusz.

*

Grudzień 2017

Nieduży pokój, pomiędzy łóżkiem a kanapą stół, na którym stoi herbata i ciastka. Rozmawiamy o świątecznych zakupach, najbliższych planach. Co jakiś czas do pokoju zagląda babka. Pyta, czy czegoś nam potrzeba, wspomina męża.

– Miesiąc temu byłam w mieście. Widziałam Stacha – mówi Ewa, gdy zostajemy same. – Szedł po drugiej stronie ulicy. Naciągnęłam na głowę kaptur, uciekłam w przeciwnym kierunku. Myślę, że w końcu po mnie przyjdą.

To jedna z tych rozmów, kiedy widzę, że nieświadomie pomija ważne informacje. Jakby skupienie na najbardziej dramatycznych wydarzeniach wypierało poprzednie, dużo mniej bolesne. Takich sytuacji będzie więcej.

Po godzinie schodzimy na temat rozwodu. Pytam, dlaczego nigdy więcej nie powiedziała, że to mogli być bracia. W odpowiedzi podchodzi do szafy, zdejmuje z góry mały karton. Na stole rozkłada plik zdjęć. Na każdym data: 20 stycznia 2007.

To dzień kościelnego ślubu i chrzcin Alicji. Cywilny wzięli dziesięć miesięcy wcześniej, o czym jej rodzina dowiedziała się po fakcie. Ewa wytłumaczy po latach, że Mariusz zabronił jej zaprosić rodziców.

On, kościsty i niski, łysiejący na czubku głowy. W czarnym garniturze i białej koszuli. Ona w ciężkiej, granatowej sukni do kostek. Włosy upięte przez koleżankę matki, zero makijażu. W dłoni bukiet małych białych róż. Za nimi, w ławach, najbliższa rodzina, w zimowych kurtkach. Nikt się nie uśmiecha.

Przyjęcie odbywa się na piętrze ich domu, którego zielone ściany niedawno zostały odnowione. Zegar, ciupaga i Jan Paweł II w brązowej ramce. Gości niewielu: rodzice obojga, rodzeństwo, bratanek Witolda Sapały. Na stole sałatki i wędliny przywiezione przez Barbarę, pieczony boczek, wódka.

Na kolejnej fotografii Ewa z Mariuszem, siedzą na krańcu złączonych stołów, pogodni, w trakcie rozmowy z kimś po drugiej stronie. Jest też Józef Hirsz. Wielki, z dużym haczykowatym nosem, o solidnej posturze. Obok Robert, teraz mogę zobaczyć, jak bardzo jest podobny do ojca. Siedzi nieco odsunięty od stołu, łokcie wsparte na kolanach, wzrok wbity w podłogę. Na następnym zdjęciu kobieta i podobnie do Mariusza łysiejący mężczyzna. Zapatrzony gdzieś, w jednej dłoni widelec, w drugiej – chleb. Biało-szary sweter z wycięciem w serek, pod spodem śnieżnobiały kołnierzyk. Ostry zapach jego taniej wody kolońskiej marki „Bond" Ewa jeszcze długo będzie czuć w powietrzu.

Andrzej Sapała przyszedł na świat rok po Stachu, ale dom opuścił pierwszy. Miał wtedy piętnaście lat (w roku 1975), poszedł do zawodówki i zamieszkał w internacie. Po egzaminach końcowych został elektrykiem i dostał pracę w gdańskiej Elektrobudowie. Nieco później, w latach dziewięćdziesiątych, przez kilka lat pracował w Iraku.

– On zawsze lubiał być wypachniony, wymuskany – słyszę od rodziny. – Taki czyścioszek. Nie to co reszta.

Matkę szanuje i odwiedza w niemal każdą sobotę. Czasem też w tygodniu, bo mieszka blisko. Zazwyczaj piją we czterech lub w pięciu: on, Mariusz, Marian, Rysiek i spokrewniony Tadeusz.

Nadal trzymam w dłoni zdjęcie. Za plecami Andrzeja Sapały drzwi do kolejnego pokoju. W tle obraz Matki Bożej Ostrobramskiej, gdzie postać Maryi zakrywa błyszcząca złotem sukienka.

– Wszyscy wyszli, a Andrzej pijany zaczął mnie obmacywać. – Ewa powoli układa słowa, obiema dłońmi ściska szklankę. – Odepchnęłam go. Następnego dnia sprzątałam w kuchni, powalił mnie na stół, próbował

zdjąć spodnie. Wyrwałam się, powiedział: „Przestań, my się tu dzielimy". Później, gdy zostawałam sama w domu, kilka razy dobijał się do drzwi.

Tego śledczym też nie opowiedziała.

– Nikt nigdy nie zadał mi tych wszystkich pytań co ty – wytłumaczy.

Zdjęcia zanosi po naszym spotkaniu do prokuratury. Wkrótce ponownie zostaje przesłuchana. Spodziewam się, że z gdańskiego sądu wyjdzie zapłakana. A ona jest pogodna, jakby uszło z niej to, co złe. Idziemy coś zjeść w pobliżu dworca kolejowego.

– Myślisz, że to już koniec?

*

W domu ponownie czytam ostatnie zapiski Alicji. Drugie zdanie:

Wujek Andrzej miał być ostatni, a był pierwszy. Potem Marian zrobił swoje, a następny był Tadzio i Stachu.

Dwie dychy

Lato 2010

Stary dom na uboczu niczym strup na ciele natury. Płatami odpadający tynk, wdzierający się grzyb, brudne okna. Wokoło kontrastująca zieleń drzew. Mariusz Sapała, w dżinsach i flanelowej koszuli, wstaje od stołu i wychodzi na nieoświetlony korytarz. Jego znoszone trampki wydają głuchy odgłos, malutka Alicja idzie za nim. Młodsza o rok Wiktoria jest w swoim pokoiku. Leży związana na podłodze, pielucha mokra, usta zaklejone taśmą. Na półkach nie ma już pluszaków, kredek, książeczek. Jej tato wszystkie spalił.

W piwnicy jest ciemno, do Ewy dobiega odgłos coraz szybszych kroków. Wytęża wzrok, przez szparę błyszczy światło. Dźwięk klucza. Najpierw wchodzi on, następnie Alicja.

Miała może trzy lata, gdy kupił jej kolorowe klocki. A może to nie był on? W każdym razie to były jej ulubione. Siadali na dywanie i budowali wspólnie zamki. Mama próbowała się włączać i wkładała do środka zabaweczki. Te chwile szczęścia, krótkie i dziś przypominające iluzję, to jedyne, jakie udało jej się zachować. Rysować nie zdążyła się nauczyć.

Mariusz każe Ewie wstać, z kieszeni wyjmuje sznurek. Oplata wokół jej nadgarstków. Zza uchylonych drzwi dobiega lekki szmer. Ewa już rozumie.

– Błagam, nie…

– Stul mordę, bo już stąd nie wyjdziesz.

Siłą kładzie ją twarzą do podłoża, sznur przytwierdza do wystających ze ścian haków. Prosi Alicję, by założyła mamie na głowę worek, a sam

zdejmuje jej spodnie i odwraca się: „Pierwszy będzie ostatni”. Dziecko wychodzi, on zostaje. Ale zdarzy się, że każe jej patrzeć.

Od pierwszego Ewa poczuje ostre perfumy. Drugi będzie cuchnąć obornikiem, trzeci to pot i papierosy. I tylko raz jednemu się wymsknie: „No, za to, co tu się dzieje, dostaniesz ze dwie dychy”. Pomyśli, że zna ten głos.

Idą na górę, niesmak zalewają wódką. Wracają. Za godzinę, za tydzień, za miesiąc. Po dziesiątym razie Ewa przestaje liczyć.

Traci przytomność bądź drętwieje. Jest bliska omdlenia, wydaje się jej, że ją sparaliżowało. To tak, jakby człowiek opuścił swoje ciało i stanął z boku.

Nie czuje bólu. Nie krzyczy.

Pot i papierosy

Luty 2018

Czarny stół, czerwono-czarny dywan, kanapa, ikeowski regał z zabawkami. W rogu sufitu kamera. Przesłuchanie trwa trzy godziny i pięć minut. W końcu padają przemyślane pytania, a zadaje je głównie psychotraumatolog. Jest też prokuratorka, choć prowadzący śledztwo nigdy w przyjaznym pokoju nie siada. Atmosfera przyjaznej grupy okazuje się pomocna i pozwala Ewie bardziej się otworzyć. Sędzia tylko się przysłuchuje, mniej więcej w połowie z głośników płyną nagrane wcześniej próbki głosów, które Ewa łączy z zapachami. Gdy widzi zdjęcia haków, niemal traci oddech.

Ostre perfumy skojarzy z Andrzejem, obmacywaniem na weselu i zdaniem o dwóch dychach. Drugi głos z Marianem i odorem gnoju. Trzeci nic Ewie nie mówi. Czwarty to Stach.

– Teraz mi się przypomniało, że to ten głos przyszedł do mnie raz do piwnicy, położył na ziemi miskę z jedzeniem i powiedział: „Miałem ci to przynieść" – stwierdza. – Inaczej go nie kojarzę. On mnie nie krzywdził. Mariusz nim pomiatał.

Ewa tego nie wie, ale piwnica, w której trzymał ją Mariusz, należała do Stacha. Czy wykorzystując pomieszczenie brata, okazywał swoją przewagę, wyższość? Może chodziło wyłącznie o to, że okna wychodziły na tył domu, a drzwi znajdowały się na końcu krótkiego korytarza? Bez znaczenia. Ważniejsze, że Stach musiał wiedzieć.

W kwestii Andrzeja rodzina będzie się upierać, że przecież ciągle się kłócili. Jednak realia są takie, że regularnie przesiadywał u matki,

najczęściej przy kieliszku. A wódka ma to do siebie, że rozwiązuje język. Musiał się w końcu dowiedzieć. Chciał Ewy i ją dostał. A jeśli bywali w konflikcie, dla Mariusza sytuacja była korzystna – uwikłanie daje bezpieczeństwo. Czy to wszyscy sprawcy? Na pewno nie.

Do kogo należą pot i papierosy, zapach, który także jej się przypomina? Nie jest pewna. Ale mogą to być tylko dwie osoby. Obie spokrewnione, często bywające. Ich próbek głosów nie nagrano.

Imię jednego poda w pamiętniku Alicja. A później rozpozna jego twarz.

– Ja to wszystko spisałam – dopowie. – Żeby państwo pomogli.

Rozpozna też wizerunki Andrzeja i Mariana. By nie ułatwiać jej zadania, śledczy ułożą przed nią stos fotografii. Wśród nich osoby, które mogły być w piwnicy. Mimo upływu czasu wskaże te właściwe. I doda, że jeden z nich był bardzo niskiego wzrostu. „Taki liliputek".

W poniedziałek 19 marca 2018 roku do wsi wjeżdżają dwa radiowozy. Jeden jedzie po Andrzeja, drugi po Mariana. Pięć miesięcy później zabierają Tadeusza B. Porozmawiam z nim dzień wcześniej.

Rocznik 1963, drobny, łysiejący, niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów, po udarze. Dzieli nas metr i woń papierosów oraz potu, o których mówiła Ewa. Jego matka to siostra Marceli.

– My się o tym wszystkim dowiedzielim z gazet – mówi i podciąga czarne sprane spodnie dresowe, paznokcie ma brudne, obgryzione. – Ja tam byłem ze trzy razy. Nigdy w piwnicy.

– Ewa i jej córka mówią co innego.

– A ja wim? – Oczy ma zaszklone, lekko się chwieje.

– Żałuje pan? – pytam.

– A czego? Że ja był tam trzy razy?

Otwierają się drzwi domu, na podwórko wychodzi jego brat, Józef. Równie drobny, włosy ciemne, przez brak zębów niewyraźna mowa.

– On był wariat, ten Mariusz – mówi, kiedy stoimy we trójkę, jest koniec sierpnia 2018 roku. – Jak trzeźwy, to kochany. Wypił, palma mu odbijała. Dostawał białych oczu, jak to wiadro – dodaje, wskazując palcem. – Pani się

spyta policji, ile miała wezwań, że ciocia Marcela pobita. Ożenił się, to był ciągle zazdrosny o żonę. Najlepiej by ją zamknął pod kloszem, żeby nikt nie dotykał. Dla mnie taki chłop, co tak żonę traktuje, to nie chłop.

– To kim był ten czwarty? – pytam.

– A ja wiem? Dla mnie to wszystko chore. Może ten, co tam ciągle przyłaził?

*

We wrześniu dostaję maila: „Zły dom. Proszę zadzwonić".

– Wszedłem w posiadanie dokumentów, których pani nie zna. – Łagodny głos prostego człowieka. – Mnie się nie podoba, że ktoś jest tak przedstawiany. Wie pani, gdzie teraz jestem? W złym domu. I nie widzę żadnych haków. Była pani w tej piwnicy? Chce pani zobaczyć?

– Chcę.

Pani się nie boi

Jeszcze kilka lat temu w domu huczał stary telewizor, dziś stoi niemy. Parter nie tyle zagracony, co przypominający domowe składowisko śmieci. Stary tapczan, rdzewiejący grzejnik. W dużym pomieszczeniu, które miało być kuchnią połączoną z salonem, kilkoro drzwi, zakurzone fotele, piętrzące się deski. W łazience, którą Mariusz obiecał wyremontować, gruzowisko. Odwracam się do Włodzimierza Sapały, autora maila. Mieszka w sąsiednim województwie, przyjechał na jeden dzień, jest starszym bratem.

– Wszystko zdewastowane. Nie wiem, po co ja to wziął.

– Wziął pan?

– Matka emerytury potrzebowała, przepisała mi resztę ziemi, załatwiłem. Siedemnaście lat nic nie brała, bo nikt się nie pofatygował do urzędu. A ona na chleb nie miała. Tylko teraz problem, bo dom ma ośmiu współwłaścicieli. Niech pani robi zdjęcia, nikt pani nic nie zrobi. Nawet adwokatów tu nie było. Plany pokoi chcą, zamiast wziąć dupę w troki i przyjechać.

Idziemy na górę. Betonowe schody, na ścianach intensywny błękit. Przed oczami mam opowieść Ewy, jak została z nich zrzucona. Zatrzymuję się na półpiętrze, w miejscu, gdzie jej ciało upadło na ścianę. Przez nieduże okienko z przybrudzoną szybą wpada trochę światła.

– Chciałem pogadać, bo byłem u Mariusza w więzieniu, a on: „Sprawdź, za co ja siedzę". Bo on nie wie.

Włodzimierz jest niższy ode mnie, najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, szczupły. Za nim kroczy Rysiek, za Ryśkiem drepcze Marcela, ubrana w brązowo-biały bezrękawnik z dzianiny.

– Mariusz twierdzi, że wszystko przez rozwód – mówi Włodzimierz. – Nie chciał dzieci dać, więc ona go obtego. A przecież został już ukarany, ma alimenty. I jaka tam ona więziona. W sklepie pracowała. Chodziła na zakupy, ludzie widzieli.

Wchodzimy w korytarz, stajemy przed drzwiami do kuchni. Włodzimierz przeciska się pierwszy.

– No i kto wytrzyma zimą w piwnicy? – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Jednej nocy pani nie wytrzyma. Piszą, że molestował dziecko? A zrobił ktoś obdukcję? Dziecko ma cztery lata i pisze pamiętnik. Ha! Pani pamięta, co pani robiła, gdy miała cztery lata? Nikt nie pamięta.

Odpowiadam, że zaczęła pisać później, w wieku dziewięciu lat, i też wchodzę do kuchni. Wszędzie grzyb, pajęczyny, odpadająca farba. To tu podjęła decyzję o ucieczce.

– Taaa, wszystko dlatego, że nie miał kto go bronić. – Włodzimierz kręci głową na widok zniszczonej lodówki. – Nie był zbyt lubiany w towarzystwie, to nikt mu nie pomógł. Już samo mieszkanie w tym domu to było więzienie. Wszystko do remontu. – Patrzy w stronę stojącego w drzwiach Ryśka.

Rysiek jest wyższy od brata. Granatowa koszula z krótkim rękawem, przystrzyżony wąs. Unosi czoło, wzrokiem wodzi po suficie:

– Nic nie było robione, odkąd go zabrali.

Duży pokój przypomina zbombardowane muzeum. Zakurzony, niesprzątany, martwy. Meblościanka wybebeszona, pootwierane szafki, sterty walających się kubków, pudełek, słoików. Zniszczona kanapa, niedbale rzucone stare kołdry. Na przykrytym jasną ceratą stoliku podniszczone Pismo Święte Nowego Testamentu. Nad kanapą pamiątką pierwszej komunii.

– On już nic nie może, siedzi – ciągnie Włodzimierz, gdy przechodzimy do połączonej z pomieszczeniem sypialni.

– Jo – rzuca Marcela z przedpokoju, a ja zauważam, że ma lekko zaciśnięte pięści.

Dalej Włodzimierz: – Tylko ktoś z zewnątrz coś może. Na przykład ja. Ale najpierw muszę mieć sto procent gwarancji, że to, co on mówi, to prawda.

– Ma pan? – Zaglądam do znajdującego się po drugiej stronie korytarza i zawalonego meblami pokoju dziewczynek. Na ścianach wciąż dość intensywny róż.

– Częściowo tak – odpowiada. – Nawet hitlerowcy dostawali niższe wyroki. Co trzeba w Polsce zrobić, żeby dostać dwadzieścia pięć lat? Wziąć rozwód? Może jej za dobrze nie traktował, może nadużywał alkoholu, ale o tym to ona wiedziała, trzeźwego nie brała. Odeszła, nie płacił alimentów, narobił długów. Ponad trzydzieści tysięcy. I zamieszkał z tą drugą. Wie pani, że to z jej łóżka go zabrali? Marian od razu do mnie zadzwonił. Pytam się: „A za co on aresztowany?". A on, że może coś Mariusz nakradł, kogoś pobił. Nikt mi nie powiedział prawdy.

Już chcę schodzić na dół, staję przy schodach, ale odwracam się dla pewności, czy i tu zrobiłam zdjęcie. Moje oczy spotykają się z oczami Marceli. Patrzy z niechęcią.

– A jak go zabrali, to się zaraz okazało, że tą drugą też gwałcił i molestował jej syna – ciągnie na schodach Włodzimierz. – Tylko że ona nadal przychodziła do matki sprzątać. Myśmy się jej pytali: „Za co on siedzi?", a ona, że też nie wie.

Stajemy przed domem, robię głęboki wdech, jest godzina siedemnasta, powietrze ciepłe. Rozglądam się po podwórku. Cicho, pusto, zasłona gęstej zieleni, pod dużym drzewem kubły zgniłych jabłek, nieco dalej zardzewiała beczka, części starych maszyn. Rysiek i Marcela siadają na schodach domu. On otwiera puszkę żubra, ona prawie cały czas milczy.

– Myśmy myśleli, że może na fermie cielaka zabił. – Włodzimierz stawia nogę na pierwszym schodku, zwraca się do Marceli. – Albo kogoś okradł? Ja pani powiem, jak jest. – Odwraca się w moją stronę. – Matka miała siedmiu synów, trzech siedzi. Tyle z faktów.

Marcela cicho: – Te, co zostały, wszystkie dobre.

– Myślałem, żeby się tu przeprowadzić, ale się boję. – Włodzimierz odpala papierosa. – Wstyd jest, a tego wymazać nie idzie. Z drugiej strony byłem niedawno w urzędzie załatwić matce pielęgnacyjne. Wchodzę, a kobita do mnie: „A kiedy pana wypuścili?". Pośmiałem się i mówię: „Wczoraj". Idę do sklepu i jakiś facet: „Cześć, Mariusz". Jakby nic się nie stało. Nie słyszę, żeby gadali. Ale wiem też, że dużo osób nie wie. Jestem wdowcem, moja żona chodziła do szkoły specjalnej i czasem trudno było ją przekonać, że nie ma racji. Dziś sam opiekuję się dziećmi, w tym chorą córką. Miałem kiedyś podobną sprawę co Mariusz. Dziecko mnie oskarżyło. Potem się wycofała, ale poszło. Wszystko przez to, że nie porozmawiała z psychologiem, tylko z pedagogiem szkolnym. Wie pani, jaka różnica? Pierwszy jest jak ksiądz, drugi to policjant. Także ja wiem, co to znaczy być niesłusznie oskarżonym. Na pewno nie było kolorowo, ja też się z nim kłóciłem, kiedy tu przyjeżdżałem. Bo ojciec obiecał, że przepisze mi kiedyś gospodarstwo. Mariusz się wprowadził do tego domu, jeszcze niewykończonego, żeby go uprzedzić. Bał się, że będzie musiał iść na swoje i płacić za wynajem. I tera wszystko zdewastowane. W tej piwnicy nic nie było, niech pani w głupoty nie wierzy, tata tam codziennie po kartofle chodził. To właściwie nie piwnica, bardziej suterena. Okna wysoko, gdyby krzyczała, nikt by nie usłyszał, to fakt. Tylko do czego miała być przywiązana? Tam nie ma żadnych haków – podkreśla.

Po kilkunastu minutach przekonam się, że są: skierowane ku górze pręty, na nich opony. Pod ceglaną ścianą stare meble, mrok, pajęczyny. Na środku – żebym pomyślała, że tak było zawsze – sterta drewna.

– Wszyscy chcą wyjaśnienia tej sprawy, ale nikt się za to nie bierze. Myślą: Włodek załatwi.

– A pan? – zwracam się do Ryśka, otwiera właśnie drugie piwo.

– Ja tam nic nie wiem, nic żem nie widział. He, he...

– Jego to ja akurat nie jestem pewny. – Roześmiany Włodek patrzy na Ryśka. – Tadziu przyszedł raz, siedzi. Andrzej również, chociaż u Mariusza nie bywał. A mały, czyli Marian, opiekował się matką. Pani wie, że on jest niepełnosprawny?

Rysiek: – Tadziu to prędzej do mnie przyszedł, na wódkę. Oni nie powinni siedzieć, Mariusz trochę tak, ale nie tyle. Przed wyrokiem robiliśmy zakłady, najgorszy wróg dawał mu osiem lat. Pięć za niepłacenie alimentów, rok za Mariana, bo go kiedyś popchnął na szybę, bliznę na plecach ma do dziś, dwa lata za mamę i kłótnie z policjantami. Chociaż nie, czekaj! Ja daję jeszcze pięć, bo na mnie kiedyś doniósł, że się na ojca rzuciłem! A ja się potknąłem.

Pytam o mężczyznę, który często przychodził. Jeszcze nie wiem, że przed laty zaproponował córce Stacha podwiezienie. Nie odjechali daleko, zaczęła krzyczeć. Ma też złe wspomnienia z wujkiem Mariuszem.

Rysiek: – Trzymali się obaj bardzo, za dużo. Ale o tym, pani Katarzyno, lepiej nie mówić, będą kłopoty. M. (tu pada nazwisko) ma taki sam budynek jak ten. To jego przyjaciel, nie mój.

– On miał wielu kolegów – ucina Włodzimierz. – Gdy zamknęli Andrzeja i Mariana, siostra dostała list, żeby przekazać dalej. Głupi ten Mariusz, napisał: „Nie przyznawajcie się, takie macie prawo". Mówię: „Ty wiesz, coś ty zrobił? Jakbyś ich zamknął. Nawet, jeśli nic nie zrobili!". Pocztę teraz strach odbierać. Podobno matka Ewy ma jakieś pokrewieństwa z prokuratorami. Myślałem, żeby detektywa nająć. Niech wyjaśni sprawę. Ale boję się, że stracę kasę.

W tej chwili wszyscy odwracamy się na odgłos kroków. Po podwórku idą szczupła kobieta w dżinsach i dość drobny mężczyzna z wąsem. Kolejny brat Mariusza, jak większość rodziny mieszkający w pobliżu. Przyszli zobaczyć się z Marcelą.

Kobieta: – Nakłamane, głupota. Z mojego uznania, szczerze powiem, ona była widziana często gęsto, z dziećmi chodziła. Nie mam widziane, żeby była pobita. Za psy nie bronię. To na pewno miał zrobione. Dzieci były niedożywione, nie gadajcie. Ale reszta? Tyle gwałtów, a nie ma z tego żadnych dzieci?

Mężczyzna podniesionym głosem: – Mąż zabija żonę, dostaje dwanaście lat. A tutaj?! Niewiarygodne, dajcie spokój. Wstyd teraz do kościoła iść. A to nawet nie mój brat!

– Jak nie pana? – wtrącam.

– Inny ojciec, nie mój! – Odwraca się do nas plecami.

Rysiek przeciera usta: – A wie pani, że na Ewę mówili galareta? Taaak się trzęsła.

– Widziałam – potwierdza kobieta. – Byli u nas, Mariusz miał wypite. Zdenerwował się, a ona zaraz cała zaczęła chodzić. O, tak jej ręce latały.

– Oj, weź, ja też po śmierci żony nie mogłem podpisać się w banku – włącza się Włodzimierz. – Lekarz powiedział, że mam nerwicę, dał tabletki. Pomogło, już nie mam drgawek. Mariusz dzieci kochał, on by im nieba przychylił, miały całe szafki wypchane misiami. Pokazywał mi, jak tu byłem. Mówię pani, chciała rozwodu, wymyśliła piwnicę. Głodzona? Pracy nie miał, pieniędzy brakowało.

– Dowiedziałam się, że zgwałcił też (tu podaję imię i nazwisko kobiety z rodziny).

– Coś tam słyszałem. Byłem zdziwiony, domownicy wspomnieli. Ale ja pani coś powiem. – Włodzimierz pewnie ciągnie wywód. – Gwałtem można nazwać coś, z czym się idzie na policję. Kiedy do czegoś dochodzi w rodzinie, to nie bardzo. Są różne pojęcia tego. Podobnie z żoną: można zgwałcić? Nie zgłasza, znaczy, że chciała. Ale wróćmy do tematu. Rozpoznała po zapachu? Worek na głowie? Wymyśliła. Kiedyś chłopaki siedzieli na schodach, na tych samych, co my teraz, i opowiadali, że brzydka jest. I że jakby z nią tentego, toby człowiek musiał założyć worek. U nas się tak mówi: gazeta albo worek. Ona to usłyszała i wykorzystała. Poza tym w życiu tak bywa. Chłop chce, kobieta nie, trudno. Ma pani męża? Bo jeśli nie składała pani przysięgi małżeńskiej, to pani nie wie, jakie życie jest.

– W sensie?

– Niełatwe. No niech pani pomyśli. A jakby ksiądz się pomylił i powiedział w kościele: „I że cię nie dopuszczę aż do śmierci". Co wtedy?

Dziennikarstwo traumy

Niedługo po tym spotkaniu stwierdzam, że tej książki jednak nie napiszę. Początkowo wydaje mi się, że to zwykły kryzys, zmęczenie, lecz z czasem pojawiają się problemy ze snem i zaczynam unikać pracy. Trochę nad tekstem pracuję, by za chwilę nie móc wykonać choćby telefonu.

– To nie jest kryzys twórczy. Temat, którego się pani podjęła, jest obiektywnie bardzo trudny – tłumaczy psychoterapeuta, do którego idę jesienią 2019 roku. – Nawet ja nie miałem w gabinecie tak ciężkich traum. A pani jest bez superwizji. Jeśli chce pani uprawiać taki rodzaj dziennikarstwa, musi pani o nią zadbać.

Analizuję ostatni czas: historie o molestowaniu i gwałtach, przemoc domowa, znęcanie się nad uczniami szkół baletowych. Koszmar podopiecznych domu seniora, kobieta, która dowiedziała się, że dziecko umrze w jej brzuchu. Uświadamiam sobie, że mam flashbacki: wraca do mnie widok pobitego na śmierć Kacperka, dziecka z puckiej rodziny zastępczej, którego zdjęcie zobaczyłam w 2014 roku, kiedy relacjonowałam proces sądowy Anny i Wiesława.

Gdy dziennikarze pytają, jak znoszę to, o czym piszę, cytuję Wojciecha Tochmana: że odpowiedź nie wydaje mi się ważna. Ważniejsze, dlaczego tekst musiał powstać. I dodaję, że jeśli zaczęłabym opowiadać o swoich trudnościach, zestawiłabym je z trudnościami swoich bohaterek i bohaterów. Realia są też takie, że my, dziennikarze, na ludzkim nieszczęściu w pewnym sensie korzystamy. To te teksty są najgłośniejsze, nagradzane, najlepiej opłacane. Świadomość tego ciąży.

Późnym latem 2021 natrafiam na publikację doktor habilitowanej Magdaleny Hodalskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego, która interesuje się traumą w mediach. Zauważa w niej, że dziennikarze niemal codziennie opowiadają o tragedii ofiar przemocy, kataklizmów, wypadków czy morderstw. Podchodzą do miejsc, z których inni uciekają, oglądają filmy nagrane przez świadków drastycznych wydarzeń, a materiały te nierzadko poprzedzają rozmowy z uczestnikami albo analiza akt sądowych. Pyta: „Jak to na was wpływa?". Do pytania skłaniają ją własne doświadczenia.

– To był rok 2002, Kraków, trzymiesięczne praktyki w Polskiej Agencji Prasowej. – Hodalska rozmawia ze mną przez komunikator, patrzę na radosną brunetkę w designerskich czerwonych oprawkach. – Otrzymaliśmy informację, że na jednym z osiedli na parapecie szóstego piętra stoi dziecko. Wysiadłam z samochodu, zapytałam kolegę z radia, które to okno, wskazał dłonią, w tym momencie spadło. Po kilku minutach kolejny cios, rozpacz rodziców. Pomyślałam po żołniersku: muszę odciąć się od emocji. Przecież nic nie może mi przeszkodzić w dostarczeniu tekstu. A dziś się zastanawiam: „Dlaczego nie może?". Dziesięć lat później poszłam na terapię i nawet o tym wydarzeniu nie wspomniałam. Tak bardzo przekonałam sama siebie, że to normalna sytuacja w tym zawodzie. W 2017 roku dziennikarską traumą zajęłam się naukowo i obrazy wróciły.

Najwięcej uwagi przez lata poświęcano korespondentom wojennym, fotoreporterom, operatorom. W Polsce o kosztach tej pracy opowiadał między innymi Krzysztof Miller, który fotografował konflikty w Afganistanie, Czeczenii, państwach afrykańskich czy Gruzji i Bośni. Od jesieni 2011 roku leczył się ze skutków stresu pourazowego. Dwa lata później powiedział, że PTSD ma już za sobą, jedzie do Syrii. We wrześniu 2016 roku odebrał sobie życie.

– A co z dziennikarzami śledczymi, kryminalnymi, miejskimi, reportażystami? – pyta Hodalska. W Polsce tego tematu się nie porusza.

Badania stresu traumatycznego u reporterów pracujących na miejscu prowadzone były w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Meksyku, Australii, Japonii, Wielkiej Brytanii. Te zrobione za oceanem pokazały, że od 80 do

100 procent reporterów choć raz relacjonuje wypadek drogowy, pożar czy katastrofę. Uczestniczący w tych wydarzeniach strażacy i policjanci mogą liczyć na pomoc psychologa. Dziennikarze wracają do redakcji, opracowują materiał, a następnego dnia dostają kolejne zadanie. Wielu zdradza objawy przypominające PTSD, część cierpi na depresję, nadużywa alkoholu. Rzadko się do tego przyznają.

W Polsce temat emocjonalnego obciążenia nie istnieje, bo w newsroomach dominuje przekonanie, że przyznanie się do strachu czy lęku jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że nie nadajesz się do zawodu. A przecież literatura opowiadająca o wtórnym PTSD, powstałym w wyniku kumulacji wysłuchanych drastycznych opisów, jest obszerna. Bywa, że o niej w swoich tekstach opowiadamy.

Istnieje jednak jeszcze jeden problem: my także możemy być powodem urazu.

Pracuję w zawodzie od 2003 roku, mam doświadczenie trzech redakcji. Przez ten czas nikt nigdy nie powiedział mi, jak empatycznie rozmawiać ze świadkami lub ofiarami przemocy. Nie wyjaśnił, że rozmowa ze mną jest ważna dla zdrowia psychicznego i bezpieczeństwa emocjonalnego bohaterek i bohaterów. Nie nauczył, jak zacząć i właściwie zakończyć wywiad z osobą, która ma za sobą doświadczenie gwałtu. O co zadbać w trakcie spotkania, o czym zapewnić i czego na pewno nie mówić. Nieraz widziałam, jak do ofiary molestowania wysyłana była niedoświadczona, ale pełna dobrych chęci osoba. Pamiętam dziennikarza radiowego, który pojechał na miejsce tragicznego wypadku i rozpaczającego kierowcę autobusu zapytał: „I jak pan się teraz czuje?". Wreszcie znane są przypadki, kiedy dziennikarze nie potrafili odróżnić manipulacji od rzeczywistych skutków traumy.

Ile i ilu z nas nieprzemyślanym słowem lub gestem niechcący doprowadziło do ponownego przeżycia urazu? Czy mnie się to przytrafiło? Na pewno raz. Zbyt szybko zakończyłam rozmowę. Nie wytrzymałam tego, co usłyszałam.

Magdalena Hodalska: – Od dziennikarza sportowego czy ekonomicznego wymaga się, aby znał problematykę, którą się zajmuje. Reporter relacjonujący czyjąś śmierć, ból lub zagrożenie życia ma to robić bez przygotowania, wiedzy na temat traumy i skrajnych emocji.

Ja bym sobie nie wybaczyła

Nowy akt oskarżenia zawiera trzy nazwiska: Andrzeja Sapały, Mariana Sapały, Tadeusza B.

Wszyscy trzej są oskarżeni o gwałty zbiorowe, Andrzej ma jeszcze zarzut molestowania seksualnego (na weselu). Jego żona wykrzyczy mi do słuchawki: „On tego nie zrobił i dobrze o tym wiesz!". Dowiaduje się, że jestem we wsi i dzwoni do osoby, u której jestem.

Akt trafia do sądu w połowie grudnia 2018 roku. Prokuratorka Anna Braun domaga się dla każdego piętnastu lat więzienia. Pracuje już wtedy w Gdyni, a wkrótce, dzięki tej sprawie, zostanie zastępczynią prokuratora okręgowego. Proces rozpoczyna się jeszcze w grudniu przed gdańskim sądem i od razu zostaje odroczony. Bo na rozprawę nie dociera Tadeusz, zwolniony w tym czasie z aresztu ze względu na stan zdrowia. Sędzia pyta adwokata, gdzie jego klient.

– Nie wiem, nasz kontakt jest utrudniony – wyjaśnia pochylony nad kartkami adwokat. – Zdarza się, że oskarżony nie pamięta, że jestem jego obrońcą. Ani co się działo tydzień wcześniej. Nie sądzę, że celowo utrudnia. Bardziej zapomniał o terminie lub miał problem z dojazdem.

Trzyosobowemu składowi przewodniczy sędzia Maria Julita Hartuna. Według współpracowników solidna, pracowita, zasadnicza. Jeśli uważa, że coś jest słuszne, idzie za tym. Po wyroku w sprawie Sapałów rozpocznie studia podyplomowe z psychotraumatologii.

Pierwsze posiedzenie jest krótkie, ale już wtedy zapada decyzja, że i ten proces będzie się toczyć za zamkniętymi drzwiami.

– Oczekujemy rzetelnego i sprawiedliwego postępowania – mówi dziennikarzom Michał Poznański, jeden z dwóch obrońców Andrzeja,

adwokat pracujący w jednej z najdroższych trójmiejskich kancelarii. W trakcie procesu będzie robić wszystko, by nie doprowadzić do skazania. Szczególny nacisk położy na podważanie zeznań Ewy i dzieci. Na wynagrodzenie prawników zrzuci się cała rodzina.

Pierwszy raz widzę wówczas Andrzeja: w porównaniu ze zdjęciami znacznie schudł, czarna rozpinana bluza z zielonym pasem, pod spodem niebieska koszulka polo. Zmartwiony wyraz twarzy. Obaj zostali doprowadzeni z aresztu w kajdankach, Marian jest niewiele wyższy od barierki. Siadają na ławie pod ścianą. Nawet się nie witają. Wieczorem dostaję telefon od Włodzimierza. „Tadzio" dotarł do Gdańska, ale zgubił się na dworcu.

– Na kolejny termin przywiozą go autem – zaznacza.

Ich proces rozpoczyna się na dobre 1 lutego. Jest wcześnie, dopiero dziewiąta, a Rysiek lekko pijany przysypia na korytarzu.

– Bajzel jakiś... – Po przebudzeniu prostuje się i poprawia koszulę. – Siedzą w areszcie już dziesięć miesięcy. Dwadzieścia metrów nas dzieliło. Nie wiedziałbym?

Stach, w pogodnym nastroju i przybrudzonej dżinsowej kurtce, zastanawia się, po co sąd go wezwał, skoro on nic nie widział. Tadeusz zdaje się nie bardzo rozumieć, gdzie się znajduje, obrońca mówił mu, że jest sprawa w sądzie, to przyjechał. Pojawił się też brat Mariusza, którego poznałam w trakcie wizyty u Sapałów. Mężczyzna chodzi wzdłuż korytarza, ręce założone z tyłu. W końcu zatrzymuje się przed nami:

– Wieś wszystko wie. Gdyby coś było, to i o tym by wiedziała.

Kiedy ponownie się oddala, jego żona tłumaczy, ściskając czarną skórzaną torebkę, że mąż zaczyna bać się o pracę.

Dwanaście dni później zeznaje rodzina Ewy. Krzysiek uśmiecha się na mój widok.

– Od razu panią poznałem!

Barbara, ubrana w czarny sweterek i jasnobrązową spódniczkę, początkowo tylko mi się przygląda. Obok siedzi Robert. Skupienie na

twarzy, łokcie na kolanach.

– Teraz babcia zeznaje, już drugą godzinę – wyjaśnia gburowatym tonem. – Chyba sąd się dziś nie wyrobi. Po co to wszystko? Już żeśmy powiedzieli.

– A teraz kolejny raz, ale trzeba, trzeba. – Barbara kiwa głową, dłonie splecione na udach, paznokcie w ciemnym złotym kolorze.

– Nie można było od razu? – Robert wzrusza ramionami.

Osiemdziesięcioszześcioletnia babcia opuści salę widocznie zmęczona. Prokuratorka będzie ją przepraszać, że tyle to trwało, Krzysiek weźmie pod pachę i zaprowadzi do samochodu. Swoje zeznania zaczęła od słów: „Czy w Polsce jest takie prawo, żeby tak kobiety krzywdzić? Jak można tak człowieka krzywdzić, kto to widział? Ze zwierzętami lepiej się postępuje".

Zanim skończy zeznawać, sąd zarządzi krótką przerwę, a atmosfera na korytarzu zacznie przypominać piknikową. Barbara wyciąga z torebki domowe ciasteczka, w termosie kawa, proponuje prokuratorce. Braun odmawia, chyba ją to rozbawiło. Robi się gwarno. Przed salą gromadzą się kolejni świadkowie, w tym była konkubina Mariusza. Biała bluzka, czarny sweter w jasne wzory, uśmiecha się do nas nieśmiało. Dopiero teraz widzę, jak drobną jest kobietą. Barbara opowiada mi o najmłodszym synu. Że studiuje i myśli o wyjeździe za granicę.

– Dobry chłopak, tylko w ojca się wdał – podsumowuje, gdy z sali rozpraw wychodzi jej matka. Pakuje ciastka i termos do torby, dopowiada: – Awanturuje się.

Wyrok zapada po osiemnastu miesiącach, w piątek 3 lipca 2020 roku. Marian wygląda korzystniej niż kiedykolwiek: świeże, gęstsze włosy, wypoczęta cera, nowe dżinsy. Orzeczenia słucha w spokoju, a po jego uprawomocnieniu przeleje Ewie, jako jedyny, dziesięć tysięcy złotych nawiązki (Andrzej powinien wpłacić dwa razy tyle).

– Jemu tam nie jest źle, nigdy nie miał lepiej – wytłumaczy mi potem Włodzimierz. – Uprane, własne łóżko, regularne posiłki. Wysoka renta, którą mu załatwiłem.

Tadeusza B. na ogłoszeniu wyroku nie ma. Umarł w trakcie procesu. Ewa także się nie pojawia, a wiadomość o wyroku przyjmie z satysfakcją. Jej życie od dłuższego czasu toczy się w spokojnym rytmie codzienności. Ustalimy, że nie będę o nim pisać.

– Osiemdziesięcioszześcioletnia babka pokrzywdzonej, kiedy przyszła do sądu złożyć zeznania, zaczęła od pytania, czy w Polsce jest takie prawo, żeby tak kobiety krzywdzić – zaczyna ustne uzasadnienie wyroku sędzia Hartuna, podczas gdy na sali słychać dźwięk migawek. – Sąd dzisiaj odpowiada na to pytanie: nie, nie ma w Polsce prawa, które pozwala tak traktować kobiety.

To są rzeczy nie do uwierzenia – mówi dalej, co zajmie godzinę. – Zarówno dla przeciętnego człowieka, jak i sędziego z dwunastoletnim doświadczeniem w sprawach karnych bardziej lub mniej drastycznych. To są rzeczy, które pozostają poza granicami naszej wyobraźni. Już od początku trudno zrozumieć, jak dwudziestoczteroletnia młoda kobieta, wykształcona, bo z wykształceniem średnim, wybiera na partnera mężczyznę dwanaście lat starszego, nieposiadającego stałej pracy ani żadnego wykształcenia, który w XXI wieku, w kraju należącym do Unii Europejskiej, żyje w ogromnej biedzie, a cała rodzina nadużywa alkoholu. I nikt nie ma zamiaru tego naprawić. Możemy zrozumieć, że w grę wchodzą uczucia miłości, ale przecież od początku jest źle. Ślub cywilny odbywa się potajemnie i w Środę Popielcową. Żadna osoba wierząca nie bierze ślubu w Środę Popielcową. A ona to robi. Po ślubie zaczyna się bicie, pokrzywdzona ma nadzieję, że po urodzeniu dziecka będzie inaczej. Ale potem jest ślub kościelny i wesele, w trakcie którego dowiaduje się, że w tej rodzinie można wziąć żonę brata. Gdy decyduje się na sprzeciw i jedzie na kilka dni do matki, Mariusz przeprasza i obiecuje poprawę. Ta sytuacja akurat dla sędziego karnisty nie jest nowością, tak działa cykl przemocy w rodzinie: bicie, ucieczka, przepraszanie, okres miodowego miesiąca, znowu bicie, ucieczka, przepraszanie. Z tego cyklu bardzo trudno wydostać się o własnych siłach, szczególnie gdy nie zostaje udzielona pomoc. Wtedy zazwyczaj pozostaje się w nim latami. W rodzinie państwa

Sapałów pojawia się jednak kolejne dziecko. Przemoc nadal trwa, dochodzi głodzenie. Kiedy młodsza córka kończy roczek i nie wymaga już pieczołowitej opieki, Ewa Sapała trafia do piwnicy. I w tym momencie sytuacja dla wszystkich robi się już całkowicie nie do uwierzenia. Bo ta kobieta żyje tam, dzień po dniu, jedząc tylko to, co raz dziennie zostanie jej podane w metalowej misce. W pewnym momencie wpada na pomysł, żeby wybić okno. Myśli: może ucieknie. Okno wybija, z ucieczki rezygnuje. Gdy mąż dowiaduje się o tym, wiąże jej ręce sznurkiem. I jak powie potem córka, odtąd „mama je jak pies". Do tego wszystkiego dochodzą gwałty. Tę historię już słyszeliśmy. Zakończyła się prawomocnym wyrokiem. Ale jak wiemy z zeznań Ewy, „okropieństw było znacznie więcej". Każdy, słuchając tej historii, powie: „Ale jak to? Przecież powinna uciec". Co więcej, nie spędzała w piwnicy całej doby. Była tam nocami, w ciągu dnia była wypuszczana, mogła coś powiedzieć. Była wysyłana do pracy. Miała możliwość opowiedzenia swojej historii, poproszenia o pomoc. Zdecydowała się dopiero 28 grudnia 2010 roku, w stanie totalnego wycieńczenia fizycznego i psychicznego. Dlaczego? Trudno to wyjaśnić. Ona sama mówi: „Ja bym sobie tego nie wybaczyła". Nie wybaczyłaby sobie, gdyby jej udało się uciec, a dzieci zostały z ojcem. O ile jeszcze starsza córka była stosunkowo dobrze traktowana, to młodszą całkowicie znienawidził. Takie tłumaczenie jest dla nas z pewnością nieprzekonujące, każdy powie: „To nie do wiary, że to trwało dwa lata". I to się nie mieściło w głowie również doświadczonym prokuratorom. Gdyby Ewa nie zmieniła miejsca zamieszkania, a jej córka nie zaczęła prowadzić pamiętników, my byśmy się o tej sprawie nie dowiedzieli.

Dlaczego dziś wierzymy? – kontynuuje sędzia. – Bo nie da się tej historii zmyślić, taką wyobraźnią dysponują może autorzy najbardziej krwawych horrorów, nie Ewa. Nie da się tyle razy zeznawać w tak konsekwentny sposób. Nie da się takiej historii komuś wmówić ani zasugerować czy nakłonić do tak szeroko zakrojonego kłamstwa. Zwłaszcza że mówimy o małych dzieciach. Alicja, kiedy zeznaje po raz pierwszy, ma cztery i pół roku. Jest przedszkolakiem i to jeszcze, przez te doświadczenia, nieco opóźnionym. Kolejną odpowiedzią jest opinia biegłych, która mówi

o cechach bierno-zależnych u Ewy. To bardzo dobrze koresponduje z jej decyzjami życiowymi. Ona musi być z kimś, nie ma większego znaczenia to, czy jest to dobry człowiek, czy zły. Wiemy, że po tych wydarzeniach, o których mówimy, szybko weszła w nowy związek. Na szczęście tym razem z mężczyzną, który jest dla niej dobry, ale te cechy charakteru to też odpowiedź. Osobowość bierno-zależna potrzebuje drugiej osoby i podporządkowuje się jej woli. Ale jak to się ma do mężczyzn, którzy dzisiaj siedzą na ławie oskarżonych? Dlaczego Alicji i Ewie aż siedem lat zajęło naprowadzenie na sprawców? Biegłe z zakresu psychotraumatologii przez siedem dni, po kilka godzin dziennie, tłumaczyły, jak funkcjonuje człowiek, który doświadczył tak ogromnej traumy związanej z nadużyciem seksualnym. Przede wszystkim interesowała nas kwestia pamięci i zespół stresu pourazowego. I wszystko, co się w tej sprawie wydarzyło, jest zgodne z nauką, z opisem funkcjonowania osób z PTSD. Nie znaczy to jednak, że sąd nie miał wątpliwości. Była teoretyczna możliwość, że pokrzywdzone oszukują, kłamią, celowo chcą wprowadzić organy ścigania w błąd, próbują doprowadzić do skazania z zemsty. Możemy to sobie wyobrazić. Albo że to mogły być inne osoby, choć szeroko zakrojone postępowanie dowodowe wykazało, że to niemożliwe, kluczowe jest jednak pewne ważne zjawisko: ciało nie kłamie. Można różne rzeczy mówić, wyobrazić sobie, wymyślić, ale nie da się przekazywać nieprawdy ciałem. Przykładowo: jeśli dziecko dostaje ataku paniki na widok taśmy klejącej, znaczy, że jego ciało reaguje, zanim zrobi to umysł. Takich reakcji nie da się dziecku zasugerować, to odruchy niezależne od woli. Przypomnę, że do gwałtów dochodziło wielokrotnie, trwało to niemal dwa lata. Tego przestępstwa oskarżeni dopuścili się wobec członka rodziny, osoby, którą powinni traktować z szacunkiem. Tymczasem tę kobietę totalnie uprzedmiotowili, sprowadzili do roli przedmiotu, przy pomocy którego można zaspokajać popęd seksualny. Na nic nie zwracali uwagi, na dziecko, menstruację, skutki psychiczne, do jakich może doprowadzić ich zachowanie. Alicja do dziś sobie nie radzi, ma problemy w nauce, w relacjach z rówieśnikami, z agresją, także wobec siebie. Na to wszystko nakłada się przedwczesna seksualizacja, która pojawiła się w wieku już

kilku lat i zapewne będzie rzutować na jej przyszłe życie intymne. Ewie trudno zaadaptować się do życia w społeczeństwie. Trzeba też wspomnieć, że oskarżeni nie podejmowali jakichkolwiek starań o naprawienie szkód. Sąd rozumie, że taka była linia obrony, że nie przyznawali się do winy, ale wiadomo, że rodzina Sapałów wyrządziła pokrzywdzonej ogromną krzywdę. I nawet z uwagi na solidarność braci można było okazać wsparcie materialne, czy chociażby moralne. Materiał dowodowy w tej sprawie nie jest mocny. To nie jest materiał, który nie daje żadnych wątpliwości, ale w ocenie sądu jest wystarczający i kompletny. Nie był to, wbrew temu, co sugerował jeden z obrońców w mowie końcowej, proces poszlakowy. Nie mamy tu do czynienia z poszlakami, ale z bezpośrednią relacją naocznego świadka. Fakt, że ten świadek w chwili zdarzenia miał dwa, trzy i cztery lata, nie znaczy, że nie potrafił zapamiętać tego, co się zadziało, a po latach tego odtworzyć.

A już zupełnie niezwykłe w tej sprawie – dodaje sędzia – były wspomnienia zapachowe.

Zapachem nie da się manipulować

Kamienica na warszawskim Starym Mieście, wysokie sufity, duże okna. Na regałach stosy książek, na ścianach pamiątki z pobytów w Indonezji i Afryce. Idąc na spotkanie, spodziewam się typu naukowczyni, górnolotnej rozmowy, dystansu. Zastaję osobę pogodną i bezpośrednią. Profesor Ewa Czerniawska, rocznik 1955, jest jednym z czołowych polskich autorytetów w dziedzinie psychologii uczenia się i pamięci. Napisała ponad sto artykułów, opublikowała dziewięć książek, współpracowała z ośrodkami badawczymi w Australii i we Włoszech. Zajmuje się też wpływem muzyki na człowieka i od lat specjalizuje w psychologii węchu.

– Proszę spojrzeć na spis treści. – Profesor Czerniawska kładzie mi na kolanach trzy książki, wśród nich słynny Zimbardo i jego *Psychologia i życie*, po raz pierwszy wydana w 1996 roku. – Tam, gdzie mowa o wrażeniach zmysłowych, autor pisze o wzroku i słuchu, resztę, czyli smak i węch, zamyka stwierdzeniem „inne zmysły". Podobnie jest w większości podręczników psychologii. Przez wiele lat nie zajmowano się pamięcią węchową, bo uważano, że zapach jest najmniej istotny. Brało się to z faktu, że najwięcej informacji o świecie rzeczywiście dostarcza człowiekowi wzrok i słuch, a węch długo pozostawał najbardziej zagadkowym z naszych zmysłów. Najbardziej zmieniło się to po roku 2004, kiedy Nagrodę Nobla otrzymali amerykańska lekarka i lekarz za swoje badania nad receptorami węchowymi i układem węchowym. Zmysł ten jest jedynym, w którym występuje bezpośrednie połączenie ośrodkowego układu nerwowego z bodźcami pochodzącymi z zewnątrz, dzięki czemu jest on najbardziej wrażliwy.

Przed spotkaniem czytam pracę doktorską Anny Kraśkiewicz, napisaną pod kierunkiem profesor Czerniawskiej. Dowiaduję się z niej, że sygnały węchowe mają przewagę nad pozostałymi, bo mogą być przekazywane w ciemności i w wodzie, odbierane są mimowolnie, nawet nieświadomie i bywają trudne do zapomnienia. Zapachy wydziela większość żywych organizmów, a zwierzęta, rośliny czy grzyby używają ich do komunikacji. Przekazy te wyróżnia doskonałość – są bardziej precyzyjne niż mowa.

W życiu zwierząt zapach odgrywa rolę kluczową, bo pozwala wykryć pokarm, wyczuć wrogów czy partnerów seksualnych. Ludziom poprawia samopoczucie (lawenda, cytrusy), wzmaga ich czujność (decyduje o tym, jak kogoś postrzegamy) i wpływa na ocenę moralną (w otoczeniu brzydkich zapachów jesteśmy surowsi). Ostrzega nas też przed niebezpieczeństwem.

– Dowiedziono, że osoby z uszkodzonym węchem częściej ulegają zatruciom i wypadkom – mówi Ewa Czerniawska. – Zatruwają się żywnością lub związkami chemicznymi, nierzadko stają się też ofiarami pożarów, bo na wczesnym etapie to węch prędzej nam podpowie, że coś się dzieje, niż jakiś inny zmysł. Utrata węchu ma również wpływ na zdolność pełnego odczuwania smaku.

Każdy człowiek pachnie inaczej, co najpewniej uwarunkowane jest genetycznie. Tylko bliźnięta jednojajowe mają tak podobny zapach, że nawet psom sprawia kłopot ich odróżnienie. Z kolei kobiety są bardziej wrażliwe na zapachy i lepiej te zapachy rozpoznają – na przykład kolegów czy partnerów po zapachu podkoszulka.

Profesor Ewa Czerniawska: – Także lepiej niż mężczyźni potrafią rozpoznać własną woń. Gdy poproszono grupę osób o zidentyfikowanie własnego waciku, wcześniej trzymanego pod pachą, udało się to prawie 60 procentom kobiet i tylko niewiele ponad 5 procentom mężczyzn. Psychologia węchu dostarcza niezliczonych informacji o człowieku. Na przykład jedno z badań pokazało, że ludzie są w stanie ocenić po zapachu, czy ktoś oglądał komedię czy horror. Przeżywane emocje mają bowiem wpływ na wydzielaną woń, a człowiek jest w stanie odróżnić zapach

połączony ze stresem od tego powstałego pod wpływem przyjemności. Jeśli wydarzenie należało do silnie stresujących, to niemal pewne, że zapamiętaliśmy towarzyszącą mu woń. Pokazały to badania nad PTSD, kiedy zapach paliwa wywoływał u amerykańskich weteranów wojennych wspomnienia konkretnych zdarzeń z frontu. A jeśli ktoś miał stwierdzone PTSD, symptomy tego zaburzenia ulegały wzmocnieniu. Kiedyś podczas szkolenia podeszła do mnie sędzia i opowiedziała, że w PRL-u doznała napaści. Sprawca używał wody toaletowej „Przemysławka". Do dziś, za każdym razem, gdy poczuje ten zapach, ponownie wszystko przeżywa.

Osoby doświadczone ogromną przemocą potrafią trwale wypierać przeszłość lub odpamiętywać ją etapami. To nie jest tak, że ta pamięć nie istnieje, lecz jest im bardzo trudno swobodnie i po kolei wszystko opowiedzieć. Przeszłość jest pocięta, niepełna, dopiero po wskazówkach, czasem prostych, wydobywają z siebie brakujące informacje. Taką wskazówką może być dźwięk lub zapach.

Już w 1984 roku przeprowadzono eksperyment pokazujący, że bodźce zapachowe są silniejsze od słownych czy obrazowych. Kawa, cynamon, papierosy, puder dla niemowląt wywoływały dużo więcej wspomnień niż zdjęcia pokazujące te obiekty. W ten sposób przypominano sobie również o faktach wydawało się zapomnianych. Stwierdzono wówczas, że wspomnienia węchowe cechuje silniejsze nasycenie emocjonalne oraz większa liczba przytaczanych szczegółów. Kiedy indziej osoby, które kilka lat przed badaniem zwiedziły skansen w Wielkiej Brytanii, na podstawie aromatów miejsca odtworzyły nie tylko jego wygląd, ale także to, czego się wtedy nauczyły.

Inny eksperyment, w 1989 roku, przeprowadziło dwoje badaczy pamięci węchowej, Arnie Cann i Debra A. Ross. Badani otrzymali do przejrzenia serię zdjęć, a testowi towarzyszyły konkretne zapachy. Po dwóch dniach okazało się, że lepiej pamiętają je ci, którzy odtwarzają obejrzane fotografie w obecności tego samego aromatu. Trzynaście lat później okazało się, że wspomnienia wydobyte dzięki zapachom różnią się od wspomnień wydobytych słowami czy obrazkami nie tylko ilościowo, lecz

także jakościowo: węchowe cechuje silniejsze nasycenie emocjonalne oraz większa liczba przytaczanych szczegółów.

Pamięć zapachu jest trudna do podważenia, bo to ślad pierwotny, zachowany w nozdrzach. Liczne badania potwierdzają, że to pamięć bardzo trwała, a dzieje się tak – jak już lata temu wykazali naukowcy – bo części mózgu odpowiedzialne za przetwarzanie zapachów silnie łączą się z tymi odpowiadającymi za pamięć.

Ewa zapach pozostałych sprawców po raz ostatni poczuła pod koniec 2010 roku. I odtworzyła go niecałe osiem lat później. Pytam profesor Czerniawską, co się dzieje, gdy pojawia się wokół nas nieznany dotąd zapach związany z ludzkim ciałem.

– To nowy bodziec, więc czujemy go od razu – odpowiada. – Ale im częściej do nas dociera, tym bardziej staje się akceptowalny lub po prostu przestajemy go czuć. Proces ten nazywa się habituacją i polega na stopniowym zanikaniu reakcji na powtarzający się bodziec. Zapachy mają wysoką łatwość rozprzestrzeniania się w powietrzu i w wodzie, jeżeli więc bohaterka pani reportażu oddychała w miarę swobodnie, to pewne jest, że mogła wdychać zapachy będące poza powierzchnią worka, który jej zakładano. Poza tym po wyjściu mężczyzn z piwnicy, pozostały one przecież w pomieszczeniu. Zapachy, które wiążą się z odorem spoconej skóry, alkoholu, tytoniu, zawsze są bardzo intensywne. Pani Ewa mogła się do nich przyzwyczaić, ale na pewno zostały one dobrze zapamiętane, bo wiązały się z niezwykle stresującym wydarzeniem. Nasza podświadomość każdy nieprzyjemny zapach odbiera jako groźny. Gdy do niego wracamy, dokonuje się odpamiętywanie kojarzonych obrazów, głosów.

Balon przecież pęczniał

Marian i Andrzej dostają odpowiednio dwanaście oraz dwanaście i pół roku bezwzględnego więzienia. O warunkowe zwolnienie mogą się ubiegać po odbyciu trzech czwartych kary. Do tego zakaz kontaktu i zbliżania się do pokrzywdzonych przez piętnaście lat na nie mniej niż dwieście metrów. Pozbawienie praw publicznych i obciążenie kosztami postępowania. Po kilku dniach dzwoni Włodzimierz.

– Wysłuchałem, co ta sędzia mówi, i to się w pale nie mieści. Pani musi mieć w sądzie jakieś powiązania, tego inaczej nie da się wytłumaczyć. Ja jednak wynajmę tego detektywa. Sto tysięcy wydam, a zgnoję tę pani gazetę. Gdyby oni robili takie rzeczy, od ojca i matki dostaliby dożywocie. Nie musiałaby pani artykułów pisać. Aha, dom jest już mój, zaczynam sprzątać. Ludzie mówią, żebym zburzył, że nic z tego nie będzie. Ale ja go zostawię. Jako dowód.

Wysokość wyroku ma związek z orzeczeniem w sprawie Mariusza. Miał podobne zarzuty i za ten fragment swojego okrucieństwa otrzymał dwanaście lat. Andrzej dostał pół roku więcej, bo jeszcze molestował. Sąd wziął pod uwagę, że nie byli karani.

Rok później, 23 lipca 2021, sąd apelacyjny wyrok podtrzymuje. Jak uzasadnia sędzia Dorota Rostankowska, kara nie jest rażąco surowa, a podważanie przez obrońców zeznań pokrzywdzonych jest bezzasadne. Podobnie jak kwestionowanie opinii biegłych.

Orzeczenia wysłuchuje wyłącznie mecenas Michał Poznański, obrońca Andrzeja. Oskarżeni widocznie odmówili uczestnictwa. Adwokat po wyjściu z sali sprawia wrażenie zaskoczonego, z niedowierzaniem przeciera czoło. Później złoży wniosek o kasację do Sądu Najwyższego.

*

Drzwi domu otwiera mi drobna blondynka ubrana w czarne spodnie i zieloną bluzkę. W ręku trzyma krótki nóż do obierania kartofli. Spory rondelek jest już pełen, zdejmuje skórkę z jeszcze dwóch, łupinki wrzuca do kosza, nóż wkłada pod kran. Przeciera ścierką, otwiera szufladę. Lubi mieć czysto, wiedzieć, czego się spodziewać. Bez tego, mówi, nie mogłaby żyć.

– Ludzie u nas są w porządku, szczerzy, tylko czasy się zmieniają. – Na stole, przy którym siadamy, sfatygowany kryminał z biblioteki. – Kiedyś w Nowy Rok spraszało się sąsiadów, przychodzili, potańczyli. Albo w nocy się szło, bo cielak się rodził, i od razu ktoś był. Nie było gadane nic. A teraz? Po szklankę cukru nikt nie przyjdzie. Tu była kiedyś taka sytuacja, kilka domów dalej. Przyjeżdżał pijany mąż, w nocy grandę robił, matka zabierała dzieci, a sporo ich mieli, i chodziła po sąsiadach. Siedziały całą noc, czasem też w dzień. Jak tatuś wytrzeźwiał, wracali. I to było normalne, że się drzwi otwierało. A czy pani sobie wyobraża, że ludzie dziś takie chętne, żeby matkę z sześciorgiem dzieci, albo i więcej, co rusz do domu brać? Nie ma już tak. Gdy ten tatuś zmarł, okazało się, że córkę gwałcił. I kto wie, czy tylko ją. Skąd wiadomo? Sama opowiedziała. A ludzie i tak gadali, że może nerwy miała. Nikt w zło wierzyć nie chce. Mariusz dobry chłopak był, ojcu pomagał, siano zwozili, gnój przewalali. Ładne blond włosy, muzyką się interesował. Tylko w szkole osioł do potęgi. Nie chciało mu się uczyć, ale też warunków to oni nie mieli. Marcela pijana darła im zeszyty, żeby odrobić lekcje, musieli się chować. Jego siostra zaszła w ciążę niedługo po ukończeniu piętnastu lat, bo matka chciała, żeby szybko z domu wyszła. Chyba jej to na dobre wyszło, męża podobno ma w porządku. Synowie? Nie tylko Mariusz z innego ojca. Ale tylko o nim się mówiło, że nie jest ich. Nie wiem, dlaczego się tak uwzięli. Może przez to, że jego ojciec bardzo go kochał, zupki w puszkach nosił, ciuszki kupował. Zabierał do siebie. Bardzo za nim był, gdy nie miał za co żyć, zamieszkał w lesie. Byle być blisko. Skończył w domu starców, Mariusz do niego jeździł.

Najpierw rozeszło się, że Ewa zostawiła Mariusza – mówi dalej. – Nikt nie wiedział dlaczego, ludzie myśleli, że za bicie, bo że bił, to wiadomo. Później wyszło, że oddała do prokuratury. Nie wierzyłam, ale potem się człowiek dowiaduje, o co chodzi, i myśli: „Nie ma dymu bez ognia". Ja ją dobrze pamiętam. Szczuplutka, getry w kratę, sandały. Widać było, że się zakochała. On był z niej dumny. Chwalił się ślubem, cieszył. Jeździła na rowerze, do pracy, Mariusz jechał ją odebrać. Mnie się wtedy wydawało, że to troska, a teraz to nie wiem. Był za córką, też było widać. Poszedł z nią kiedyś do ośrodka zdrowia, na kolanach trzymał, głaskał. Wiem, że to się tam nie spodobało. A jak już się rozstali i miał konkubinę z synem, to ciągle za nim łaził – do szkoły czy na półkoloniach odwiedzał, sprawdzał, jak mu dzień minął. Opiekunki go przegoniły. Wieś wsią, ale na dzieci każdy jest wyczulony. Tylko w kwestii dorosłych gorzej: twoja żona, twoja sprawa. Był taki moment, że przez dwa, trzy miesiące się nie pokazywała. Ani na rowerze jej nie było widać, ani w sklepie. Pytałam po wsi, czy żona Mariusza się wyprowadziła. Ale wkrótce się odnalazła, do pracy jeździła. Może on naprawdę miał ją zamkniętą w tej piwnicy?

Jak go aresztowali, było gadane, że za molestowanie dziewczynek. Utłuc takiego, ludzie mówili, kamieniem w łeb. Dopiero później wyszło, że to o Ewę chodziło, a nie o dzieci. O dziewczynki też go oskarżyli? No to jest straszne. Tu ludzie myślą, że o nią. Mariuszowi zaczęło się zmieniać po śmierci ojca. Brzydnął i głupiał. Miał może dwadzieścia lat, kiedy każdym chciał już rządzić. Pracował w PGR-ze przy zbożu i ludzie mówili, że jeszcze dzień, dwa z nim w robocie i komuś stanie się krzywda. Dominować chciał, wszystkich denerwował. Nie można powiedzieć, że był niegrzeczny, tylko nabrał wysokiego mniemania o sobie, a nawet porządnie płytek w łazience nie potrafił położyć. Później doszedł alkohol. Za matką był strasznie, ale potrafił uderzyć. Jakby nie wiedział: kochać czy nienawidzić. Policja była u nich częstym gościem. Opieka? Ci to mnie dziwią. Aniela pije, rodzi dziecko jedno po drugim, a tam nawet kuratora nie ma. Dopiero jak gazety się zainteresowały, to panie szanowne ruszyły się zza biurek. Jak im raz chciałam donieść, że u sąsiadów źle się stało, to

mi powiedziały, że mam się pod tym podpisać, bo anonimy są nieważne. Poszłaby pani na to?

Wszyscy Sapałami byli zaskoczeni, a balon przecież pęczniał, kwiczał, aż huknął. Jedni mówią, że ich wszystkich trzeba by zamknąć, inni, że trudno oceniać, wyszło po czasie. O Andrzeju bym powiedziała, że tylko alkohol, ale chodził tam, przesiadywał z matką. Jego żona cały proces mówiła, że mąż zaraz wróci. Jeszcze bardziej się rozpiła. Tadzio to zawsze łapy do młodziutkich dziewczyn wyciągał, zaraz chciał próbować. Ale dostawał po łbie i był spokój. Dziewczyny chyba żadnej nigdy nie miał. Tylko on tam krótko chodził, częściej, prawie codziennie, był inny (tu pada nazwisko). Też brudas. Marian? Mówiło się różne rzeczy, także o tym, kim jest jego ojciec. Jest takie powiedzenie „Chcesz wiedzieć, co się dzieje w domu, zapytaj u sąsiada". Tylko że ich najbliższy to leśnik, a jego żona Sapałami się nie interesowała. Nikt się nie interesował, bo nie było czym. Brud taki, że rodzina z obrusem plastikowym jechała w odwiedziny. Jeden z braci Mariusza ma żonę, która go pogrzebaczem potrafi pogonić, lepiej nie mówić, tam przemoc w drugą stronę, ale przynajmniej się nie stoczył. Taki Rysiek też się dobrze zapowiadał. Wysoka kultura, pracował w gdyńskiej stoczni, czyściutki. Po lektury sięgał. Pracę stracił, zaczęła się jazda w dół. Gołym okiem było widać.

Wyszedł ten pani reportaż – dodaje na koniec. – Największa pludra we wsi powiedziała: „Słuchaj, coś tam być musiało. Marcela nauczyła ich pić, ale nie tylko". Ja pani powiem, gdzie iść, ona wszystko wie, to ich rodzina. Tylko nie może pani zdradzić, że to ode mnie. Najlepiej pojedzie pani w niedzielę, przed kościołem. Ja? Też chodzę, ale jeśli o wiarę chodzi, to tylko zacznę roztrząsać, co w tym kościele słyszę, i nic mi się nie zgadza. Ale na mszy jestem, takie wychowanie.

Jest już ciemno, moja rozmówczyni odprowadza mnie do samochodu. Gdy wsiadam, jeszcze dorzuca: – Jakaś kobieta pisze do Mariusza. Żenić się chce, jak ta od Trynkiewicza.

*

Wracam w następny weekend. To, co usłyszę, powtórzą później jeszcze dwie osoby, a Włodzimierz wysyczy do słuchawki: „Mnie nie, a Mariusz by się nie dał".

– Ja pani prawdę powiem. – Kobieta zastrzega, że rozmawia anonimowo. – Marcela nic warta nie była. Robiła, co chciała, mąż nic do gadania nie miał. Coraz więcej piła, agresywna się robiła, w łóżko potrafiła nasikać. Potem udar miała, to się trochę uspokoiła, zastanawiała się, dlaczego Mariusz na wariata wyrósł. Ale zanim myślenie ją dopadło, zarządziła organizację ukrytego miejsca w lesie. Uklepane podłoże, zasłonięte gałęziami. Niby, żeby popijać, dzieci nie gorszyć, ale różnie się gadało. Głupio tak mówić, ale Andrzej powiedział kiedyś, że zastał matkę z (imię jednego z braci). Podobno zaczęło się, gdy ten był chłopcem, bo chciała go nauczyć, co się robi z żoną. Wcześniej z innym synem zastała ją siostra Witka. Na stole butelka, oni pod kołdrą. Własna matka się jej wyrzekła, ale ja nie mam pewne, że Marcela nie miała równie trudno. Jak Mariusza wsadzili, powiedziała, że Ewa była nic nie warta. Ale ona tak o każdej żonie syna mówiła. Potem były artykuły, telewizja. Patrzę, Mariusz! Oczy zasłonięte, po głowie poznałam. Prawda to czy to nieprawda, za co siedzą? Niech mi pani powie. Myśmy nie wiedzieli. Czy rodzina wiedziała? Sama się nad tym zastanawiam.

Ratunku!

Późna jesień, odwiedzam najstarszych mieszkańców wsi, rozmawiamy głównie o drugiej wojnie światowej. W domu ostatniej rozmówczyni pojawiam się przypadkiem. Że warto podejść, podpowiedziała dalsza sąsiadka: Kobieta stare czasy pamięta aż nadto, jej rodzina wprowadziła się na te tereny na początku lat trzydziestych, pani idzie!

Jest zaskoczona, że bez zapowiedzi, ale zaprasza. Częstuje babką cytrynową, parzy kawę. Wydaje się niezwykle delikatna, krucha. Po ponad godzinie schodzimy na Sapałów.

– To człowiek nie wierzy – mówi. – Jak ktoś taki głupi, to trudno. Co ta kobieta mogła? Nic nie mogła. Było w tajemnicy, oni nikogo nie przyjmowali. Myśmy dopiero potem skojarzyli, że gdy to się działo, on tutaj pracował w firmie, dach naprawiał. Jak się zachowywał? Dobrze, o nic go nie można było podejrzewać, ładny chłopak. Nawet jak się z telewizji dowiedzieliśmy, to nadal nie do końca rozumieliśmy, co tam się stało. Ale my to się tak specjalnie ludźmi nie interesujemy. Co się we wsi dzieje, nic nie wiemy. Ja ludzi nie znam.

– Jak pani może nie znać?

– Starszych się zna, młodzieży nie. Dziś każdy ma telewizor, internet włączy, nie trzeba się znać. Sapałów znaliśmy, bo Marcela i Witold sprowadzili się tutaj w 1974, ale do nich nie zachodziliśmy. Duża rodzina, dom po Niemcu, bieda. A teraz trzech siedzi, tyle co ja wiem. Nikt o tym nie wiedział. Pamiętam tylko, że ta Ewa biedna była, wychodziła z domu i wołała ratunku. Ale czy coś więcej, to nie, nic my nie wiedzieli.

Patrzę na nią dłuższą chwilę. Czuję, że babka staje mi w gardle i pęcznieje. Chwytam szklankę, ale tam tylko fusy. Zaczynam się krztusić.

Kobieta zrywa się, przebiega przez długi korytarz, wpada do kuchni, wraca ze szklanką wody.

– Jak to „ratunku”? – pytam z niedowierzaniem. – Skąd pani to wie? Kto to słyszał?

– Ja, ale nie wierzyłam.

– Kiedy to było?

– Poszłam na spacer, jakieś pół roku przed jej ucieczką. Lato to było. Szłam drogą niedaleko ich domu, tam jest zagajnik, nagle wyjrzała zza liści: „Proszę pani, chodź pani”.

– Ale Ewa, jego żona?

– Tak, jego żona. „Chodź pani, ja pani coś powiem. Niech mnie pani ratuje, niech mi pani pomoże”.

– I pani co?

– Ja tak stanęłam… – Zmieszana łapie moją dłoń, oczy jej wilgotnieją, ale nie wypływa żadna łza. – I on się zaraz pojawił: „O, kochanie, tu jesteś, chodź do domu, chodź”. Taki miły do niej był. Powtarzał „kochanie, kochanie”, no kto by przypuszczał… Patrzyłam, jak odchodzili. Koło domu się zatrzymała i coś tam jeszcze wołała, kiwała. Ja tak patrzę, myślę: „Potrzebuje pomocy czy co?”.

– Zawołała „Ratunku!”. – Opuszczam głowę, mówię jakby do siebie i zaraz unoszę wzrok: – A nie pomyślała pani, żeby o tym komuś powiedzieć?

– Nie.

– To co pani pomyślała o tej sytuacji?

– Nic nie pomyślałam. Jeżeli ktoś mówi „chodź kochanie”, wtedy w małżeństwie jest w porządku. Ona przy nim grzecznie szła, chyba się nawet uśmiechała, no to kto by przypuszczał! Ja sobie o tym przypomniałam, gdy głośno się zrobiło. Ale było już za późno. To był ładny, dobry i spokojny chłopak, a ja ciągle w domu, nie licząc kościoła. Siedzę w tej budzie i telewizor oglądam. Jezu, i co teraz? Niech pani powie!

Nie mogę zebrać myśli, wydaje mi się, że świat wokół mnie zwalnia.

– Niech mi pani wierzy, zabrakło mi wyobraźni – wybija mnie z odrętwienia. – Przecież to było tajne. Wierzy mi pani?

Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to zapytać, ile razy w życiu słyszała „Ratunku!".

– Ja do dziś się dziwię, że żyję. – Zaczyna płakać. – Ojca wywieźli do Niemiec, nas z matką w 1942 roku albo 1943 do Potulic. Myśmy tam byli głodzeni, w lato picia nie było, w zimie niepalone, kąpiel lodowata, jak człowiek zdobył kiełbasę, to za karę bity był. Mróz taki, że dzieci padały. To było sadystyczne, nie do uwierzenia. Ale człowiek przetrzymał, dwadzieścia pięć stopni mrozu w baraku, skóry od ziemniaków z piachem, brudem na obiad, które sobie jeszcze wyrywaliśmy, a Niemcy na nas patrzyli i wołali: „Polskie świnie!". Dzieci do piwnicy wrzucali, a one ręce wyciągały: „Mama, ratuj!". Piski, krzyk, płacz. Nikt nic nie mógł zrobić. A potem kazali nam tam wchodzić i trupy wyciągać. Albo do basenu dzieci wrzucali. Głodne były, zmarznięte, więc płakały, to oni siup do wody i topili. Tego się nie da opowiedzieć. Ani zrozumieć. Ja mogłam być tym dzieckiem. Krew z nosa mi leciała, z ust, w nocy się budziliśmy, bo człowiek się bał, że jak mocno zaśnie, to się nie obudzi. I jakby tego było mało, to kolejne dzieci się rodziły. Nikt nie wie ile. A matki przecież mleka nie miały…

Potem nas po rodzinie porozwożono, bo nikt nie wiedział, gdzie są rodzice. Ziemniaki ciocia gotowała dla kur, a ja nie mogłam zrozumieć, jak można takimi dobrami karmić zwierzęta, więc te ziemniaki potajemnie chowałam pod pierzynę. Matka wróciła po półtora roku, nawet nie wiedziała, u kogo była. Podejrzewamy, że się błąkała, z szoku doznała amnezji. Od ludzi wiemy, że ktoś ją znalazł leżącą na ulicy wśród umarłych. Wóz po niej przejechał, połamał żebra, nogę. Obcy pomogli, a ona, gdy tylko odzyskała jakąkolwiek pamięć, uciekła. Trzymała w dłoni różaniec, modliła się i nas szukała. Ojciec wrócił po trzech latach. Tego się nie da opowiedzieć…

*

Zbieram się w sobie, wyłączam dyktafon, do torby pakuję notes. Wsiadam do samochodu, zatrzymuję się na skraju lasu. Przed sobą mam drogę, którą musiała iść, by przejść obok zagajnika i domu Sapałów. Jest rozpaczliwie pusto. Wracają do mnie rozmowy z Ewą. Jej wyraz twarzy, uśmiech, łzy, pierwsze spotkanie, godziny w moim mieszkaniu. Wracają te wszystkie szczegóły, których wolałabym nie poznać, natarczywie stoją: gesty, zdania, które nie od razu potrafiłam odczytać, błyski bólu, zapomnienia. Przypomina mi się, jak opowiadała o zagajniku i ocierając łzy, zapytała, jak to możliwe, że jej tam nikt nie zauważył.

Siedzę tak kwadrans, może pół godziny. Za szybą nagie korony drzew, na gałęziach resztki brązowych liści. Jestem tak zmęczona, że wydaje mi się, że nie będę w stanie prowadzić. A potem jeszcze wspomnienie zdjęć, które zrobiono jej, gdy zdołała uciec.

Nie zapomnę o Tobie.

Podziękowania

Ta książka powstawała ponad cztery lata, bo zależało mi na ukazaniu wielu wymiarów przedstawionej historii. Mam nadzieję, że poznanie kontekstów pomoże czytelnikowi zrozumieć, co się wydarzyło i dlaczego. Tylko jeśli przyznamy, że odpowiedzialny nie był wyłącznie sprawca, możemy mówić o nowym początku.

Najważniejsze podziękowania kieruję do Ewy: obdarzyłaś mnie zaufaniem, poświęciłaś czas, dałaś siłę. Chciałaś przekazać osobom tkwiącym w przemocowych relacjach, że życie może się zmienić. Przekazałaś znacznie więcej.

Serdeczne podziękowania należą się wszystkim pozostałym rozmówczyniom i rozmówcom. Bez Was – Waszej wiedzy, doświadczeń i życzliwości – ta publikacja nigdy by nie powstała.

Początek książce dał reportaż z czerwca 2017 roku, opublikowany w „Dużym Formacie", tygodniku reporterów „Gazety Wyborczej". Jestem wdzięczna redaktorce tamtego tekstu, Ariadnie Machowskiej, za mądre wskazówki i odpowiednio krytyczną redakcję.

Dziękuję Sulisławie Borowskiej, dr hab. Miłosławie Borzyszkowskiej-Szewczyk i dr Magdalenie I. Sasze za rozmowy, kontakty, książki. Bogumiła Cirocka poświęciła pół dnia, by przetłumaczyć mi pisane po kaszubsku opowiadania Krystyny Lewny. Krystyna Lewna zmusiła mnie do ubiegania się o stypendium literackie marszałka województwa pomorskiego. Darowany w ten sposób czas pozwolił mi stworzyć pierwszą wersję książki, przez kolejny rok mozolnie poprawianą i uzupełnianą.

Dziękuję Jackowi Wiercińskiemu z tygodnika „Zawsze Pomorze" za udostępnienie nagrania z ustnego uzasadnienia wyroku sędzi Marii Julity

Hartuny. W książce podaję tylko dwa cytaty, ale w kilku miejscach wykorzystuję fragmenty tego uzasadnienia jako elementy narracji.

Dr Sylwia Bykowska z Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN przeczytała fragmenty historyczne i wprowadziła niezbędne korekty. Za okazaną pomoc dziękuję także dr. Janowi Danilukowi.

Bliskim, przyjaciołom i znajomym jestem wdzięczna za popychanie mnie do przodu. Tym, którzy nie wierzyli – za motywację. Annie Chamberlin dziękuję za stworzenie mi warunków do pisania na najbardziej zaawansowanym etapie pracy.

Mecenas Tomasz Ejtminowicz zrecenzował książkę prawnie i skłonił do ponownego przemyślenia pewnych kwestii. Psychotraumatolożka dr Ewa Odachowska-Rogalska wzbogaciła reportaż merytorycznie. Magdalena Rigamonti i Tomasz Słomczyński przeczytali tekst na chwilę przed pójściem do druku, a ich uwagi mocno się książce przysłużyły.

Sylwia Frołow, Anna Kołat i Aleksandra Kubis czuwały nad poprawnością językową. Dorocie Jabłońskiej z wydawnictwa Wielka Litera dziękuję za troskliwą obecność. Wyjątkowe podziękowania kieruję także do Moniki Mielke.

Katarzyna Włodkowska

Bibliografia

Literatura

1. Beisert Maria, *Kazirodztwo. Rodzice w roli sprawców*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2004.
2. Beisert Maria, *Pedofilia. Mechanizm i geneza zaburzenia*, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2012.
3. Borzyszkowski Józef, *Historia Kaszubów w dziejach Pomorza*, t. 4, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2019.
4. Bruski Klemens, Groth Andrzej, *Dzieje Krokowej i okolic*, oprac. zbior., Marpress, Gdańsk 2002.
5. Budnik Alicja, *Możliwości odtwarzania struktury genetycznej populacji na podstawie źródeł historycznych* [w:] *Wielowymiarowość badań biodemograficznych i związki z innymi naukami*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2016.
6. Dobrzyński Feliks, Sacha I. Magdalena, *Ziemia krokowska 1939–1945*, Muzeum Regionalne w Krokowej, BiT, Krokowa 2009.
7. Gilligan James, *Wstyd i przemoc. Refleksje nad śmiertelną epidemią*, przeł. Andrzej Jankowski, Media Rodzina, Poznań 2001.
8. Gołębiewski Hieronim, *Obrazki rybackie z półwyspy Helu*, Pielgrzym, wyd. 2, Pelplin 1910.
9. Groth Andrzej, *Historia Pucka*, oprac. zbior., Marpress, Gdańsk 1998.

10. Gulgowski Izydor, *O nieznanym ludzie w Niemczech. Von einem unbekannten Volke in Deutschland*, przeł. Magdalena Darska-Łogin, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2012.

11. Herman Judith Lewis, *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi*, przeł. Anna Kacmajor, Magdalena Kacmajor, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2002.

12. Hilferding Aleksander, *Resztki Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego*, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdańsk 1989.

13. Hodalska Magdalena, *Trauma dziennikarzy. Dziennikarstwo traumy*, Instytut Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2017.

14. Jagodzińska Maria, *Psychologia pamięci. Badania, teorie, zastosowania*, Sensus, Gliwice 2008.

15. Kosiński Krzysztof, *Historia pijaństwa w czasach PRL*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2008.

16. Kosiński Paweł, *Prusy Zachodnie 1914 – Pomorze 1920. Ludność regionu wobec przemian politycznych okresu I wojny światowej*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2002.

17. Lewna Krystyna, *„Inni" muszą być wykluczeni – Jana Drzeżdżona enigmatyczne spostrzeżenia na temat izolacji wśród Kaszubów i nie tylko* [w:] *Horyzonty i perspektywy edukacji równościowej*, red. Grzegorz Piekarski, Marta A. Sałapata, WN Katedra, Gdańsk 2018.

18. Lück Kurt, *Karwieńskie Błota nad Morzem Bałtyckim*, przeł. Patrycja Wierzba, Urząd Gminy Krokowej, Krokowa 2000.

19. Łazarski Dariusz, *Panie Dyrektorze, GRZEJEMY!*, Kosycarz Foto Press KFP, Gdańsk–Gdynia 2016.

20. Łuszczyna Marek, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Znak Horyzont, Kraków 2017.

21. Madajczyk Czesław, *Polityka narodowościowa władz hitlerowskich na Pomorzu* [w:] *Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia z okresu II wojny światowej*, t. 9, Warszawa 1965.

22. Miller Alice, *Dramat udanego dziecka*, Media Rodzina, Poznań 2007.

23. Miller Alice, *Gdy runą mury milczenia*, Media Rodzina, Poznań 2006.

24. Miller Alice, *Zniewolone dzieciństwo*, Media Rodzina, Poznań 1999.

25. Nawrocka Zofia, *Gwałt. Głos kobiet wobec społecznego tabu*, Książka i Prasa, Warszawa 2013.

26. Obracht-Prondzyński Cezary, *Dylematy edukacyjne. Z Kaszubami i Pomorzem na pierwszym planie*, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdańsk 2017.

27. Obracht-Prondzyński Cezary, *Kaszubi, między dyskryminacją a regionalną podmiotowością*, Instytut Kaszubski, Uniwersytet Gdański, Gdańsk 2002.

28. Perszon Jan, *Kaszubi. Tożsamość, rodzina*, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdańsk 2015.

29. Pietraszek Edward, *Wieś Z. w woj. wrocławskim*, [w:] *Wieś dolnośląska. Studia Etnograficzne*, red. E. Pietraszek, t. 29, Wrocław 1987.

30. Rode Danuta, *Psychologiczne uwarunkowania przemocy w rodzinie. Charakterystyka sprawców*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2010.

31. Rothschild Babette, *Ciało pamięta. Psychofizjologia traumy i terapia osób po urazie psychicznym*, przeł. Robert Andruszko, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2014.

32. Salter C. Anna, *Drapieżcy. Pedofile, gwałciciele i inni przestępcy seksualni*, przeł. Andrzej Jankowski, Media Rodzina, Poznań 2005.

33. Słomczyński Tomasz, *Kaszëbë*, Czarne, Wołowiec 2021.

Opracowania naukowe i czasopisma

1. Antoniak-Drożdż Aleksandra, *Przesłuchanie dziecka w procesie karnym – uwagi praktyczne*, „Prawo i prokuratura" 2006, nr 6.
2. Ascione R. Frank, Weber V. Claudia, Wood S. David, *The Abuse of Animals and Domestic Violence: A National Survey of Shelters for Women who are Battered*, „Society and Animals: Journal of HumanAnimal Studies" 1997, t. 5, nr 3.
3. Borzyszkowski Józef, Hauser Przemysław, *Opracowanie materiałów Sejm Rzeczpospolitej o Pomorzu w 1920 roku*, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Gdańsk 1985.
4. Davis M. Kathryn, *Rape, Resurrection, and the Quest for Truth: The Law and Science of Rape Trauma Syndrome in Constitutional Balance with the Rights of the Accused*, „Hastings Law Journal" 1998, t. 49, nr 5.
5. Gruza Ewa, *Dziecko jako świadek w procedurach prawnych*, „Dziecko Krzywdzone. Teoria, badania, praktyka" 2004, t. 3, nr 1.
6. Gruza Ewa, *Kryteria oceny wiarygodności zeznań dzieci*, „Dziecko Krzywdzone. Teoria, badania, praktyka" 2004, t. 3, nr 1.
7. Hinc Tomasz, *Przemiany społeczno-ekonomiczne w rolnictwie i na wsi kaszubskiej w latach 1945–1956 (zarys problematyki)*, „Acta Cassubiana" 2017, t. 19.
8. Horna Monika, *Kurator reprezentujący małoletniego pokrzywdzonego w procesie karnym – wybrane zagadnienia proceduralne*, „Dziecko Krzywdzone. Teoria, badania, praktyka" 2014, t. 13, nr 1.
9. Izdebski Paweł, Łukaszewska Ewa, Ulaszewska Natalia, *Okrucieństwo wobec zwierząt*, „Życie Weterynaryjne" 2014, nr 4.
10. Jagodzińska Maria, *Amnezja dziecięca. Dlaczego nie pamiętamy wczesnego dzieciństwa?*, „Przegląd Psychologiczny" 2000, t. 43, nr 3.

11. Jankowski Michał, Siemaszko Andrzej, *Praca dochodzeniowo-śledcza policji w opinii prokuratorów*, Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, Warszawa 2017.

12. Knieć Wojciech, Goszczyński Wojciech, Obracht-Prondzyński Cezary, *Kapitał wsi pomorskiej*, Kaszubski Uniwersytet Ludowy, Wieżyca 2013.

13. Kos-Dąbrowska Barbara, *Baza noclegowa w Pucku w latach 1945–1989*, „Zapiski Puckie" 2012/2013, nr 11/12.

14. Koszutowska Liliana Ewa, *Miejsca pamięci – Marsz śmierci*, https://bit.ly/3c5cF3l, dostęp: 20.11.2021.

15. Kraśkiewicz Anna, *Podmiotowe wyznaczniki percepcji zapachów i ich oceny afektywnej: rola pamięci autobiograficznej, nastroju i temperamentu*, praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. Ewy Czerniawskiej, Zakład Psychologii Uczenia się i Pamięci, Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2015.

16. Kuklik Mirosław, *Zmiany w postawie ludności Północnych Kaszub wobec Polski i polskości*, „Zapiski Puckie" 2016, nr 15.

17. Kwaśniewska Anna, *Choroba jako klątwa. Analiza i kontekst dyskursu medialnego dotyczącego tzw. genu kaszubskiego*, „Lud" (czasopismo Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i Komitetu Nauk Etnologicznych PAN) 2017.

18. Kwaśniewska Anna, *Dobór przestrzenny, religijny oraz narodowościowy małżeństw i tożsamość Kaszubów w kontekście choroby genetycznej*, „Etnografia Polska" 2021, t. 65, z. 1–2.

19. Kwaśniewska Anna, *Endogamia i zwyczaje małżeńskie na Kaszubach a kwestia tzw. genu kaszubskiego*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne" 2019, t. 19 (czasopismo elektroniczne).

20. Majkowska Aleksandra, *Kristina Léwna jakno kaszëbskô feministka*, dodatek literacki „Stegna" 2019, nr 1, s. 32–35, „Magazyn Pomerania" 2019, nr 3.

21. Malarewicz-Jakubów Agnieszka, Kroczek-Sawicka Zina, *Wybrane prawne aspekty przesłuchania małoletniego w charakterze świadka w postępowaniu karnym*, „Studia Prawnoustrojowe" 2018, nr 39.

22. Michalska Sylwia, *Domestic Violence Against Women in Rural Communities in Poland*, „Wieś i Rolnictwo" 2016, nr 4 (173).

23. Narodowska Joanna, *Korelacja pomiędzy agresją wobec zwierząt a agresją wobec ludzi w świetle badań aktowych*, „Archiwum Kryminologii" 2018, t. 40.

24. Obracht-Prondzyński Cezary, *Historia Kaszubów po 1945 roku: refleksja metodologiczna*, „Acta Cassubiana" 2017, t. 19.

25. Paczoska Alicja, *Dzieci Potulic*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2003–2004, nr 12–1 (35–36).

26. Paczoska Alicja, *Oskarżeni o separatyzm: działania tajnych służb PRL wobec działaczy kaszubskich w latach 1945–1970*, „Pamięć i Sprawiedliwość", 2004, t. 3, nr 2 (6).

27. Ryś Maria, Wódz Elżbieta, *Role podejmowane w rodzinie alkoholowej a struktura potrzeb u dorosłych dzieci alkoholików*, „Studia Psychologica" 2003, nr 4.

28. Sikorski Stanisław, *Wpływ gwary kaszubskiej na początki nauczania polskiego*, „Pomerania. Biuletyn Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego" 1973, nr 1 (50).

31. Swerpel Sławomir, *Bitwa o Pucyfik*, „Miesięcznik Wiedza i Życie" 2013 (listopad).

32. Wiśniewska Małgorzata, *Manipulowanie umysłem. Reforma procesu myślenia – pranie mózgu*, „Wrocławskie Studia Erazmiańskie.

Zeszyty Studenckie" 2010, nr 5.

Raporty i statystki

1. Krajowy Program Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie za rok 2019 i 2020.
2. Raport przedstawicieli Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur z wizytacji Aresztu Śledczego w Starogardzie Gdańskim, Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur, Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich, Warszawa 2021.
3. Raport z badań *Identyfikacja form przemocy doświadczanych przez mieszkanki wsi oraz stan wiedzy na temat instytucjonalnej oferty pomocowej w zakresie przeciwdziałania przemocy*, Szczecińskie Towarzystwo Socjologiczne, Szczecin, 2018.
4. Statystyki udostępnione przez Centrum Interwencji Kryzysowej w Kartuzach, obejmujące dane policyjne, sądowe czy procedury Niebieskiej Karty z terenu powiatu.

Filmy i programy

1. Góralewska Monika, *Nie chciałam zabić tych dzieci*, Superwizjer TVN, 8.10.2017.
2. Mielewczyk Patrycja, *Scenariusze życia*, Twoja Telewizja Morska, 3.11.2011.
3. Nekanda-Trepka Elżbieta oraz Michał, *Życie po życiu*, Video Studio Gdańsk, 2002.

Prasa codzienna i portale

1. Abramowicz Dorota, *Dobroczyńcy i hieny*, „Dziennik Bałtycki", 29.03.2003.
2. Aksamit Bożena, *Pan Władek: dzieci nie mogą żyć w nędzy. Co roku rozwozi im żywność wartą 1,5 mln zł*, wyborcza.pl, https://bit.ly/3PcYjwE, dostęp: 15.07.2022.
3. Damps Magdalena, *Jak przemóc przemoc? W Kartuzach debatowano o domowych oprawcach*, kartuzy.info, https://bit.ly/3te93B3, dostęp: 7.08.2021.
4. Daszczyński Roman, *Przyjaciele pałacu*, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto", 28.06.2002.
5. Gromadzka-Anzelewicz Jolanta, *Bardzo rzadka mutacja genetyczna – gen kaszubski*, dziennikbaltycki.pl, https://bit.ly/3JxsfkV, dostęp: 24.09.2021.
6. Gromadzka-Anzelewicz Jolanta, *Gen, który Szwed zostawił Kaszubom – w Kartuzach urodziło się 22 dzieci z uszkodzonym genem, w Kościerzynie 6, a w Pucku 8*, warszawa.naszemiasto.pl, https://bit.ly/3BGZJvm, dostęp: 24.09.2021.
7. Hoffmann Krzysztof, *Puck z lat 80. Tak budziła się turystyka i żeglarstwo*, dziennikbaltycki.pl, https://bit.ly/3O6W1xG, dostęp: 5.12.2020.
8. Ivanowa Ewa, *Słupki i statystyki rządzą pracą prokuratorów*, prawo.gazetaprawna.pl, https://bit.ly/3HsElcD, dostęp: 7.08.2021.
9. Katarzyńska Alicja, *Klątwa Kaszubów*, „Gazeta Wyborcza", 19.03.2008, s. 19.
10. Kościelniak Roman, *Grunt musi być własnością Fundacji*, „Dziennik Bałtycki", 18.09.2007.

11. Kościelniak Roman, *To szansa na prawdziwy dom*, „Dziennik Bałtycki", 7.02.2008, s. 1.

12. Kościelniak Roman, Miśdzioł Krzysztof, *Pan Władek szuka sponsorów lub działki*, „Dziennik Bałtycki", 2.11.2007.

13. Kościelniak Roman, Miśdzioł Krzysztof, *Pomocy szuka aż w Brukseli*, „Dziennik Bałtycki", 29.11.2008.

14. Majewski S. Jerzy, *Domy wysiedlonych przez budowę elektrowni atomowej pod Żarnowcem*, miastarytm.pl, https://bit.ly/3CQxjO2, dostęp: 23.11.2021.

15. Omilianowicz Magdalena, *Hurtownik zbrodni. Najadł się i zaproponował dziewczynie seks, a kiedy odmówiła, było już po niej*, koszalin.wyborcza.pl, https://bit.ly/3CuoScW, dostęp: 14.08.2021.

16. Słomczyński Tomasz, *Po prostu przeżyć wojnę*, magazynkaszuby.pl, https://bit.ly/3uc6RdF, dostęp: 28.09.2021.

17. Socha Ryszarda, *Złodzieje krajobrazu*, „Tygodnik Polityka" 1998, nr 2167 (14.11.)1998.

18. Winiecki Jędrzej, *Co się udało, a co nie w ochronie środowiska po '89*, polityka.pl, https://bit.ly/39eAOTz, dostęp: 2.12.2020.

19. Włodkowska Katarzyna, *Dom zły*, „Duży Format", „Gazeta Wyborcza", 19.06.2017.

20. Włodkowska Katarzyna, *Nie bagatelizujmy przemocy w rodzinie. Sprawa „polskiego Fritzla" – ciąg dalszy*, wyborcza.pl, https://bit.ly/3K11sMZ, dostęp: 27.02.2022.

21. Włodkowska Katarzyna, *Sprawa polskiego Fritzla. Kolejny gwałciciel Ewy – przez dwa lata więzionej przez męża w piwnicy – został aresztowany*, wyborcza.pl, https://bit.ly/3IBtDSk, dostęp: 27.02.2022.

22. Włodkowska Katarzyna, *Zapach gwałciciela*, „Duży Format", „Gazeta Wyborcza", 26.03.2018.

23. Wojciechowski Paweł, *Waldemar B., były senator PiS, z zarzutem za zabicie psa. Kłamał, że zwierzę jest całe i zdrowe*, trojmiasto.wyborcza.pl, https://bit.ly/3pk1E1Z, dostęp: 10.07.2021.

24. Zielińska Marzanna, *Dwoje ich dzieci zmarło w rodzinie zastępczej. Walczą o odzyskanie pozostałych*, tvn24.pl, https://bit.ly/3ALHF2x, dostęp: 20.02.2021.

Strony internetowe

atom.edu.pl
iws.gov.pl
fdds.pl
kaszebsko.com
muzeumkluki.pl
magazynkaszuby.pl
niebieskalinia.pl/czasopismo
psychologia.edu.pl
puck.naszemiasto.pl
stutthof.org
sw.gov.pl

Przypisy

[1] Nazwisko zmienione.

[2] Rekonstrukcja na podstawie relacji Ewy i przebiegu przesłuchania.

[3] W zapiskach Ewy i jej córek została zachowana pisownia oryginalna.

[4] Cytaty pochodzą z akt sprawy.

[5] Maszoperia – zespół rybaków razem dokonujących połowów na morzu czy w jeziorach. Związek taki zapewniał sprawiedliwy podział złowionych ryb oraz opiekę nad rodzinami rybaków.

[6] Pionierka, Maria Szymikowska z Białogóry, sołtyską została w 1974 roku. Data nominacji za rozmówczynią, urząd gminy przechowuje dane od roku 1990.

[7] Sprawozdania z regionalnego i Krajowego Programu Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie za rok 2019. Autorka celowo cytuje dane sprzed pandemii. COVID-19 odizolował rodziny i zaniżył statystyki.

[8] Niemożliwe, bo to sprawa rozwodowa.

Spis treści

Dedykacja

Od Autorki
Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA
- Ucieczka
- Ciało pamięta
- Żadnych oznak
- Zły tata
- Brak dowodów
- Stać się kimś innym
- Sklep
- Taki był pozwany
- Shell shock
- Rodzina zastępcza
- Sprawiedliwość
- Bo przeklął
- Rodzina Hirszów
- Rodzina Sapałów
- Życie po życiu
- Na strychu
- List
- Pamiętniki
- Ewa
- Grzechy
- Trzeba to wyprzeć
- Najważniejsza jest prawda

Józef
Nikt tego nie uczy
Struktura genetyczna
Śmierć, która wstrząsnęła Polską
Dom zły
Fikcyjne umorzenia
Wyrok
Jestem ofiarą
CZĘŚĆ DRUGA
Ja w to nie wierzę
Nikt nie powinien być sam
Osoba z zewnątrz
Ja ich dopadnę
Tabu
„Te panowie”
Dwie dychy
Pot i papierosy
Pani się nie boi
Dziennikarstwo traumy
Ja bym sobie nie wybaczyła
Zapachem nie da się manipulować
Balon przecież pęczniał
Ratunku!

Podziękowania
Bibliografia
Przypisy

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Łukasz Piskorek

Redaktor prowadząca
Dorota Jabłońska

Redakcja
Sylwia Frołow
Anna Kołat

Korekta
Aleksandra Kubis

Konsultacja psychotraumatologiczna
dr Ewa Odachowska-Rogalska

Copyright © by Katarzyna Włodkowska, 2022
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

Książka powstała przy pomocy finansowej województwa pomorskiego.

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

ISBN 978-83-8032-807-5

WIELKA LITERA

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź nas na

Konwersja: eLitera s.c.